

**Kto się tuczy
na polskiej drożyznie?**

**Ludzie lewicy
w powstaniu warszawskim**

**Prof. Dariusz Łątka:
Sztuczna inteligencja w neurochirurgii**

**Ciemna strona
bayraktara**



UKRAINA TAJNA WOJNA WYWIADÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



51.

międzynarodowy

festiwal

jazzu

tradycyjnego

ZŁOTA TARKA



Łąwa
12-14 sierpnia
2022.

100

LAT

POLSKIEGO

JAZZU

PROGRAM

Piątek - 12 sierpnia

19:30 Parada Nowoorleańska z zespołem Brass Federacja

Start: Stare Miasto w Ławie

20:00 Konkurs o Nagrodę „Złotej Tarki”

Koncerty Główne:

Brass Federacja

Nika Lubowicz z gościnnym udziałem Henryka Miśkiewicza

23:45 Ogłoszenie wyników Konkursu o Nagrodę „Złotej Tarki”

miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu: normalny 50,00 PLN, ulgowy 30,00 PLN*;

karnet dwudniowy: normalny 100,00 PLN, ulgowy: 70,00 PLN*

Prowadzenie: Paweł Sztompke

24:00 Bal Jazzowy z zespołem Szymon Klekowicki Parnas Band

z gościnnym udziałem Tamary Behler

miejsce: Park Miejski, wstęp wolny

Sobota - 13 sierpnia

12:00 Hejnał Ławy z wieży ratusza

w wykonaniu Radosława Mosurka

13:00, 14:30 Jazz na statku Ilavia

Koncert Finalistów Konkursu o Nagrodę „Złotej Tarki”

Start: Przystań statku ILAVIA przy GALERII JEZIORAK

Wstęp biletowany według cennika rejsów

Uwaga! Liczba miejsc ograniczona!

20:00 Koncert Galowy „100 lat jazzu w Polsce”

Alchemik Big Band Grzegorza Grzecha Piotrowskiego

Goście Specjalni: Hanna Banaszak z zespołem, Ewa Bem,

Janusz Szrom, Piotr Schmidt, Henryk Miśkiewicz

23:00 Koncert Gunhild Carling z zespołem

miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga

cena biletu: normalny 70,00 PLN, ulgowy 50,00 PLN*;

karnet dwudniowy: normalny 100,00 PLN, ulgowy: 70,00 PLN*

Prowadzenie: Paweł Sztompke

24:00 Jam Session

miejsce: Park Miejski, wstęp wolny

Sobotnie wydarzenie towarzyszące:

Jazz za kratami - koncert w więzieniu Karolina Szewc z zespołem

Niedziela - 14 sierpnia

14:00 Msza Jazzowa z udziałem chóru

Petera Mante „The Africa Gospel Project”

Miejsce: Amfiteatr Miejski im. Louisa Armstronga, wstęp wolny

Informacje o biletach są na stronie zlotatarka.pl

*Uprawnieni do biletu/karnetu ulgowego:

- osoby z umiarkowanym i znacznym stopniem niepełnosprawności (po okazaniu odpowiedniej legitymacji) (OPIEKUN WCHODZI ZA DARMO)

- emeryci, renciści (po okazaniu legitymacji emeryta/rencisty)

- dzieci w wieku 5-12 lat (dzieci do 5 roku życia wchodzi za darmo)



Marsz Milczenia

Co polska młodzież, rówieśnicy nastolatków i dzieci, które walczyły w powstaniu warszawskim, wie o tej potwornej katastrofie? Co wie o rzezi kobiet, dzieci i mężczyzn na Woli? O tym, że w ciągu trzech dni wymordowano tam 40 tys. osób? Co wie o masowych gwałtach na kobietach i dziewczynkach na Żelaznym?

Od przypominania o śmierci 200 tys. mieszkańców Warszawy trzeba zaczynać obchody kolejnych rocznic. 1 sierpnia to dzień narodowej żałoby. I Marszu Milczenia. Nazwiska ofiar – niestety, tylko ok. 60 tys. znamy z imienia i nazwiska – powinny być czytane w godzinę „W”. Ku pamięci. Ale też ku przestrodze. By kolejne pokolenia młodych nie dały się znowu nabrać

Warszawskiego? Nie. Bo nie pasuje do fotoplastikonowej koncepcji dyrektora Ołdakowskiego. Na opinię prof. Jana M. Ciechanowskiego, który jako 14-latek walczył do ostatniego dnia powstania, też nie ma miejsca. A jego słowa powinny być wyeksponowane na frontowej ścianie muzeum: „Powstanie zakończyło się straszliwą klęską, katastrofą i ruiną, która nie dotknęła żadnej innej stolicy w Europie od czasu najazdu Hunów na Rzym”.

Misją obecnej władzy jest fetowanie klęsk i przegranych powstań. Ich sprawcy zamiast surowego osądu dostają miejsce w panteonie bohaterów narodowych. Stawia się im pomniki, funduje tablice, medale, jeżdżymy mostem i ulicami

Wakacje z E-PRENUMERATĄ PRZEGLĄDU sklep.tygodnikprzeglad.pl

AZ 60% rabatu na e-prenumeratę kwartalną Promocja ważna do 31.08.2022

Teraz tylko 49,90 zł 20 zł

• dostęp do 12 e-wydań tygodnika • e-book „Oko smoka” w prezencie • czytasz, gdziekolwiek jesteś

cynicznym politykom. Młodzież oszukano wówczas i oszukuje się dziś. Ten cynizm z pewnością ciągle łączy prawicowe obozy.

Decyzji o wybuchu powstania nic nie usprawiedliwia. Wiele razy pisaliśmy o ocenie gen. Andersa, który chciał postawić przed sądem Bora-Komorowskiego, Okulickiego i Chruściela za wywołanie powstania, gdyż uważał je za kardynalny błąd z politycznego i wojskowego punktu widzenia, a z moralnego za zbrodnię. Czy znajdziecie to w Muzeum Powstania

Grota-Roweckiego. Imię tego generała nosi wiele szkół, drużyn harcerskich i jednostek wojskowych. Co tam młodzież wie o słowach gen. Andersa? Albo prof. Ciechanowskiego i wielu wybitnych Polaków? Nic. Bo klęskę skutecznie zmieniono w mit. By karmieni tymi kłamstwami młodzi Polacy zrobili kiedyś to, co ich rówieśnicy w powstaniu warszawskim. Oby nie. Na fałszywych bohaterach uczciwego państwa nie da się zbudować.

BAKOWSKI



czytasz **TANIEJ** wiesz **WIĘCEJ**

e-booki PRZEGLĄDU

na lato już od 9,90 zł

zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**

Promocja ważna do 31.08.2022

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Ukraina: wojna wywiadów**
– rozmowa z Piotrem Niemczykiem
- 31 Sezon wciąż nie w pełni**
Jeśli zdołasz wylecieć na urlop...
- 34 Erdoğan i lekarze na wojennej ścieżce**
Pacjenci atakują medyków
- 36 Koniec rządów Dragiego**
Korespondencja z Włoch

KRAJ

- 12 Kasa dla zuchwałych**
Kto się tuczy na polskiej drożyznie?
- 20 Przemoc – system broni kata, nie ofiary**
Polska nie chroni kobiet
- 23 Trudne czasy dla rzemieślników**
Na ratunek wrocławskiej drukarni
- 26 Pantery nad Wisłą**
PiS się zbroi przed wyborami
- 50 Operacja 1001-Frombork**
– to był ruch, nie impreza

OPINIE

- 16 Jakub Dymek**
Ciemna strona drona
- 40 Radosław S. Czarnecki**
Papieski totalizator

HISTORIA

- 28 Zasłużyli na szacunek**
Wymazywani lewicowi powstańcy warszawscy
- 47 Jak nie staliśmy się kosmiczną potęgą**
Przerwana historia rakiet Meteor

ZDROWIE

- 42 Neurochirurgia to gra zespołowa**
– rozmowa z prof. Dariuszem Łątką

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

- 46 Godna praca w sektorze rolnym**
– doświadczenia norweskie

KULTURA

- 52 Rewolucja seksualna jeszcze przed nami**
– rozmowa z Katarzyną Tubylewicz
- 55 Szczęśliwy naród idiotów**
Łatwiej komentować, niż czytać Tokarczuk
- 56 Culturalia**
- 66 Jan Dobkowski: Podróż do uniwersum**

OBSERWACJE

- 57 Pół wieku reporterskich podróży**
Jacka Pałkiewicza

ZWIERZĘTA

- 60 Koty i ich usługi**
Sterylizujemy, nie piętnujemy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Marsz Milczenia
- 15 Roman Kurkiewicz**
Nie przepraszam, że nie bayraktaryzuję
- 39 Andrzej Romanowski**
Pan Stefan
- 51 Tomasz Jastrun**
Nie tylko Sopot



40

OPINIE

RADOSŁAW S. CZARNECKI

Papieski totalizator



52

KULTURA

**REWOLUCJA
SEKSUALNA
JESZCZE PRZED NAMI**

– rozmowa
z Katarzyną Tubylewicz



57

OBSERWACJE

**PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY
JACKA PAŁKIEWICZA**

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. SHUTTERSTOCK (3)



f Głęboki kryzys kapitalizmu

Następny system stworzy sztuczna inteligencja na bazie sieci naszych działań, nie na podstawie jakiejś nadrzędnej idei. Będzie on pozbawiony politycznych uniesień i naszych osądów – obejmie nas w całości, więc nasza myśl już poza niego nie ucieknie i marzenia o jakiegokolwiek utopii przejdą do historii. Ludzie już teraz nie angażują się w politykę, bo czują intuicyjnie, że coś się skończyło... Nasze głębokie powątpiewanie, dystans do polityki i opory przed angażowaniem są nieprzypadkowe i potrzebne. Mamy czas, w którym musimy zaakceptować koniec pewnej epoki. Z radością czekam na dzień, w którym polityka trafi na śmietnik historii jako bardzo dziwny pomysł tworzący tyle samo problemów, ile rozwiązań.

Mateusz Niksa

Niestety, tylko autorytarne rządy są w stanie kontrolować kapitalistów, i to nie zawsze. Historia też narzuca pewien tok myślenia, jakoby każde odstępstwo od kapitalizmu było komunizmem, faszyzmem czy innym krwawym izmem. No i mamy jeszcze konflikt między chciwością człowieka a zabezpieczeniem wspólnoty, w którym niestety zazwyczaj wspólnota przegrywa. No, chyba że wybuchą wojna światowa albo krwawa rewolucja.

Michał Łuksa

f Nadciągająca armagedon

Jak żyć? – stawia pytanie autor artykułu „Nadciągająca armagedon” (PRZEGŁĄD nr 31). Jak to jak? Zacząć kombinować, tak jak Niemcy, nad wznowieniem dostaw surowców z Rosji. Bo jeśli w telewizji widzisz i słyszysz, że sankcje nałożone na Rosję działają, ale trzeba poczekać – zmień kanał. Rosyjski rubel rok temu kosztował 14 centów amerykańskich, dziś – 18 centów. Gazu i ropy Rosjanie eksportują więcej niż przed wojną. Dzięki temu, że ceny węglowodorów są kosmiczne, Moskwa notuje najwyższe przychody w historii. A „wolny świat” mierzy się z nienotowaną od dziesięcioleci inflacją. Giełdy zachodnie zachowują się tak, jak gdyby za chwilę miała nadejść wielka recesja, ekonomiści zaś wróżą stagflację.

Michał Czarnowski

f Latynizacja Polski

Prof. Andrzej Szahaj pisze o latynizacji Polski. Ja rozszerzyłabym problem – to amerykańskizacja Polski. Od USA przejęliśmy już najpodlejszą część kultury masowej, styl życia (*American dream* dawno nieaktualny), oszukańczą reklamę wszyściego, status materialny jako miernik wartości człowieka, także sen o potęgze militarnej, umiejętność manipulacji i powszechnej inwigilacji społeczeństwa. Ameryka Południowa to ta tytułowa latynizacja w gospodarce, prawie pracy, wszechogarniająca korupcja i nepotyzm, rozwarstwienie społeczne. Na etapie nędzy jeszcze nie jesteśmy, ale jakby już majaczy w oddali. Wbrew liberałom i neoliberalom mieszkania jako dobro materialne jakoś nie chcą spływać z bogatej góry do biednych dolów. Bez interwencji państwa też widzę tę sprawę jako nierozwiązywalną – a może tylko nierozwiązaną?

Ewa Wesółowska



ZDJĘCIE TYGODNIA



Co ocean dostaje, to oddaje. Upiorna plaża w Ghanie.

341 tys. osób otrzymuje w Polsce minimalną emeryturę w wysokości 1338,44 zł brutto.

Halina Jędrzejewska „Sławka” została nową prezes Związku Powstańców Warszawskich.

Kancelarz Niemiec Olaf Scholz zaproponował, by Unia Europejska w odpowiedzi na inwazję Rosji na Ukrainę odstąpiła od zasady jednomyślności i prawa weta państw członkowskich w polityce zagranicznej i bezpieczeństwa.

Były milicjant, któremu w ramach ustawy dezubekizacyjnej obniżono emeryturę, bo przez dwa lata studiował w Wyższej Szkole Oficerskiej w Legionowie, wygrał z polskim rządem w Strasburgu i odzyskał pierwotną emeryturę.

77% firm ma już problemy z płatnościami od klientów i płynnością. Coraz więcej przedsiębiorstw balansuje na granicy bankructwa.

Pod Działdowem (woj. warmińsko-mazurskie) odnaleziono 17,5 tony prochów 8 tys. ofiar niemieckiego obozu Soldau, istniejącego w latach 1939-1945 („Angora”).

Mineły cztery miesiące od awarii boeinga 737-8TV „Ignacy Paderewski”, którym prezydent Duda leciał do podrzeszowskiej Jasionki, by powitać prezydenta Bidena. Samolot musiał wrócić do Warszawy, a Duda spóźnił się o godzinę. Przyczyn awarii ciągle nie znamy (szczegóły w tygodniku „Nie”).

Na łamach katolickiego tygodnika o największym nakładzie w Polsce

odniesiono się do projektu ustawy Solidarnej Polski „w obronie chrześcijan i ludzi wierzących”. Jarosław Dudała pisze: „Gdy mała partia próbuje zorganizować kampanię w obronie sporej grupy osób wierzących, (...) to próbuje bardziej pomóc samej sobie niż Kościołowi”.

Telewizja Polska zarządzana z woli prezesa PiS przez **Jacka Kurskiego** zatrudnia 100 dyrektorów i 270 kierowników („Wirtualne Media”).

Polska jest piątym w Europie i ósmym na świecie eksporterem jachtów oraz rekreacyjnych i sportowych jednostek pływających. Rocznie ze 180 stocznicy wypływa ok 22 tys. jachtów motorowych i żaglowych.

14,7 tys. firm wykreślono w czerwcu z rejestru REGON.

Według Biura Rzecznika Praw Obywatelskich rośnie liczba skarg na niewłaściwe zachowanie funkcjonariuszy policji. W 2017 r. było ich 769, a w 2020 r. – 968. Zdaniem policji liczba skarg maleje i w 2020 r. było ich 511. Wniosek – poszkodowani nie wierzą w skuteczność skarg i w wymiar sprawiedliwości sparaliżowany przez ekipę Ziobry („Polityka”).

Jan Edmund Kowalski, prezes zarządu spółki Pałac Saski, snuje plany odkopywania piwnic i badań archeologicznych na placu Piłsudskiego. Ma do wydania 2,5 mld zł. Na budowę tego czegoś, co nie ma żadnej wartości architektonicznej. Upór PiS, by w głębokim kryzysie wydawać tak gigantyczne kwoty, oznacza, że ktoś bardzo chce na tym zarobić?

PRZEBŁYSKI



Putinowiec Pospieszalski

Dla „Gazety Polskiej” nawet Jan Pospieszalski jest już passé. Kim jest Pospieszalski, wiadomo. A kto go atakuje? Bohaterski pogromca komuny, czyli „Zyziu na koniu Hyziu”. W życiu cywilnym Piotr Lisiewicz. Arbiter elegancji i samowładczy la-

tarnik moralności dojrzałej zmiany. Wskazał Pospieszalskiemu miejsce w szeregu. W tym samym szeregu Lisiewicz ułożył Grzegorza Brauna i Marcina Rolę: „To są twoi koledzy, to twój poziom, od nas trzymaj się z daleka. Zjeżdżaj do putinowców”. Jaki z tego morał? Na prawicy nic tak szybko nie rośnie jak obóz putinowców.

Łukaszenka otwiera, Kamiński zamyka

Choć przebiegły Łukaszenka zniósł wizy dla Polaków, dojna zmiana znalazła sposób, by ktoś słabo wyszkolony przez TVPiS nie mógł na Białorusi wyjechać. Wybrano rozwiązanie radykalne. Opisała je Bożena Dunat z „Nie”. Chciała skorzystać ze zniesienia wiz i pojechać do Grodna. Ale nie z dojną zmianą takie numery. Przejście graniczne Rudawka-Lesna zamknięte, przejście Lipszczany-Sopoćkinie zamknięte, Kuźnica-Bruzgi też, tak samo Białowieża-Piererow, Połowie-Pieszczatka itd. Na całej granicy, na 418 km, czynne są tylko dwa przejścia dla ruchu osobowego. Gdy Łukaszenka otworzył granicę, to Kamiński ją zamknął. W rewanżu Polacy wysyłają go tam, gdzie Ukraińcy rosyjski okręt.

Siedlecka jak zwykle o donosach

Urobi się kobieta po łockie, a odzew tylko u nas. A i to dlatego, że w sezonie ogórkowym nawet Joanna Siedlecka łapie się na notkę. Choć u niej nic się nie zmienia. Jest jak zawsze monotematyczna. Zafiksowana na donosach. Kto na kogo doniósł 3 grudnia 1952 r.? („Do Rzeczy”).

Siedleckiej kompletnie nie pasuje patron literackiej nagrody młodych, którą finansuje Fundacja Szymborskiej. Ten patron to Adam Włodek, były mąż poetki. W oczach Siedleckiej postać nie dość, że straszna, to jeszcze taki gość, który „na poetycki parnas pomagał dostać się głównie ładnym debiutantkom”. A tego nie da się wybaczyć. Nawet po 60 latach.



Jaki (Patryk) pod latarnią

Najciemniej jest pod latarnią. Jeśli myślicie, że więzienia są po to, żeby siedzieli w nich przestępcy, to nie macie pełnej wiedzy. Raport NIK pokazuje, że na więzieniach można dobrze zarobić. Wystarczy drobniarz, trzeba być jakoś związanym z Solidarną Polską. I z Patrykiem Jakim. Jak Jihad Rezek, którego przedsiębiorstwo budowało hale produkcyjne. NIK podaje, że 27 dotacji na budowę tych hal (na kwotę 115 mln zł) przyznano z naruszeniem prawa zamówień publicznych. Czy to jeszcze ktoś dziwi? U Jakiego ciągle jest jakiś problem. Z bratem, ojcem, kumplem.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Polacy ciągle tyle piją?

KRZYSZTOF BRZÓZKA,
*były dyrektor Państwowej Agencji
Rozwiązywania Problemów
Alkoholowych*

Dlatego, że rządzący robią wszystko, żebyśmy nie pili mniej. Zadbali o możliwość reklamowania piwa, dlatego wychowujemy kolejne pokolenia użytkowników alkoholu. Nie wprowadzili minimalnej ceny za standardową porcję alkoholu. Nie zapewnili odpowiedniej profilaktyki, której kluczowym elementem powinny być wczesne rozpoznanie i krótka interwencja, w ramach której lekarze za rozmowę o sposobie używania alkoholu przez pacjenta powinni być podobnie wynagradzani, jak ma to miejsce w przypadku nikotyny. Z kolei samorządy nie ograniczyły powszechności punktów sprzedaży alkoholu, których w przeliczeniu na mieszkańca mamy najwięcej w Europie. Cztery proste rzeczy do zrobienia, ale od lat nie ma odważnych,

którzy by się na nie poważyli. Pamiętajmy, że nawet najlepsza profilaktyka problemów alkoholowych nie poprawi sytuacji, jeżeli działania nie będą kompleksowe.

DR ADAM KŁODECKI,
*psychoterapeuta, specjalista
leczenia uzależnień*

Polacy nie piją więcej niż inni Europejczycy, ale w ostatnim czasie konsumpcja alkoholu u nas wzrosła. Wynika to z potrzeby odreagowania lęków związanych z trudną sytuacją wokół nas. Sięganie po kieliszek jest formą ucieczki od polityki, grozy wojny, zagrożenia pandemią czy katastrofą klimatyczną. Chcemy choć na chwilę się wyluzować i pobyć w czymś, co może jest iluzją, ale przyjazną iluzją. Mówię tutaj nie o upijaniu się, ale o wchodzeniu w kontakt z alkoholem, by poprawić sobie nastrój – uciec od smutków, goryczy i prozy życia.

DR KRZYSZTOF PUCHALSKI,
*socjolog zdrowia, Instytut Medycyny
Pracy im. prof. dra med. Jerzego Nofera*

Podstawowym powodem jest wszechobecność alkoholu w naszej kulturze. Jest on elementem codzienności, ale także nadaje wydarzeniom uroczysty charakter: uświetniamy nim święta, otwieramy szampana, gdy osiągniemy jakiś sukces, oblewamy nowe mieszkanie itd. Co więcej, istnieją wzory kulturowe, które zaprzeczają jego szkodliwość. Nie tylko wznosimy toast „na zdrowie”, ale także powszechne jest przekonanie, że pije się „dla zdrowotności”. Powiela się przekazy, że jeden kieliszek dobrze robi na to czy tamto, czerwone wino jest korzystne dla układu krążenia itd. Alkohol jest ponadto narzędziem zmniejszania dystansów społecznych, okazją do spotkań towarzyskich i swoistym testem społecznym: jeśli się z nami napijesz, to jesteś swój.

Not. Michał Sobczyk

Ukraina: wojna wywiadów

Skąd Ukraińcy wiedzieli, na którym lotnisku wylądował rosyjski desant? Jak zatopiono „Moskwę”? Jak złapano Medwedczuka?

Rozmawia Robert Walenciak

Czy służby amerykańskie, CIA, są obecne na Ukrainie?

– Na pewno. Pewnie więcej o tym gadają, niż są, choć działają niewątpliwie bardzo głęboko. Całkiem niedawno w „New York Timesie” opublikowano artykuł, który wywołał dużą polemikę. Otóż jakiś apologeta CIA napisał, że gdyby nie Stany Zjednoczone, Ukraińcy już dawno przegraliby wojnę, bo wszystkie informacje, jakie mają, są od Amerykanów. Myślę, że jest w tym gruba przesada. Gdy śledzi się oficjalne strony ukraińskiego wywiadu, wojskowego i cywilnego, widać, jak wiele mają nastuchów łączności rosyjskiej, i chociażby z tego powodu dużo wiedzą. Już nie mówiąc o innych narzędziach... Ale rzeczywiście natowski wywiad elektroniczny, nie tylko amerykański, ale i brytyjski, odgrywa w tej wojnie ogromną rolę.

W jaki sposób?

– Jeśli chodzi o kwestie czysto militarne, takie jak lokalizacja rosyjskich jednostek wojskowych, kierunki ich przemieszczania się, sztaby dowodzenia, bazy materiałowe, sztaby łączności – to wszystko Amerykanie widzą i przekazują Ukrainie. W pierwszym etapie wojny ciągnące na Kijów długie na kilkadziesiąt kilometrów kolumny cały czas były pod obserwacją satelitów. I jeżeli jakieś grupy próbowały się oderwać, przejechać bocznymi drogami, to zaraz trafiały na oddziały ukraińskie, które atakowały za pomocą przenośnych rakiet. Informacje, gdzie atakować, pochodziły z wywiadu satelitarnego.

A wywiad osobowy?

– Wywiad osobowy to jedna z najbardziej chronionych tajemnic. Czy Amerykanie mają źródła osobowe



PIOTR NIEMCZYK

w rosyjskich centralach wojskowych? Na pewno jakieś mają, ale tym się nie pochwalą. Wiemy więc niewiele, ale możemy się domyślać. Popatrzmy np. na historię lotniska w Hostomelu. Tam miała zacząć się wojna, miał wylądować rosyjski desant i zająć obiekty rządowe, telewizję, parlament. Wokół Kijowa jest sześć lotnisk, a Ukraińcy nie mieli wyścigających się sił, by wszystkich pilnować. Ale Hostomela pilnowali. Jeżeli mieli przygotowane siły do obrony tego lotniska, to znaczy, że prawidłowo wytypowali miejsce, gdzie desant nastąpi. Wiedzieli to. Prawdopodobnie na podstawie informacji wywiadowczych.

Może podsłuchali?

– Powiedziałbym, że niekoniecznie. Bo nawet jeśli jakieś lotnisko

jest objęte obserwacją elektroniczną i startują z niego samoloty, to nie wiemy, dokąd one lecą. One zwykle nie meldują się wieżom i mają wyłączone urządzenia identyfikacyjne. Raczej bym stawiał, że to powiedzieli ludzie.

Szefowie ukraińskich służb mówili, że znają Rosjan, mają wszędzie swoich ludzi i Rosja jest dla nich jak otwarta książka.

– Gdyby tak było naprawdę, toby tego nie mówili.

Dlaczego więc tak mówią?

– Dlatego, że taki komunikat oznacza polowanie. Nawet jeżeli szefowie służb bezpieczeństwa w rosyjskim wojsku zdają sobie sprawę, że to raczej błąd, muszą się zmobilizować, muszą rozpocząć poszukiwania. I często poprzez poszukiwanie kretów paraliżują działania kolejnych struktur. Nawet jeśli tego rodzaju informacja jest nieprawdziwa, to utrudnia życie przeciwnikowi. Nie przeceniałbym zatem wartości tego komunikatu, ale rozumiem jego sens.

Ale przecież w rosyjskiej armii służy wielu oficerów urodzonych na Ukrainie i nie wiadomo, wobec której ojczyzny są lojalni.

Piotr Niemczyk – w latach 1990-1994 dyrektor Biura Analiz i Informacji oraz zastępca dyrektora Zarządu Wywiadu UOP. Wieloletni ekspert sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych.

– Tylko jak zorganizować łączność z agentem umocowanym gdzieś wysoko? To piekielnie trudne. Tym bardziej że mnóstwo wiedzy można pozyskać, przechwytyjąc rozmowy. Już na samym początku wojny było widać, że Rosjanie mają problem z łącznością i wiele informacji przekazują otwartą linią. Nawet z ukraińskich numerów komórkowych. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) jak na talerzu miała więc informacje o nastrojach, o zaopatrzeniu, większych czy mniejszych sukcesach na określonych odcinkach.

A nie jest tak, że Ukraińcy stali się, jeśli chodzi o kierunek rosyjski, niezwykle użyteczni dla Amerykanów? Znając język, sposoby działania, może też mając w rosyjskich sztabach swoich ludzi, są atrakcyjnym partnerem.

– To nie jest takie proste. Jeżeli ma się dobre źródła informacji, to nawet przed bliskim sojusznikiem ich się nie ujawnia, więc użyteczność elementów wywiadu osobowego nie wydaje mi się oczywista. Szczególnie że służby ukraińskie były potwornie spenetrowane przez służby rosyjskie. W roku 2014 nie zrobili nic, żeby Moskwie cokolwiek utrudnić. Potem się okazało, że szef pionu antyterrorystycznego SBU, czyli tej służby, która właściwie powinna być rdzeniem oporu, był rosyjskim agentem. Wielu członków kierownictwa SBU okazało

Wiarygodne aktywa, które Ukraińcy mogliby mieć, musiały być organizowane w ciągu ostatnich dwóch lat. To bardzo krótki czas.

Co więc Ukraina może zaoferować?

– Ukraińcy są bardzo ważni, chociażby ze względu na różne sprawy związane z wywiadem elektronicznym. Chciałbym zwrócić też uwagę na to, co się stało w czasie wojny. Gdy Ukraińcy zaczęli przejmować rosyjski sprzęt, okazało się, że jest on wyposażony w elementy produkowane w Stanach Zjednoczonych,

Wywiad elektroniczny NATO, nie tylko amerykański, ale i brytyjski, odgrywa w tej wojnie ogromną rolę.

ale objęte zakazem sprzedaży. Przekazano to Amerykanom i w tej chwili FBI prowadzi dochodzenie, szuka źródła przecieku do Rosji zakazanych materiałów. Wiadomo, jakie amerykańskie firmy to wyprodukowały i kiedy, sprawa jest do wyjaśnienia, można wykryć siatkę, która pozwalała przełamywać embargo. Współpraca w takim zakresie może być nawet cenniejsza niż osobowe źródła informacji.

Amerykanie pomagali Ukrainie zbudować służby od nowa?

– Po roku 2014 wiele państw NATO wzięło udział w szkoleniach. Polska i polskie służby odegrały tu dosyć ważną rolę.

Za operacje w krajach Wspólnoty Niepodległych Państw, a zwłaszcza na terenie Ukrainy, odpowiada specjalny pion, V Służba FSB, kierowana przez gen. Siergieja Besedę.

– V Służba to bardzo duży i bardzo wpływowy departament Federalnej Służby Bezpieczeństwa Rosji.

Nie wywiadu.

– Rosjanie nie pogodzili się z tym, że państwa byłego ZSRR są samodzielne, więc uznali, że będą one celem nie wywiadu, tylko kontrwywiadu. Dlatego pion, który odpowiadał

za Ukrainę, był pionem w FSB, a nie w SWR czy GRU. V Służba otrzymała potężne środki, żeby na Ukrainie ugruntować rosyjskie wpływy i przygotować zaplecze na tyłach wojsk ukraińskich, by w jak największym stopniu było ono kontrolowane przez rosyjskie służby. Planowana była również wielka akcja ogłaszania w poszczególnych regionach następnych republik ludowych, podobnych do ługańskiej czy donieckiej.

Potężne środki to...

– Mówi się, że gen. Beseda dostał budżet 5 mld dol., które w większości zostały rozkradzione, m.in. przez niego. Nie wierzę w to. Po pierwsze, nie wierzę w 5 mld dol. Po drugie, uważam za grubą przesadę mówienie, że te pieniądze zostały w przeważającej części rozkradzione. Jeżeli popatrzymy na sytuację polityczną na Ukrainie przed agresją, to drugą partią w parlamencie była prorosyjska Opozycyjna Platforma – Za Życie, której jednym z szefów był Wiktor Medwedczuk. Miała ona kilkudziesięciu deputowanych w Radzie Najwyższej. Gdy wybuchła wojna, część z nich uciekła do Rosji, a część została, udając, że są ukraińskimi patriotami.

Może naprawdę nimi są?

– Niedawno jeden z tych deputowanych, Andrij Derkach, zresztą były oficer SBU, został aresztowany. Okazało się, że finansował firmy ochroniarskie, płacił im za gotowość. Polegała ona na tym, że jak rosyjskie wojska zaczną wchodzić, to oni mieli

Rosyjski desant miał wylądować w Hostomelu. Ukraińcy nie mogli pilnować wszystkich sześciu lotnisk wokół Kijowa, ale Hostomela pilnowali.

się powiązanych z rosyjskimi służbami. Sami Ukraińcy przyznają, że musieli wywalić ok. 1 tys. osób z liczącej 30 tys. osób służby, czyli naprawdę dużo.

Dlaczego ich wywalili?

– Z powodu bliskich kontaktów ze służbami rosyjskimi. Przy czym nie mieli dowodów wprost na szpiegostwo, ale mieli dowody, na regularne rozmowy. Taki był poziom penetracji ukraińskich służb przez Rosjan. W tych warunkach tworzenie wartościowej agentury, gdy oni sami nie mają pewności, kto u nich może zdradzić, byłoby szalenie trudne.

Dlaczego NATO pomagało Ukrainie? Przecież nie musiało.

– Musiało. Tak jak Rosja opowiada o swojej strefie bezpieczeństwa, tak i NATO ma swoją. Dlatego tak uważnie przygląda się Kaliningradowi czy Naddniestrzu. Bo widzi w nich wysunięte placówki ofensywne. Stawiane jest pytanie, czy Iskandery rozmieszczone w okręgu kaliningradzkim są przygotowane do przenoszenia broni jądrowej. Jeżeli Ukraina znalazłaby się w rosyjskiej strefie wpływów, rakiet z głowicami jądrowymi mogłyby się znaleźć pod polską granicą. Ile wówczas byłoby czasu na obronę?

► zabezpieczać zaplecze. Wydało się to wszystko stosunkowo niedawno. Za darmo takiej operacji, którą planował Derkacz, się nie robi, więc te pieniądze, które miał Beseda, nie zostały w całości rozkradzione, one sfinansowały wiele przygotowań.

Nadaremnych.

– Gdyby desant na Kijów Rosjanom się udał, być może wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. A ponieważ się nie udał, uruchomiona została fala ukraińskiego patriotyzmu, poczucia godności; to Rosjanom pokrzyżowało plany. A one były. Projekty ogłaszania „niepodległych republik” szły wprost z FSB. Jak SBU aresztuje jakąś kolejną grupę, to są w niej i dywersanci, i magazyn broni, i przy okazji jakichś paru polityków, przeważnie działacze Za Życie, którzy mieli organizować komitety ogłaszania kolejnej „niepodległej republiki”. Nawet w Iwano-Frankowsku, przy samej granicy z Polską, została zatrzymana taka grupa. Czyli V Służba oprócz działań czysto wywiadowczych i dywersyjnych uruchomiła duży projekt polityczny. Co ciekawe, poglądy głoszone przez Za Życie to była skrajna ksenofobia. Skierowana przeciwko migrantom, przeciwko mniejszościom seksualnym, z naciśkiem na to, że liczą się tylko etniczni Rosjanie.

Ukraińcy, odpalając rakiety, wiedzieli, że krążownik „Moskwa” przed nimi się nie obroni.

Słyszałem teorię, że Ukraińcy podstawili Rosjanom całkowicie spenetrowaną przez siebie organizację; oni myśleli, że mają nie wiadomo co, a okazało się, że nie mają nic.

– To możliwe. Wystarczyło, że dobrze spenetrowali strukturę Za Życie. I bardzo wiele rzeczy dzięki temu im się udało.

Poza Chersoniem. Tam zdradzili szefowie miejscowej SBU – informując Rosjan o rozmieszczeniu min i nie wysadzając mostu na Dnieprze.

– Gdyby SBU zawiodła wszędzie tak jak w Chersoniu, byłibyśmy w innym momencie historii. Ale w większości miast komórki SBU działały prawidłowo. V Służba jeszcze przed 2014 r. gromadziła materiały wybuchowe, przygotowywała

William J. Burns
– dyrektor
Centralnej Agencji
Wywiadowczej (CIA)



dywersantów. I SBU tych ludzi systematycznie wyłapywała. Mówią o tym jej komunikaty publikowane po 24 lutego – że złapali jakiegoś kolejnego zwiadowcę, który fotografował centra łączności, bazy materiałowe, centra dowodzenia... Dzięki tym działaniom wysiłki V Służby w wielkim stopniu poszedł na marne.

Na pewno nie udała się operacja wstawienia Wiktora Medwedczuka, jednego z najbardziej znanych ukraińskich oligarchów, jednego z szefów Za Życie, zwanego kumem Putina, na stanowisko prezydenta.



Richard Moore – szef brytyjskiego
Secret Intelligence Service (MI6)

– Takie są informacje – że gdyby na początku wojny operacja zdobycia Kijowa się powiodła, Medwedczuk byłby prezydentem. Dlatego nie został ewakuowany odpowiednio wcześniej.

Bo do 24 lutego przebywał w areszcie domowym...

– Jego firmy uczestniczyły w wywożeniu surowców z Krymu. Miał w związku z tym zarzut zdrady stanu, przebywał w areszcie domowym. Jak się zaczęła wojna, to z tego aresztu uciekł. Oficerowie SBU i policji, którzy go pilnowali, albo zostali przekupieni, albo byli agentami FSB. Związał więc z aresztu i czekał gdzieś w ukryciu na rozwój sytuacji. Liczył, że wojska rosyjskie zdobędą Kijów i ogłoszą go prezydentem.

A Kijów się obronił.

– Zdecydowano zatem, że trzeba go wywieźć do Tyraspolu, do Nadnistrza. Nie chcieli go wywozić w stronę granicy rosyjskiej czy białoruskiej, bo się bali, że tam będą szczelne kontrole. Wiedzieli, że jest poszukiwany, nie wiedzieli natomiast, że w swojej grupie mają agenta – a ewidentnie mieli.

Jak chcieli go wywieźć?

– Przebrali się wszyscy w mundury i udawali, że są konwojem wojskowym, który jedzie w stronę Odessy. A tak naprawdę mieli dojechać w pewne miejsce, w którym mieli się zatrzymać i przeskoczyć przez granicę. Żeby utrudnić SBU działanie, znaleźli ileś sobowtórów Medwedczuka i zaczęli ich wysyłać



Siergiej Naryszkin – dyrektor
Służby Wywiadu Zagranicznego
Federacji Rosyjskiej

był kiedyś oficerem KGB, stąd te nerwy. Potem pytały go też inne osoby. Każdej powiedział co innego. Ratownicze – że był oficerem KGB. Jednej kobiecie – że był doradcą prezydenta. Innej – że był deputowanym Partii Regionów. Wszystko się zgadza – Medwedczuk był oficerem KGB, był doradcą prezydenta i był w Partii Regionów. Dowcip polega na tym, że jak ktoś opowiada takie rzeczy, to robi wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

I on chciał zwrócić na siebie uwagę?

– Ewidentnie. Po to, żeby służyć ukraińskie go złapały i ogłosiły koniec poszukiwań. Ale Ukraińcy wszystko to wiedzieli! I wyjęli konwój z prawdziwym Medwedczukiem jak swój. A składał się on właściwie



Piotr Krawczyk
– szef Agencji Wywiadu

w różne strony, także w stronę granicy ukraińsko-polskiej. Sądzę, że byłem mimowolnym świadkiem tej akcji.

To znaczy?

– W tym czasie byłem w konwoju, który pojechał do Winnicy, i stamtąd wracaliśmy. Zabraliśmy ze sobą kilkadziesiąt osób, głównie kobiet i osób starszych. I w tej grupie był taki agent. Mężczyzna powyżej sześćdziesiątki, przypominał z wyglądu Medwedczuka. Gdy zbliżyliśmy się już do granicy, on nagle dostał zapaści. Czy była prawdziwa – trudno mi wyrokować. Na szczęście była z nami ratowniczka medyczna, zbadała go i niczego nie stwierdziła. Zaczęła go więc pytać, dlaczego tak się denerwuje. Odpowiedział jej, że

z samych oficerów SBU i policjantów, wszyscy albo byli przekupieni, albo wprost byli rosyjskimi agentami. Jednocześnie był w tej grupie ktoś, kto pozostał wobec Ukrainy lojalny. On konwój wydał. I w ten sposób rosyjska operacja się rozsypała. **Można się pogubić w tych podwójnych, a czasami potrójnych agentach.**

– Agentura rosyjska była i jest w ukraińskich służbach. Ale Ukraińcy coraz sprawniej ją identyfikują. To miało krytyczne znaczenie w pierwszych godzinach inwazji, kiedy uniemożliwili zajęcie obiektów rządowych i wysunięcie Medwedczuka na prezydenta. A rozwaleniem „Moskwy” zablokowali możliwość desantu na Odesę.

Zatopienie „Moskwy” było skomplikowaną operacją.

– Krąży wersja, że wielką rolę odegrał tu amerykański samolot do zwalczania okrętów nawodnych P-8 Poseidon. Wyleciał on z bazy na Sycylii, nad Rumunią wyłączył swoje sygnały identyfikacyjne i wyszedł, gdzie jest krążownik, podał jego dokładne położenie. Moim zdaniem zrobił jeszcze jedno – sprawdził, czy systemy obrony przeciwrakietowej „Moskwy” działają. Ukraińcy, odpalając rakiety – to były neptuny – powiedzieli, że „Moskwa” przed nimi się nie obroni. Ta informacja miała krytyczne znaczenie. W konsekwencji Rosjanie musieli się wycofać z Wypły Węży.

V Służbie nie udało się jeszcze jedno – pokazanie tajnych laboratoriów amerykańsko-ukraińskich, w których rzekomo pracowano nad bronią biologiczną. O tych laboratoriach Rosjanie bębnili na okrągło, a tu nic.

– Myślę, że szef SWR Siergiej Naryszkin obiecywał Putinowi informacje, że Ukraina pracuje nad bronią biologiczną, chemiczną, nuklearną. W Stanach Zjednoczonych sieć fejkowych kont rozsiewała wieści, że laboratoria, z których pochodził covid, były ulokowane na Ukrainie. Dlaczego Rosjanie zdewastowali laboratoria w Czarnobylu? Bo szukali tam dowodów, że Ukraina pracuje nad bronią jądrową. I gdyby pokazali te tajne laboratoria, sytuacja Kijowa stałaby się zupełnie inna, dramatyczna. Skłonność do pomagania Ukrainie gwałtownie by osłabła. To także jest duży sukces SBU.

Dlaczego?

– Gdy jakaś służba obiecuje, że znajdzie dowody, ale nie może ich znaleźć, to je podrzuca. A na Ukrainie nic takiego się nie stało. To znaczy, że Rosjanom nie tylko nie udało się niczego znaleźć, ale nawet nie zdążyli niczego podrzucić.

Jest to więc wojna nie tylko gorąca, ale również na podstęp i dezinformację. Rosjanie z tego styną.

– Amerykanie i Brytyjczycy też są bardzo dobrzy w tej sztuce. Też nie mają czego się wstydić.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Marek Czarkowski

Wojna i kryzys gospodarczy to świetne okazje, by sporo, a nawet bardzo dużo zarobić. W ostatnich tygodniach pojawiło się wiele przykładów ilustrujących tę tezę. Pół biedy, gdy chodzi o „paragony grozy”: właściciel baru w nadmorskiej miejscowości wycenia kilogram mrożonej rybki na 160 zł, za gałkę lodów sprzedawca winszuje sobie 10 zł, a za kostkę masła trzeba zapłacić 8-9 zł. Mniej sympatycznie robi się, gdy ze sklepowych półek znika cukier, by pojawić się na internetowych portalach aukcyjnych.

Cukier krzepi. Ale kogo?

„4320 zł za paletę – czyli 960 kg cukru. Kraj pochodzenia – Polska” – to jedna z ofert sprzedaży, które można znaleźć w serwisie internetowym OLX. Przy czym cena bardzo korzystna – 4,50 zł za kilogram. Niejaki Aleksander z Pruszkowa w tym samym portalu sprzedaje cukier po 8,50 zł. W serwisie Allegro to niemal promocyjna cena. Zdarzają się oferty nawet po 12 zł za kilogram. Nie od dziś wiadomo, że „cukier krzepi” – zwłaszcza ludzi przedsiębiorczych, których znów zaczynamy nazywać spekulantami.

Premier Morawiecki słodkim głosem zapewnia, że cukru jest dużo, a braki na półkach to efekt paniki i wina zachodnich koncernów, które kontrolują supermarkety. Wiadomo, do kogo należą sieci Aldi i Kaufland!

Postpandemiczny kryzys i wojna w Ukrainie ujawniły paradoks – Polska, która od lat burakiem cukrowym stoi, nie jest w stanie zapewnić cukru na sklepowych półkach. Tak jak nie jest w stanie zapewnić węgla w składach, choć mamy najbogatsze w Unii jego złoża. W ostatnich dniach w niektórych sklepach zaczyna brakować octu! Tego nie było nawet za PRL!

Łatwo przewidzieć, że obecne wzrosty cen to początek. Dotyczy to zwłaszcza cen żywności. Dziś rolnicy płacą 50% więcej za paliwa niż rok temu, nawozy azotowe zdrożały o ok. 120%, a nawozy wieloskładnikowe o 55%. Dodajmy do tego



Czy braki cukru na półkach to efekt paniki i wina zachodnich koncernów?

Kasa dla zuchwałych

Kto się tuczy na polskiej drożyznie?

środki ochrony roślin – wzrost cen o kilkanaście procent – oraz energię elektryczną, której ceny dla rolników poszły w górę nawet o 70%.

Jeśli cena tony buraka cukrowego w skupie znacząco nie wzrośnie, wielu plantatorów czekają poważne problemy. Bo to, że kilogram cukru będzie kosztował w supermarkecie

w polską wieś, lecz to rządzących nie interesuje – co najlepiej widać na przykładzie dopłat do węgla.

W poszukiwaniu czarnego złota

Znajomy badylarz, właściciel kilkudziesięciu hektarów pod szkłem, na których od lat hoduje pomidory

Polska, która od lat burakiem cukrowym stoi, nie jest w stanie zapewnić cukru na sklepowych półkach.

7-8 zł, jest więcej niż pewne. Już teraz w niektórych kosztuje 4,50 zł. Jeśli oczywiście jest na półkach.

Rosnące ceny cukru nie oznaczają, że na kryzysie utuczą się rolnicy. Przeciwnie! Jak zawsze dostaną po kieszeni. Na drożyznie zyskają pośrednicy. Im jest wszystko jedno, czy sprzedają polski, czy południowoamerykański cukier. Czy mąka wytwarzana jest z ukraińskiego, czy z rodzimego zboża. Czy wieprzowina jest z Podlasia, czy z Jutlandii Środkowej. Drożyzna i jej konsekwencje uderzają

i ogórki, aby sprzedać je jednej z popularnych sieci supermarketów, ruszył do Afryki w poszukiwaniu ponad 20 tys. ton węgla. Jeśli nie załatwi opatu, straci ogromne pieniądze. W identycznej sytuacji znalazło się wielu właścicieli wielkotowarowych i specjalistycznych gospodarstw, którzy produkowali z zyskiem, płacili podatki i finansowali wzrost gospodarczy.

Ci badylarze, hodowcy kwiatów, właściciele ferm trzody chlewnej, kurników, hodowcy bydła – wszyscy

oni potrzebują opatu. Proponowaną przez rząd premiera Morawieckiego „gałęziówką”, czyli chrustem, liśćmi i szyszkami, nie ogrzeją gospodarstw. Muszą zdobyć węgiel. Możliwie szybko i jak najtaniej. Stąd rozpaczliwe pomysły wypraw na Czarny Ląd.

Znakomitej jakości antracyt łatwo można kupić po wyjątkowo promocyjnej cenie w kopalniach nieuznawanych republik ługańskiej i donieckiej. Droższy jest, równie dobry, węgiel

legalnie sprowadzać ten surowiec z Rosji. Embargo wchodzi w życie za kilkanaście dni.

Dziś nikt nie może zabronić polskiej spółce zakupu – legalnie i w dobrej wierze – od zarejestrowanej na Cyprze międzynarodowej spółki płynącego do Europy ładunku „afrykańskiego” węgla. Z powodu przeciążenia naszych portów trafi on nad Wisłę koleją z Niemiec lub Holandii. Dokumenty będą w najlepszym porządku.

Rosnące ceny cukru nie oznaczają, że wzbogacą się rolnicy. Przeciwnie! Jak zawsze dostaną po kieszeni. Na drożyznie zyskają pośrednicy.

syberyjski. To oczywiście czarne złoto dla zuchwałych. By zakazany surowiec sprowadzić do Polski, potrzebne są odpowiednie kontakty, zaufani ludzie i odrobina odwagi. Ale się opłaci, gdyż upusty mogą sięgać nawet 40% w porównaniu do cen węgla australijskiego czy południowoafrykańskiego.

Jak to zorganizować? Zachodnie media regularnie opisują fortele, dzięki którym zachodnie i rosyjskie spółki omijają embargo nałożone na handel ropą i produktami ropopochodnymi. Najprostszy sposób polega na tym, że wypełniony ropą tankowiec, który wypływa z portu Ust-Luga w pobliżu Petersburga, „znika” na morzu. Następnie jego ładunek jest kilkunastokrotnie sprzedawany i kupowany przez założone w rajach podatkowych spółki, by trudno było się zorientować, skąd właściwie pochodzi ropa. Po kilku, kilkunastu dniach tankowiec z ropą zjawia się w jednym z zachodnich portów, gdzie nikt nie zadaje idiotycznych pytań, i jest szybko rozładowywany. Przy upustach sięgających 30% zysk z jednej operacji to dziesiątki milionów dolarów. Przypomnę, że tajemnicze tankowce przyływały z Rosji do trójmiejskich portów już po rozpoczęciu rosyjskiej agresji na Ukrainę. Nikt nie chciał się przyznać do ich ładunków. Ale też nikt nie robił z tego problemu.

Z węglem będzie podobnie, choć na razie nie ma takiej potrzeby. Do połowy sierpnia firmy z krajów unijnych – z wyjątkiem Polski – mogą

I zapewne nasze władze nie będą zbyt dokładnie sprawdzały, skąd naprawdę pochodzi ten surowiec, bo mają świadomość, że do jesieni nie będą w stanie spełnić obficie rzuconych obietnic wypełnienia składów egzotycznym węglem, kolumbijskim, australijskim i afrykańskim, za rozsądną cenę. Chyba że ktoś sygnie przedsiębiorczych „importerów”, jak nieraz bywało, i media podniosą larum, że finansujemy separatystów i reżim Putina.

Środki na zakup węgla energetycznego mają pochodzić z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19.

Na liście firm, które tuczą się, lub mogą się utuczyć, na panującej drożyznie, spółki sprowadzające węgiel z Rosji i Donbasu zajmują wysokie miejsce. Nie ma co się obrażać, że oznacza to łamanie embarga. Na początku tego roku ukraińska prokuratura postawiła zarzuty, m.in. zdrady stanu, byłemu prezydentowi Petrowi Poroszenko, który w latach 2014-2015 miał w zмовie i w porozumieniu z wpływowym promoskiewskim politykiem Wiktorem Medwedczukiem organizować dostawy antracytu z separatystycznych republik ługańskiej i donieckiej.

Ówczesna sytuacja w Ukrainie przypominała tę, w jakiej obecnie jest nasz kraj. Wtedy kopalnie zaopatrujące połowę elektrowni

konwencjonalnych naszego sąsiada znalazły się pod kontrolą separatystów. W kraju rozpaczliwie brakowało węgla wysokiej jakości. Kijowskie władze zamówiły dostawy surowca z Republiki Południowej Afryki, ale był on drogi i transport drogą morską wymagał czasu. Tymczasem wyłączenia prądu w przedsiębiorstwach stały się codziennością. Gdyby nie ukraińskie elektrownie atomowe, zabrakłoby prądu w gospodarstwach domowych, szpitalach i budynkach administracji państwowej. Absolutnie niezgodne z ukraińskim prawem, lecz uzasadnione społecznie i ekonomicznie zakupy antracytu w Donbasie zapewniły krajowi ciepło i energię elektryczną. A organizatorom przedsięwzięcia – pokaźne zyski.

Węgiel i respiratory

13 lipca premier Mateusz Morawiecki wydał polecenie, by należące do skarbu państwa spółki PGE Paliwa i Węglkoks zakupiły 4,5 mln ton węgla energetycznego, który ma trafić do gospodarstw domowych. Ma to być węgiel wysokiej jakości i powinien zostać sprowadzony do 31 października – co czyni przedsięwzięcie niezwykle trudnym. Środki na jego

zakup mają pochodzić z Funduszu Przeciwdziałania COVID-19.

Od osób zorientowanych w rządowych planach zapewnienia krajowi bezpieczeństwa energetycznego dowiedziałem się, że z powodów politycznych – z węgla korzystają głównie mieszkańcy wsi i małych miasteczek, a więc twardy elektorat Prawa i Sprawiedliwości – ma on zostać kupiony i dostarczony do Polski „za wszelką cenę”. Co może oznaczać, że Węglkoks i PGE Paliwa będą kupowały drogo, bo chętnych na ten surowiec jest w Europie więcej. I są od nas bogatsi.

Niemcy planują w tym roku uruchomienie trzech elektrowni węglowych. Także Włosi chcą powrotu do energetyki węglowej. Daleki Wschód ▶

► kupuje węgiel kamienny na potęgę. Nawet kraje arabskie nie gardzą czarnym złotem.

Jeśli rachunek ekonomiczny miałby trzymać się kupy, cena węgla dla polskiego odbiorcy indywidualnego może wynieść nawet 4-5 tys. zł za tonę.

Wolno mieć nadzieję, że historia się nie powtórzy i z węglem kupowanym na polecenie premiera Morawieckiego nie będzie tak jak z respiratorami, które Ministerstwo Zdrowia kupiło od nieżyjącego już handlarza bronią z Lublina, czy bezużytecznymi maseczkami sprowadzonymi do Polski z Chin przez KGHM. Przy tamtych transakcjach także obowiązywała zasada „za wszelką cenę”.

Ryby w mętnej wodzie

W większości sektorów polskiej gospodarki panuje dziś zamieszanie i niepewność wywołana konsekwencjami pandemii oraz wojny w Ukrainie. Szybko rosnąca inflacja, błyskawicznie zmieniające się okoliczności, chaos decyzyjny niemal na wszystkich szczeblach administracji rządowej – to nie sprzyja stabilizacji nastrojów społecznych ani cen. W tych warunkach najszybciej zarabiają pieniądze osoby zdeterminowane, nie liczące się z prawem ani zasadami,

dla których jedynym celem jest osiągnięcie maksymalnego zysku.

Tymczasem branże energetyczna, paliwowa i bankowa mają się świetnie. Okazuje się, że nieszczęścia dotykające nasz świat nie mają wielkiego wpływu na ich zyski. W I kwartale br. zysk netto Grupy Orlen wyniósł 2,8 mld zł i był o 1 mld zł wyższy niż rok temu. Polska Grupa Energetyczna SA w I kwartale br. osiągnęła skonsolidowany zysk netto w wysokości ponad 1 mld zł. Także Grupa Enea miała czym się pochwalić. Przychody ze sprzedaży w I kwartale br. wzrosły w stosunku do roku ubiegłego o 43%, a zysk netto wyniósł 548 mln zł. Było to możliwe dzięki wysokiej inflacji. Zysk netto sektora bankowego w okresie od stycznia do maja br. sięgnął 12,9 mld zł.

Końcówka roku będzie niezwykle emocjonująca dla zarządów owych spółek. Im więcej zarobią, tym wyższe otrzymają premie. Nie zmieni to faktu, że największe ciężary związane z kryzysem dźwigają i będą dźwigać na swoich barkach najślabi. Drożyzna na targowiskach to jedno, a łupienie klientów banków i oskubywanie ich na stacjach paliw to drugie.

Ostatnio głośno jest o podniesieniu wynagrodzenia posłom,

senatorom, ministrom, premierowi, marszałkom Sejmu i Senatu. Rządzący wiedzą, że obywatelom to się nie spodoba, ale uznali, że ludzie pokrzyczą, pokrzyczą i zapomną. Bo ze wszystkich instytucji publicznych, spółek prywatnych i państwowych to rząd w czasach wojny, kryzysu i inflacji tuczy się najbardziej.

Podatki w Polsce – na tle innych europejskich państw – są umiarkowane. Mimo to rządzący zrobili sobie nad Wisłą niezłe Bizancjum. Solidne premie dla urzędników państwowych wysokiego szczebla, wakacje kredytowe dla raczej zamożnych kredytobiorców, a gdy trzeba – ponad 11 mld zł na dodatek węglowy, który trafi głównie do sympatyków Prawa i Sprawiedliwości.

Władza kupuje zwolenników, dając do zrozumienia, że nawet jeśli kradnie, to potrafi się dzielić. Ten obyczaj zrujnował Grecję. Lewicowi i prawicowi politycy wygrywali w tym kraju wybory, obiecując obywatelom coraz większe profity. Jeśli brakowało środków – pożyczali od niemieckich, francuskich i amerykańskich instytucji finansowych. Proceder ten trwał dekady. Gdy w roku 2008 wybuchł kryzys wywołany upadkiem banku Lehman Brothers, światło dzienne ujrzały głęboko skrywane tajemnice greckich finansów. I w Atenach skończyło się rumakowanie.

Polsce grozi identyczny scenariusz, jeśli jako obywatele zapagniemy, by politycy tuczili nas zarówno w czasach kryzysu, jak i tych normalnych. Pozwolimy im kraść, byle się dzielili. Finał jest łatwy do przewidzenia. Trzeba będzie ciąć najpierw wydatki socjalne, potem na kulturę, zdrowie, oświatę... Na kryzysie, który nadejdzie, tuczyć się będą banki, bo zażyczą sobie wyższych odsetek. Ale to przyszłość. Nas czekają kolejne „paragony grozy” z wakacji, drożyzna w sklepach i na bazarach, wyższe opłaty za światło, gaz i wodę. Nawet wywóz śmieci będzie droższy. I tylko politycy będą zadowoleni. Bo najłatwiej łowić ryby w mętnej wodzie.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl





Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nie przepraszam, że nie bayraktaryzuję

Wyrażenie wątpliwości na temat społecznej zrzutki na kupno tureckiego drona dla ukraińskiego wojska, zainicjowanej przez Sławka Sierakowskiego i mającej jego twarz, nie jest tak proste jak roztrząsanie znaczenia wypowiedzi Olgi Tokarczuk o literaturze nie dla idiotów. Dlatego wokół tej zakończzonej „sukcesem” zbiórki, w której zgromadzono prawie 25 mln zł, wpłaconych przez ponad 200 tys. ofiarodawców/czyń, panuje cisza. Lęk przed wychyleniem się poza prowojenne wzmożenie sprawia, że nabieramy wody w usta. Nieliczne osoby, które jak Magdalena Środa czy Janka Ochojska dzielą się swoim dystansem lub wręcz odmową udziału w tym społecznym poruszeniu, narażają się na falę bezpardonowych ataków. Wszak za zbiórką opowiedziało się tak wiele osób znanych i lubianych, jakże się przeciwstawić im wszystkim naraz? Przecież oni wszyscy nie mogą się mylić. Agnieszka Holland, Marek Belka, Andrzej Stasiuk, Agnieszka Wiśniewska, Jacek Żakowski, Katarzyna Kasia, Radosław Sikorski, Paweł Smoleński, Borys Szyc, Bogusław Linda, Adam Bodnar, Ewa Chodakowska, Małgorzata Ohme, ks. Kazimierz Sowa, Joanna Przetakiewicz, Michał Rusinek, Ziemowit Szczerek, Antoni Dudek, Marcin Matczak, Stanisław Tym, Anja Rubik... Może wystarczy, nie ogarniam klucza tej partii.

Zastanawiam się, dlaczego czuję wobec tego poruszenia całkowity opór, niezgodę, bezradność. I nie chcę tu się zajmować motywacjami wyżej wymienionych (niewielkiej wszak ich reprezentacji). To dla nich – oprócz gen. Skrzypczaka (za pewne) – aktywność całkiem nowa. Ludzie pióra, sceny, filmu, dziennikarze, celebryci, projektanci stanęli ramię w ramię przy założycielu Krytyki Politycznej, jednego z najważniejszych miejsc intelektualnych polskiej lewicy od 20 lat. I składają się na śmiercionośną, groźną, potężną broń.

Poszedłem na koncert – okazało się, że uczestnicy zbiórki na bayraktara mają ulgę, potem wszyscy stanęli do zdjęcia i zamiast „marmolada” krzyčeli „bayraktar”. Dlaczego nie krzyčiałem? Dlaczego nie wpłaciłem, dlaczego kręcę głową? Przecież nie mam wątpliwości, że Rosja zaczęła wojnę, że dokonała aktu agresji, że dzieją się tam rzeczy straszne i zbrodnicze. I chciałbym, aby jak najszybciej, natychmiast zakończyły się działania wojenne, żeby ukraińskie dzieci wróciły do swoich domów i szkół, ich matki, ojcowie do własnego życia, żeby rosyjscy rekruci także wrócili do siebie inaczej niż w stalowych trumnach czy skremowani w mobilnych spalarniach zwłok.

Głosy wołające o pokój, kiedy szczęka oręż, kiedy bomby i rakiety spadają na miasta, wioski, przysiółki, kiedy giną cywile, dzieci, wydają się naiwne i nie na czasie. Nie uważam

tak. Szczególnie że dzisiejsze wzmożenie „ku zwycięstwu” Ukrainy bardzo mocno koresponduje z milczeniem, kiedy wojny jeszcze nie było; wówczas w debacie politycznej w Polsce, w mediach, na uniwersytetach, w twórczości dyskurs pokojowy po prostu nie istniał. Wyśmiewano hasło „Nigdy więcej wojny”, a z całą pewnością nie traktowano go poważnie. Tymczasem inne wojny trwały bez przerwy, dalej trwają, w niektórych Polska wzięła udział.

Wojny toczą się między państwami. Czasem między grupami państw, sojuszami, niekiedy za ich poduszczeniem. Państwa w naszym imieniu mogą prowadzić działania zbrojne; mówiąc ogólniej, mają monopol na stosowanie przemocy. Równocześnie z tym „przywilejem” mają pierwotnie ważniejsze zobowiązanie do uprawiania polityki za pomocą innych narzędzi niż wojna, która po doświadczeniach XX-wiecznych nie powinna mieć prawa się wydarzać. Z żadnego powodu, za żadną cenę. Tak się nie dzieje, bo ma w tym udział nasze „antypacyfistyczne” milczenie.

Nie kupuję czyszczenia sumień zakupem bayraktara.

Pokój nie był priorytetem politycznym w ostatnich dekadach. Były nim wzrost gospodarczy i „nasze” bezpieczeństwo. Zbieramy owoce tamtego milczenia, zagłuszając swoją odpowiedzialność zbiórką na broń. Jest paradoksem, że po zakończzonej „sukcesem” zbiórce producent drona zapowiedział, że przekaże go Ukrainie za darmo, a zebrane pieniądze należy przeznaczyć na pomoc humanitarną. W komentarzach już czytałem, że zbiórkowicze nie po to zbierali na bayraktara, żeby teraz zmarnować te pieniądze na jakieś humanitarne fanaberie. Dawać drugiego, kolejnego drona.

Nie będę nigdy brał udziału w „obywatelskim” wzmożeniu na rzecz umierania Ukraińców i tych, którzy na nich napadli. Wojna nie dzieje się z dnia na dzień, podobnie nie kończy jednym bayraktarem. Jestem przekonany, że mimo wahań wielu osób, które na drona się składały, nie tędy droga do pokoju i końca wojny w Ukrainie. Tylko że wszystkie inne rozwiązania wymagają czegoś więcej niż przelania paru złotych. Kupując bayraktara, akceptujemy wojenne myślenie, wojenny przymysł, wojenną przemoc i logikę – dosłownie, krwawo.

Na jedynej manifestacji antywojennej w Warszawie w ostatnich miesiącach było 20 osób. Wśród nich nikogo z tych, którzy zachęcali do zbiórki na bayraktara. To w końcu jak? Wojna czy pokój? Wybieram bycie śmiesznym, ale antywojennym do szpiku kości. I bezwyjątkowo. Nie kupuję czyszczenia sumień zakupem bayraktara.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Ciemna strona drona

Zarzuty, że tureckie bayraktary są wykorzystywane do ataków na cywilów, sprzedawane autokratom i wbrew obowiązującym sankcjom, dziwnie ucichły

Jakub Dymek

Polacy oszaleli na punkcie zbiórki na drona dla Ukrainy. Założona przez publicystę Sławomira Sierakowskiego akcja stała się już największą tego typu kwestą w historii portalu Zrzutka.pl. Wsparli ją celebryci (Krystyna Janda, Maciej Stuhr i Kuba Wojewódzki), politycy (Radosław Sikorski, Marek Belka) i dziennikarze. Sierakowski zebrał ponad cztery razy więcej pieniędzy niż trwająca

„Czy leci z nami Szczecin? :) Mamy już 60 proc. tego latającego cuda!”, zachęca do wpłat w tonie wesołego wodzireja Sławomir Sierakowski i namawia do składania na aukcję dziecięcych rysunków. „Zróbmy sobie konkurs miast”, pisze i w nagrodę za „pożyteczną zabawę” obiecuje przekazać zwycięskiemu miastu lub miasteczku „zniszczony rosyjski czołg”. Popularność zbiórki, jej radosny charakter i lęk przed krytyką jakiegokolwiek akcji obiecującej pomoc Ukrainie doprowadziły jednak do tego, że przez

przekazać pieniądze Siłom Zbrojnym Ukrainy, robimy gigantyczną reklamę koncernowi zbrojeniowemu, który dostarcza broń m.in. Libii, Etiopii i Turkmenistanowi? Czy komuś przeszkadza, że przy użyciu tureckich dronów różni autokraci i dyktatorzy mordują cywilów i uchodźców, co opisywały zachodnie media, i czy komuś z tego powodu zadrżała ręka?

Jak jednak dzieje się z coraz to nowymi sprawami, także kwestia pomocy dla Ukrainy (i tego, jaka jest najskuteczniejsza) została zredukowana do zero-jedynkowego wyboru między dobrem i złem, a spór czy uczciwą polemikę na temat sposobów i metod zastąpiła seria moralnych szantaży. Nawet tak niekontrowersyjne argumenty jak to, że pomocą wojskową powinny się zająć państwa narodowe, armie i sojusze wojskowe, a nie cywile, społeczeństwo obywatelskie i organizacje humanitarne, są teraz uważane za niesłychanie obrazoburcze.

Pomoc ofiarom wojny w Ukrainie (i innych wojen) jest oczywistym imperatywem moralnym. Nie mam też zamiaru protestować przeciwko suwerennym decyzjom państw europejskich, które przekazują Ukrainie broń. Nawet jeśli Polska odda swój ostatni czołg, nie zgłoszę słowa sprzeciwu. Ale polska Wielka Orkiestra Wojennej Pomocy pod znakiem bayraktara wciąż budzi we mnie więcej wątpliwości niż zachwyty. Oto one.

Argument pierwszy: podział pracy

Czy zbyt dużą naiwnością jest oczekiwać, że w sprawie wojny może obowiązywać podział pracy? Lewica, pacyfiści, organizacje humanitarne i społeczeństwo obywatelskie organizują pomoc ofiarom, zbierają dary

W 2021 r. amerykańscy kongresmeni oskarżali Turcję o destabilizowanie świata za pomocą eksportu dronów bojowych i łamanie sankcji. Dziś bayraktary cieszą się sławą.

równolegle bardzo głośna zbiórka na cele humanitarne #RazemDlaUkrainy prowadzona przez Fundację To Się Uda. Na m.in. mleko i środki higieniczne dla sierocińców, leki dla szpitali, jedzenie dla uchodźców i paliwo dla ludzi wiozących na wschód pomoc zebrano do tej pory w ramach zrzutki 4,1 mln zł. Dla firmy Baykar Technologies na drona dla ukraińskich sił zbrojnych udało się zebrać w ciągu kilku tygodni i przed czasem 22,5 mln zł. 28 lipca osiągnięto nawet 24,5 mln zł.

Już sam fakt, że jako społeczeństwo wolimy sfinansować kupno broni niż pomoc ofiarom wojny (w tym ratującą życie i zdrowie), jest wart dyskusji – dyskusji, która się nie toczy. Zbiórka na drona osiągnęła oszałamiający sukces medialny, a jego częścią jest z pewnością rozrywkowa, festynowa wręcz atmosfera towarzysząca całemu przedsięwzięciu. Coś jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, tylko na broń.

kilka tygodni nikt nie zadał publicznie oczywistych pytań o sens zbierania przez cywilów pieniędzy na broń dla sił zbrojnych innego państwa ani nie wyraził wątpliwości związanych z tak wielką reklamą koncernu Baykar, jaką organizują dziś bezpłatnie liczne polskie redakcje i celebryci.

Pytania i szantaże

A ponieważ takie zbiórki to zjawisko dość nowe, pytań naprawdę nie brakuje. Od kiedy rolą obywateli i zadaniem internetowych zrzutek – a nie państw i sojuszy wojskowych – jest wspieranie zbrojne innego państwa? Dlaczego mamy dać te pieniądze firmie związanej rodzinnie i politycznie z tureckim autokratą Recepem Tayyipem Erdoğanem? Dlaczego lewica uważa dziś, że pomoc humanitarna, w tym ratująca życie i zdrowie, jest co najwyżej drugorzędna, a „wysyłanie broni to najlepszy humanitaryzm”? Dlaczego, zamiast po prostu



Turcja dostarcza bayraktary rządowi m.in. Libii. Np. dron zestrzelony w Libii w 2020 r.

dla napadniętego kraju i naciskają na polityków, by podjęli wszelkie niezbędne do osiągnięcia pokoju kroki. Pomocą zbroijną zaś w tym czasie zajmują się armie i sojusze wojskowe, koordynuje ją NATO albo inna powołana w tym celu struktura, a kwestię najlepszych zakupów zbrojeniowych rozstrzygają eksperci, nie laicy. W sprawie Ukrainy raz po raz próbuje się nas przekonać, że tak być nie może. Pomoc ofiarom, leczenie chorych i okaleczonych, dach nad głową dla uchodźców – to wszystko błędnie i nudzi się szybko wobec perspektywy kupna śmiertelnoścnośnego „latającego cuda”, jak pisze Sierakowski. Wizja długoterminowej pomocy Ukrainie nie jest tak ekscytująca jak fantazja, że wysyłając przelew zza biurka w Warszawie, możemy wygrać wojnę z Rosją.

„Nie czas na pacyfizm”, „pomaganiem sierotom wojny się nie wygra”, „dostawy broni to najlepszy rodzaj humanitaryzmu” – dochodzą zewsząd głosy. „Jaka jest najlepsza pomoc humanitarna dla Ukrainy? Przykro mi, ale broń. Ciężka broń do wyrzucenia Rosjan”, mówiła niedawno w rozmowie z magazynem „The New Humanitarian” Jewgienija Krawczuk, rzeczniczka partii prezydenta Zełenskiego i ukraińska parlamentarzystka. Po czym przystąpiła do krytykowania m.in. Czerwonego Krzyża i zasady neutralności organizacji pomocowych. Podkreślała, że nie rozumieją one Ukrainy i jej sytuacji.

Wiem, dlaczego mówi to ukraińska polityczka. Ale ten sam język, którego ona używa w desperacji i palącej potrzebie, w Polsce służy przykryciu intelektualnego lenistwa.

Argument Krawczuk nie jest zresztą prawdziwy. Jeśli organizacje społeczne, humanitaryści, społeczeństwo obywatelskie – wszyscy ludzie dobrej woli – zaczęną się zajmować pomocą militarną i powtarzać: „Jedzeniem dla sierot wojny się nie wygra”, to na miejscu jest pytanie, kto w takim razie ma dostarczać ratującą życie pomoc do szpitali, żywność i ciepłe ubrania dla ofiar wojny. I od czego w takim razie – jeśli nie od pomocy militarnej właśnie – mamy ministerstwa obrony, armie i NATO? I czy nie od nich należy się tego domagać?

Zapytałem o to ostatnio Janinę Ochojską, założycielkę Polskiej Akcji Humanitarnej. Odpowiedziała, że nie tylko nie dołożyła się do zrzutki na drona dla Ukrainy, ale również boi się długoterminowych skutków pomieszczenia pojęć pomocy militarnej i humanitarnej. Sytuacji – tłumaczyła mi Ochojska – w której uwaga mediów i bezcenna dla działań charytatywnych promocja ze strony celebrytów zostaną przekierowane na zakupy zbrojeniowe, a nie pomoc ofiarom wojen. „Jeśli Polacy chcą kupić drona Ukrainie, to dlaczego nie Syryjczykom, dlaczego nie Jemeńczykom, dlaczego nie innym krajom, gdzie od lat trwa wojna? Życie innych ofiar jest mniej ważne?”, pytała retorycznie

założycielka PAH. I dodawała, że w Ukrainie – gdzie misja Polskiej Akcji Humanitarnej działa od 2014 r. – ludzie, przede wszystkim starsi i samotni, od lat umierają. I bez pomocy humanitarnej dalej będą umierać.

Twierdzenie, że pokojowymi działaniami nie można pomóc Ukrainie, to po prostu nieprawda. Pokojowo właśnie odsunięto od Ukrainy konieczność spłaty długu publicznego, którego ciężar załamałby jeszcze w tym roku budżet; pokojowo kraje Europy Zachodniej leczą ukraińskich żołnierzy i odciażają służbę zdrowia zaatakowanego kraju; pokojowo prywatne firmy i rządowe agencje dostarczają Ukrainie na front łączność internetową i satelitarną – mówienie, że to wszystko nie pomaga w walce tak, jak pomógłby jeden dron, raz jeszcze jest kłamstwem. Możemy mówić, że dostarczanie Ukrainie jedzenia, pieniędzy czy leków jest głupotą naiwnych pacyfistów, ale ukraińscy cywile będą ginąć z braku leków, sprzętu medycznego, elektryczności, żywności i czystej wody, tak samo jak giną od rosyjskich rakiet.

Argument drugi: państwo ze zrzutki

Zrzutka na bayraktara reprezentuje sobą niemal wszystko, co w dyskusji o humanitaryzmie, filantropii i dobroczynności lewica oraz postępowi liberałowie w ostatnich latach piętnowali. Spychanie odpowiedzialności za działania państwa (lub brak tych działań) na indywidualnych obywateli; przekonanie, że wszystko – nawet pokój w Ukrainie – da się kupić, o ile znajdzie się dość chętnych. Tak oto mamy kliktywizm, autopromocję celebrytów i doraźne gesty zamiast systemowych recept. Lewica (w tym „Krytyka Polityczna”, której naczelnym wciąż jest Sierakowski) dziesiątki razy krytykowała za to Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Kaja Puto na łamach „Krytyki” nazwała akcję Owsiaka „świąteczkiem do piekła” i przekonywała, że w podobnym charytatywnym wzmożeniu ogniskuje się ▶

wszystko, co najgorsze w pokoleniu założycieli III RP. „Wyznawcy [Owsia-ka] zbierają się raz do roku, żeby dać piątą na inkubatory dla dzieci, (...) a wielu z nich robiło wszystko, żeby nie płacić w Polsce podatków lub płacić ich jak najmniej”, pisała o WOŚP. Dzisiaj ktoś bardziej cyniczny niż ja mógłby napisać: „Wyznawcy Sieraka zbierają się raz do roku, żeby dać piątą na bayraktary dla Ukrainy, a wielu z nich...”.

Samemu krytykowaniu działalności charytatywnej takiej Dominiki Kulczyk „Krytyka Polityczna” poświęciła pół tuzina tekstów, pisząc, że cierpi ona na „kompleks białego zbawcy” i piętnując filantropię jako „przygodę cudzym kosztem”. „Czy mamy prawo zadawać pytania filantropce?”, pytał retorycznie tytuł jednego z tych artykułów. Dziś należałoby zapytać: czy mamy prawo zadawać pytania zrzutce?

Do niedawna lewica – i część postępowych liberałów – mówiłaby, że tych pieniędzy (na pomoc Ukrainie, na jej odbudowę, na odejście od rosyjskich surowców) brakuje, bo podatki uciekają do rajów, gdzie ukrywane są także brudne fortuny rosyjskich oligarchów. A z powodu niezdolności do opodatkowania wielkich korporacji internetowych (które też zarabiały na rosyjskiej propagandzie i dezinformacji) przepadają kosmiczne ilości pieniędzy, a można by je wydać na te szczytne cele. Gdyby tylko dwie największe internetowe platformy w Polsce płaciły podatki proporcjonalne do korzyści, jakie osiągały z działania w naszym kraju, moglibyśmy takich dronów dla Ukrainy zafundować z budżetu 50 rocznie. Gdyby największy z gigantów handlu

internetowego płacił w Europie choć 1% od osiągniętych tu przychodów – 1%, nie 15% czy 20% – moglibyśmy kupić tych dronów całą setkę. Najbardziej nawet spektakularne zrzutki nie dorównają tym kwotom. Nie mówiąc już o tym, na co byłoby europejskie państwa (i cały świat Zachodu) stać, gdyby w końcu weszła w życie propozycja Joeego Bidena wprowadzenia jednolitego globalnego podatku CIT – pacyfiści może powinni mówić, że to dzisiaj największa rzecz, jaką można dla Ukrainy zrobić. Dać światu z powrotem do rąk narzędzia i pieniądze pozwalające oderwać się od Rosji i wspierać Ukrainę. Jednak propozycja Bidena wisi na włosku, może lada dzień upaść, a głosów oburzenia na tę ewidentną porażkę prawie w ogóle nie słychać.

Lewicowa krytyka przygodnej dobroczynności ma długą tradycję i podnosi bardzo słuszne argumenty. Pytanie, dlaczego te argumenty stosowały się do zbiórki na inkubatory, ale nie stosują się do zbiórki na bayraktary...

Argument trzeci: jak nie pokochałem rodziny Bayraktarów

Zbiórka na „polskiego bayraktara dla Ukrainy” jest również na pewnym poziomie wartą miliony reklamą producenta broni. W innych okolicznościach trudno byłoby namówić Agnieszkę Holland, Anję Rubik czy Kubę Wojewódzkiego, aby użyli swoich wartych wielkie kwoty nazwisk i wizerunków do kampanii firmy związanej rodzinie z prezydentem Turcji Erdoğanem. A jednak to właśnie się dzieje: do dorzucenia się na drona tureckiej firmy zachęcają uśmiechnięte twarze Borysa Szycy, Małgorzaty Rozenek czy Mateusza Damięckiego. Zrzutce towarzyszą kolaże i grafiki przedstawiające drona w polsko-ukraińskich barwach tudzież opisy sławiące jego moc i potęgę. Jest to reklama tego uzbrojenia – lecz o kontrowersjach czy ciemnych stronach drona polskie media, w przeciwieństwie do np. amerykańskiego „New Yorkera”, nie piszą; zbywa je także sam Sierakowski. Czy więc wypada w tych okolicznościach choć zapytać, czym

zajmuje się firma Baykar Technologies, producent drona?

Opublikowane właśnie śledztwo dziennikarskie amerykańskiej organizacji non profit ProPublica wskazuje, że Turcja dostarcza bayraktary rządowi m.in. Libii, Azerbejdżanu i Etiopii. Te – piszą dziennikarze – używają ich we własnych konfliktach domowych i wojnach z sąsiadami, a ich ofiarą niejednokrotnie padali już cywile. Jak wtedy, gdy etiopska armia miała użyć tureckiego drona w ataku na szkołę, w której schronili się uchodźcy, cywile uciekający i przesiedleni z pogrążonej w krwawej wojnie prowincji Tigray. „Błysk w środku nocy i huk sypiących się z dronów pocisków obudził pracowników humanitarnych w obozie w Dedebit. 59 osób zostało w bombardowaniu zabitych, wiele więcej rannych. Wszyscy uciekali przed wojną, byli cywilami, a nie uczestnikami walk”, pisał „Washington Post”. Gazeta ustaliła, że maszyna, za pomocą której bombardowano szkołę, to turecki TB2. Dokładnie ten, na którego zbiera Sławek Sierakowski.

Dziennikarze donosili, że tureckie drony były też używane w wojnach przez Libię, Maroko, w Syrii oraz podczas wojny o Górski Karabach przez Azerbejdżan, sojusznika Turcji. Baykar sprzedał je również do Somalii, Kazachstanu, Turkmenistanu czy Tunezji. Zdecydowana większość rynków zbytu na TB2 to dyktatury, państwa autorytarne albo pogrążone w wieloletnich wojnach domowych, gdzie administracja centralna nie sprawuje nawet kontroli nad całością kraju.

Właśnie dlatego, że tureckie drony trafiają do rządów, które następnie przy ich użyciu mordują cywilów, członkowie Kongresu już w sierpniu 2021 r. apelowali do prezydenta Bidena i sekretarza Stanu Antony’ego Blinkena o wstrzymanie eksportu części do dronów do Turcji. Kraj ten bowiem, zdaniem członków Kongresu z obu partii, sprytnie omijał sankcje i sojusznicze zobowiązania wobec NATO. (Organizacja Narodów Zjednoczonych stwierdziła w opublikowanym jesienią 2019 r. raporcie, że Turcja jest jednym z krajów „otwierających i jawnie” łamiących embargo na



dostarczanie broni stronom walczącym w wojnie domowej w Libii).

Dziennikarze ProPublica piszą, że odpowiedzią strony tureckiej na wszystkie zarzuty było jedno słowo: Ukraina. Używanie Ukrainy jako karty przetargowej poszło tak daleko, że pewnego razu prezydent Turcji postanowił zaskoczyć premiera Kanady Justina Trudeau, dając do słuchawki podczas dwustronnej rozmowy głów państw... Wołodomyra Zełenskiego w roli swojego adwokata. Nie

Kanada zdecydowała się przekazywać części do samodzielnej produkcji dronów TB2 bezpośrednio Ukrainie. Polska zamówiła tureckie drony dla naszych sił zbrojnych – nie ma żadnych przeszkód, by naciskać na władze, abyśmy i my pomogli Ukrainie, oddając jej część (lub nawet całość) tego zamówienia. Możemy po prostu zrobić przelew na konto w Banku Gospodarstwa Krajowego (albo w Narodowym Banku Ukrainy) na ukraińską armię!

To, że jako społeczeństwo wolimy sfinansować kupno broni niż pomoc ofiarom wojny, jest warte dyskusji – dyskusji, której nie ma.

znamy dokładnych słów Zełenskiego i Erdoğan, ale z pomocą opisów dziennikarzy jesteśmy w stanie dość dokładnie oddać ich przekaz: „Przestańcie się czepiać firmy Baykar i Turcji, one pomagają Ukrainie”. Dokładnie tego argumentu mieli zdaniem ProPublica używać wynajęci przez firmę lobbyści, aby wyciszyć krytykę, gdy ormiańska mniejszość w USA zaczęła oskarżać Turcję o dostarczanie broni Azerbejdżanowi. Zarzuty łamania sankcji, oszukiwania innych członków NATO i dostarczania broni krwawym reżimom postanowiono równoważyć wielką kampanią wizerunkową z Ukrainą w tle. Cynik powiedziałby, że z punktu widzenia tej kampanii nic lepszego niż zrzutka celebrytów na bayraktara nie mogło się przydarzyć.

Trudno się dziwić Zełenskiemu. Ale czy mamy choć prawo pytać, co robi i do czego wykorzystuje wojenny PR dronów Turcja? Moim zdaniem tak.

Epilog: czy trzeba zabić pacyfizm, aby uratować pokój?

Argument, że musimy koniecznie kupić drona (i wyłącznie od firmy Baykar), jest nieprawdziwy i opiera się na moralnym szantażu. „Jeśli nie kupimy tego drona, to nie pomożemy Ukrainie”. W rzeczywistości można zrobić to na wiele sposobów bez reklamowania tureckiego koncernu.

Ja nie zgadzam się, że dostawy broni to najlepszy humanitaryzm. Ktoś może mieć inne zdanie – i nic w tym złego. Po to istnieje możliwość finansowego wsparcia walczących Ukraińców na różne sposoby. Moim zdaniem można to robić bez etycznych kompromisów, bez obrzydzania ludziom humanitaryzmu, bez umieszczania krytyków zbiórki Sierakowskiego w gronie „sojuszników Putina”, jak to już się dzieje. Bez moralnych szantaży.

O tym, że losy tego konfliktu rozstrzygną się na polu bitwy, ale też w ramach ekonomicznej i energetycznej wojny Zachodu i Rosji, wiedzą wszyscy. Także prezydent Zełenski. W kwietniu, cytowany przez zachodnie media, mówił: „Z całym szacunkiem dla firmy Baykar i dla wszystkich producentów sprzętu, ale to jest inna wojna. Drony mogą pomóc, ale nie zrobią różnicy”. Jego słowa w Polsce mogłyby jednak zostać odebrane z dużą podejrzliwością.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

PS 28 lipca firma Baykar Technologies zadeklarowała wolę przekazania Ukrainie drona za darmo. Pieniądze zebrane w czasie zbiórki mają zostać przeznaczone na pomoc humanitarną.

Tekst jest uaktualnioną wersją artykułu, który ukazał się na stronie autora: dymek.substack.com

KSIAŻKI

KRONIKI CZASÓW BEZROZUMNYCH

Kto nie szanuje swojego życiorysu i macha ręką na brednie i kłamstwa, jakim opisuje się czasy PRL, ten nawet tego nie chcąc, bierze udział w tej politycznej maskaradzie. Gorzkie to słowa, bo wymagają od zwykłych ludzi osobistej odwagi. Wbrew prawicowej propagandzie wylęgającej się z każdego miejsca.

Sławomir Tabkowski z pewnością do milczących nie należy. Uparcie daje świadectwo prawdy o dokonaniach tych pokoleń, którym dzisiejsza Polska zawdzięcza solidne podstawy. Industrializacja, ogromny awans społeczny milionów ludzi, edukacja na wysokim poziomie i kultura o jakości, do której nie dorastają dzisiejsi pogromcy minionych czasów.

Tabkowski był nie tylko uczestnikiem tych procesów, które dla każdego uczciwego człowieka mogą być powodem do dumy. Często był ich kreatorem i współtwórcą. Jest więc ponad miarę swoich antagonistów bardzo kompetentnym recenzentem tego, co teraz tak nieudolnie robią. Celnie punktuje ich fałszerstwa, nieuctwo i prymitywne kłamstwa. Dlatego warto mieć pod ręką dwa tomy jego publicystyki, którą od 2016 r. uprawiał na łamach „Trybuny”.

Już po tytułach można poznać rękę mistrza. Autor zaciekawia trafnością stawianych diagnoz. Widać to zarówno w I tomie „A dzwony dzwonią dzwonią. Komentarze współczesności”, jak i w tomie II „Kroniki czasów bezrozumnych. Trybuna”.

(jed)

Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” sp. z o.o.
e-mail: redakcja@slaskwn.com.pl
www.slaskwn.com.pl



Anna Stachowiak

Siedem na dziesięć spraw o przemoc – tych samych, o których prokuratorzy, adwokaci i policjanci mówią beznamytnie „znięty” – jest umarzanych. To w sytuacjach, w których kobieta (bo zwykle kobiety i dzieci są ofiarami przemocy domowej: fizycznej, psychicznej, seksualnej i ekonomicznej, choć ta ostatnia nawet nie istnieje w polskim prawie) zdecyduje się w ogóle ją zgłosić. A tak się dzieje rzadko, bo jeśli już ofiara zbierze się w sobie i chce się uwolnić od sprawcy, zapewnić bezpieczeństwo sobie i dzieciom, często jest do tego zniechęcana. „Prokurator pomyśli trzy razy, zanim zdecyduje o uruchomieniu całej procedury, dlatego że nie opłaca mu się brać sprawy, która będzie trudna, a w statystykach okaże się, że nic nie udało się zrobić. Po co więc wkładać wysiłek, po co się tym zajmować?”, mówiła w wywiadzie w „Wysokich Obcasach” Joanna Piotrowska, szefowa Feminoteki. Dodała, że kobiety nieraz są wręcz namawiane, by nie składały zawiadomienia lub wycofały sprawę: „Styszają: będzie pani narażona na mnóstwo nieprzyjemności, założy pani tę sprawę, a i tak nic z tego nie będzie. Po co to pani? A tak będzie miała pani święty spokój”.

Wyrok w zawiasach

Jeśli już w tych 30% nieumorzonych spraw wyrok zapadnie, kara najczęściej wymierzana jest w zawieszeniu. Tak było w przypadku kobiety z małej wsi na północy Polski. Sąsiedzi dobrze wiedzieli, że w tym domu jest przemoc. Nikt nie reagował. Kiedy w końcu zdecydowała się złożyć zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa i ruszyła cała machina proceduralna – sprawa ciągnęła się długo – wyrok zapadł w zawieszeniu. Mężczyzna – mąż i ojciec dzieci – wrócił do domu, sięgnął po nóż i zamordował żonę.

Jeśli wyrok nie zapada w zawieszeniu, to i tak jest skandalicznie niski. Jak w głośnej niedawno sprawie Magdaleny, która odeszła od męża i próbowała utożyć sobie

PRZEMOC – system broni kata, nie ofiary



800 tysięcy – tyle kobiet,
jak szacują organizacje pozarządowe,
pada ofiarą przemocy, 400-500 traci życie

życie z nowym partnerem. Mąż nie mógł się pogodzić z tym, że utracił nad nią kontrolę. Zaczął się na nią. W samochodzie miał młotek, opaski zaciskowe, stalowe linki, folię i rękawiczki. Wciągnął ją do samochodu, tłukł młotkiem. Krzyczał: „Nie wyjdiesz stąd, kurwo, żywa”. Cudem uciekła. Miała popękane zębra, twarz poparzoną toksycznym sprejem, wstrząśnienie mózgu i krwiaki w głowie. Prokuratura postawiła

zarzut usiłowania zabójstwa, sąd jednak zmienił kwalifikację czynu na pobicie z usiłowaniem dokonania ciężkiego uszczerbku na zdrowiu. Choć policjantom sprawca jasno mówił, że „chciał zapierdolić żonę”, sąd uzasadnił wyrok następująco: „Dopuszczenie się przez oskarżonego przestępstwa nie wynikało z samej chęci łamania prawa, niepoahamanego pragnienia wyrządzenia krzywdy przypadkowej ofierze, lecz

stanowiło niedopuszczalną, karygodną formę reagowania na niepowodzenia życiowe, w tym małżeńskie, rodzinne i finansowe”. Ot, po prostu chłop odreagował. Magdalena, która podczas ataku błagała ojca jej dzieci o życie, cierpi na PTSD, lecz się z traumy. Po wyroku mówiła gorzko: „Może lepiej się nie bronić i czekać, aż zattucze? Może wtedy uwierzą?

Siedem na dziesięć spraw o przemoc jest umarzanych.

No i może gdybym miała powybijane zęby, twarz pooraną bliznami, to wyrok byłby wyższy?”.

Inny sędzia stwierdził, że mężczyzna nie dopuścił się gwałtu na 14-letniej kuzynce, bo „ofiara nie krzyczała”. W jeszcze innej sprawie prokurator uznał, że mało wiarygodne są zeznania kobiety, której partner groził, że ją zabije i odbierze jej dzieci. Nie zrobili na nim wrażenia zeznania świadków, nagrania, opinie lekarskie ani inne dowody. Umarzając sprawę, w całości oparł się na wyjaśnieniach sprawcy, który twierdził, że to jego była partnerka wszczynająca awantury. Sąd tę decyzję podtrzymał. Bardzo często kobieta, zgłaszając przemoc, traktowana jest jako podejrzana. Niestabilna. Oczywiście niewiarygodna, bo pracownicy instytucji, które teoretycznie mają przemoc zapobiegać i chronić ofiary – policji, prokuratury, sądów – uznają, że zgłoszenie o przemoc jest elementem strategii procesowej przy rozwodzie i podziale opieki nad dziećmi. A zresztą – skoro było jej tak źle, dlaczego nie odeszła wcześniej? Kobieta po raz kolejny staje się ofiarą, tym razem wtórnej wiktylizacji przez instytucje.

Więcej niż 100 tysięcy

Niektóre historie – te szczególnie drastyczne – przebijają się do prasy. Ale to promil. Kobiety wiedzą, że nikt im nie uwierzy, bo zanim pójdą na policję, niejednokrotnie szukają informacji i wskazówek w internecie. Na samym Facebooku działa kilkadziesiąt grup wsparcia dla kobiet, które doświadczają przemocy.

Weteranki sądowe dzielą się wiedzą i doświadczeniem z tymi, które dopiero zaczynają myśleć o zgłoszeniu przemocy lub są na początku tej drogi. Radzą, co robić, czego nie robić, jak się przygotować, do jakiego prawnika udać się po pomoc, gdzie szukać wsparcia psychologicznego. Nie każdego stać na prywatne wizyty u psychologa

czy psychiatry. I nie każdego stać na prawnika. Najczęściej polecane organizacje – i te, które mają największe doświadczenie – to Feminoteka i Centrum Praw Kobiet. Zapewniają pomoc psychologiczną i prawną, prowadzą interwencje, występują jako „przyjaciół sądu”, czyli niekiedy przystępują do spraw. Wydają opinie i ekspertyzy, prowadzą działalność edukacyjną. I szacują, że choć z danych policji wynika, że co roku ofiarą przemocy w domu pada ok. 100 tys. kobiet – ustala się to na podstawie liczby założonych Niebieskich Kart, czyli uruchomionych procedur pomocy, kiedy osoba doświadczająca

przemocy zwróci się do policji – jest ich wielokrotnie więcej. Dane policji są niemiernodajne, bo większość kobiet przemocy po prostu nie zgłasza. Organizacje kobiece szacują, że co roku przemocy doświadcza ponad 800 tys. kobiet. To matki, żony, siostry, przyjaciółki, koleżanki z pracy i sąsiadki. Często nawet nie wiedzą, że to, czego dopuszcza się mąż czy partner, jest przemocą. Słyszą, że jak nie pije i nie bije, to już jest dobrze. Że dobry mąż, bo zarabia i nie zdradza. I taki miły dla sąsiadów, dzień dobry zawsze powie, drzwi na klatkę przytrzyma, pompkę do roweru pożyczyci. A jeśli zdadzą sobie sprawę z tego, że są ofiarami przemocy, i zaczną o tym mówić, spotykają się z niedowierzaniem, obojętnością albo i wrogością – ludzie stoją po stronie sprawcy, bo gdyby wysłuchali ofiary i jej uwierzyli, ich świat ległby w gruzach. Musieliby mieć pretensje i do siebie, że niczego nie zauważyli, i do tego miłego sąsiada, który tak ładnie mówi dzień dobry.

Śmiertelne niebezpieczeństwo

Wiedzy na temat mechanizmów przemocy brakuje także policjantom,

Kobiety często są wręcz namawiane, by nie składały zawiadomienia lub wycofały sprawę.

POMAGAJĄ KOBIECIOM

Feminoteka:

feminoteka.pl

Telefon dla kobiet doświadczających przemocy:

888 88 33 88 – po polsku, czynny od poniedziałku do piątku w godz. 11-19

888 88 79 88 – po ukraińsku, czynny w godz. 14-17

Centrum Praw Kobiet:

cpk.org.pl

800 10 7777 – telefon zaufania ze wsparciem psychologicznym, czynny we wtorki w godz. 10-14 oraz w czwartki w godz. 14-18. Pomoc w zakresie doradztwa i legalizacji pobytu można uzyskać od poniedziałku do piątku w godz. 10-18

prokuratorom i sędziom. Nie mają pojęcia o kole przemocy, jej etapach, o tym, jak zachowuje się ofiara. Może być niespójna, rozedrgana, może nie pamiętać wielu sytuacji. Może się bać, zresztą z badań wynika, że w przemocowej relacji najbardziej niebezpieczny dla kobiety moment to ten, w którym odchodzi od sprawcy. On wówczas nie ma już nic do stracenia. Według Centrum Praw Kobiet rocznie w wyniku przemocy domowej ginie w Polsce 400-500 kobiet. Z raportu UNODC (Biura Narodów Zjednoczonych ds. Narkotyków i Przestępczości) za 2017 r. wynika, że w roku tym połowa zabitych na świecie kobiet zginęła we własnym domu. Dom, jak się okazuje, bywa miejscem śmiertelnie niebezpiecznym, co zresztą pokazała pandemia ▶

► koronawirusa, podczas której nastąpił lawinowy wzrost zgłoszeń dotyczących przemocy. Z powodu lockdownów kobiety zostały zamknięte z oprawcą w domu, bez możliwości ucieczki i otrzymania pomocy. „Każdego dnia na całym świecie 137 kobiet jest zabijanych przez członków rodzin”, brzmi fragment raportu „Global study on homicide”. Kobiety płacą najwyższą cenę za negatywne stereotypy i dyskryminację ze względu na płeć.

„Genderowy bełkot” kontra tradycję

Tak samo jest w Polsce. W kraju, którego rząd chce wypowiedzieć konwencję stambulską – dokument mający na celu ochronę kobiet przed przemocą. Którego ministrowie otwartym tekstem mówią, że to „genderowy bełkot”. To nie tylko deklaracje, bo każdy kraj sygnatariusz ma obowiązek wdrożyć konkretne rozwiązania na rzecz zapobiegania przemocy i ochrony ofiar, a z przebiegu tych procesów, z postępów we wdrażaniu kolejnych czynności i procedur przedstawić sprawozdanie. To, że Polska ma jeszcze wiele do zrobienia we wdrażaniu zaleceń konwencji, wynika chociażby z ubiegłorocznego raportu

przedstawionego przez GREVIO – Grupę Ekspertów ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej. Nasz kraj powinien jak najszybciej zmienić definicję gwałtu w Kodeksie karnym i uznać za gwałt każdy akt seksualny bez zgody drugiej strony, niezależnie od tego, czy spotkał się on z głośnym i stanowczym oporem. Ponadto powinny być organizowane szkolenia dla policji, a instytucje państwa powinny lepiej współpracować z organizacjami kobiecymi.

Polska podpisała konwencję 10 lat temu, w 2012 r., ratyfikowała ją trzy lata później. Od początku przeciwna jej była prawica, dla której to narzędzie w rękach radykalnych feministek, przewodzących ofensywie „neomarksizmu”, bo przecież polskie regulacje są wystarczające.

W przemocowej relacji najbardziej niebezpieczny dla kobiety moment to ten, w którym odchodzi od oprawcy.

Oczywiście nie są, nawet po wprowadzeniu nowych rozwiązań, takich jak natychmiastowa izolacja sprawcy przemocy. Statystyki wciąż są zatrważające, sprawy umarzane, wyroki – o wiele za niskie.

Kilka lat temu Elżbieta Rafalska z PiS, wówczas minister rodziny, pracy i polityki społecznej, mówiła o konwencji: „Byliśmy jej od początku przeciwni. Szereg wyrażonych w niej poglądów i rozwiązań kłócił się z naszymi poglądami, np. zapisy związane z kulturowym widzeniem płci. Dla mnie płeć jest kategorią biologiczną, a nie kulturową”. Jej partyjna koleżanka Małgorzata Sadurska dorzuciła, że konwencja „nakazuje ślepe zwalczanie tradycji, religii i kultury”, a zdanie to podzielił episkopat, przerażony tym, że „rodzina i tradycja będą marginalizowane”. Instytut Ordo Iuris poszedł jeszcze dalej i uznał w swojej ekspertyzie, że konwencja stambulska i zawarte w niej rozwiązania „nie tylko nie służą ochronie rodziny i jej członków przed zjawiskami patologicznymi, w tym problemami przemocowymi, ale prowadzą do ich nasilenia”. Tyle rodzimi obrońcy tradycji – tej samej,

która robi z kobiet obywatelki drugiej kategorii. Niewiarygodne i właściwie niewygodne. Zwłaszcza jeśli domagają się swoich praw i potrzebują ochrony.

Odkąd szefową Komisji Europejskiej została Ursula von der Leyen, widać zintensyfikowanie działań Unii w zakresie walki z przemocą motywowaną płcią. Przewodnicząca Komisji walkę z dyskryminacją oraz wynikającą z niej przemocą traktuje jako jeden z głównych obszarów swoich działań. „Obrona naszych wartości to także obrona wolności, (...) również wolności od strachu”, mówi von der Leyen. Za tymi słowami idą konkretne działania: rezolucje, dyrektywy, akty prawne, bo przemoc wobec kobiet trzeba „zwalczać na każdym poziomie, od prewencji po ochronę i skuteczne ściganie sprawców”.

W październiku ub.r. Parlament Europejski uchwalił rezolucję, w której jasno napisano, że trwa ofensywa przeciwko kobietom, a wśród przyczyn przemocy wymieniono doskonale funkcjonujące w patriarchacie stereotypy. To po prostu inne, bardziej precyzyjne określenie owej „tradycji”, o której tak chętnie mówi prawica.

Tradycji, która zabija kilkadziesiąt kobiet rocznie, a setki tysięcy innych skazuje na życie w przemocy i strachu. Tak jak Katarzynę, która musiała uciekać z domu z malutkim dzieckiem na rękach i szukać schronienia w domu samotnej matki, bo mąż nie lubił, jak dziecko płakało – agresywny był też wobec dziecka. I Magdę, która uciekła przed partnerem i ojcem jej dziecka, bo lubił szarpać i syna, i ją, a potem musiała kilkakrotnie się przeprowadzać, żeby nie mógł ich znaleźć. Co wówczas uznał sąd? Że matka „nie zapewnia dziecku stabilnych warunków rozwoju”. Wskutek działań ojca i kolejnych wniosków, które składał do sądu, dziecko umieszczono w pieczy zastępczej. Tak system chroni rodziny.

Anna Stachowiak



Trudne czasy dla rzemieślników

Nieustające kryzysy i inflacja pogrążają rzemieślników. Zamknięcie grozi jednej z najstarszych drukarni w Polsce

Dominika Tworek

Wrocławskie Nadodrze to dzielnica rzemieślników. Znajdziemy tu ponad 70 lokali, w których dzięki pasji i pracy ludzkich rąk powstają nowe, oryginalne produkty, a stare zyskują nowe życie. W XXI w., w dobie automatyzacji, rzemiosło nie jest już niezbędne, ale oferując niezwykłe, oryginalne doświadczenie, rzemieślnicy wciąż gromadzą wokół siebie społeczności. W czasach kryzysu klimatycznego wiele osób zatroskanych o dobro naszej planety zaczęło rezygnować z zakupów w sieciówkach, wybierając jedną, ale porządną sukienkę u lokalnej projektantki, przeprowadzenie renowacji starego fotela lub zakup pieczywa w piekarni po sąsiedzku. Popyt na produkty i usługi od lokalnych wytwórców jest jednak coraz mniejszy. Galopująca inflacja sprawia, że ludzi nie stać już na kupowanie bardziej wartościowych, ale droższych rzeczy, przez co część rzemieślników funkcjonuje dziś na granicy upadku.

Taka sytuacja dotyczy m.in. drukarni przy ulicy Otwartej 12 – ośrodka tradycyjnej, odchodzącej do lamusa sztuki typograficznej. Ta jedna z najstarszych w Polsce drukarni, aby móc kultywować druk czcionkami i wciąż stanowić gniazdo nadodrzańskiej kultury i edukacji, otworzyła społeczną zrzutkę pieniędzy.

To nie pierwszy raz, gdy miejsce to wymaga ratunku. Założony w pierwszej połowie lat 80. zakład poligraficzny Typodruk prowadzony był przez zecera Zenona Rembikowskiego do 2016 r. Gdy rzemieślnik zmarł, wydawało się, że drukarnia na zawsze zakończy działalność, ale na horyzoncie pojawił się Maciej Zaráński – założyciel Fundacji Klub Innowatora. – Początkowo



Maciej Zaráński ze studentami, którzy w drukarni odbywają praktyki zawodowe.

planowałem zakup jednej maszyny, ale na drugi dzień kupiłem je wszystkie. Szybko stwierdziłem też, że warto uratować całą drukarnię, dać jej drugie życie, przy zachowaniu całego dziedzictwa technicznego – wspomina obecny właściciel.

Drukarnia przypomina muzeum druku. Frapują wielkie, wiekowe maszyny, a ze ścian spoglądają malunki, oddające barwną historię tego miejsca – wcześniej była tu knajpa Cyranka, a przed wojną lokal stanowił prawdopodobnie część masarni.

Fascynująca „czarna sztuka”

Prezes Klubu Innowatora nieprzypadkowo poszukiwał maszyn drukarskich. Z zawodu jest maszynistą typograficznym, a „czarna sztuka” to jego pasja, która zaczęła się od czytania książek. – Byłem moim książkowym, choć nie prymusem.

W drugiej klasie szkoły gastronomicznej nowa nauczycielka języka polskiego ze zdziwieniem zapytała, dlaczego nie jestem w liceum, tylko w szkole zawodowej. Zadeklarowała nawet, że przygotuje mnie do egzaminów do liceum. Ale moje ambicje tak się rozgryzły, że szybciej rzuciłem fartuch. Chciałem robić coś więcej. Wiedziałem, że do liceum się nie dostanę, ale trafiłem na technikum poligraficzne. Kiedy dyrektor tej szkoły otworzył przede mną wielkie drzwi do hali maszyn i buchnął na mnie znajomy zapach książek – papieru i farby drukarskiej – czułem, że jestem w dobrym miejscu. Tam powstało moje marzenie, żeby taką maszynę mieć u siebie w domu. Spełniło się z nawiązką, dziś mam całą drukarnię – opowiada Maciej Zaráński.

W 1991 r. ukończył ostatnią zorganizowaną w Polsce klasę o profilu ►

► zecersko-drukarskim. W tamtych latach „czarna sztuka” umierała. Pojawiała się już tylko w muzeach i szkolnych podręcznikach. Dlatego zajął się czymś innym – innowacją. Przez lata pracował na Uniwersytecie Przyrodniczym. Teraz jest szczęśliwy, że wrócił do swojej pierwotnej pasji, którą stale rozwija. Obecnie uczy się obsługiwać maszynę do odlewania czcionek. Gdy ukończy kurs, Wrocław będzie jednym z ok. 30 miejsc na świecie, w których w ten sposób tworzy się czcionki.

– W druku fascynuje mnie to, że ze zwykłej kartki papieru można zrobić coś bardzo ładnego albo użytkowego lub zamienić ją w dobrą historię. Drukarnstwo typograficzne to nieustanne wyzwania. Przy doborze papieru, oprawy, druku trzeba myśleć o bardzo wielu aspektach. Druk składany jest litera po literze, wyraz po wyrazie. Takim sposobem robimy obecnie przedruk bajek Juliana Ejsmonda. Cały proces wygląda tak jak w 1927 r. U nas nie ma nudy, nawet jak nie mamy zamówień, to pracujemy przy porządkowaniu czcionek w kasztach, czyli takich „klawiatrach” zecera. Nazywam tę czynność typoterapią, bo wymaga skupienia i cierpliwości, a przy tym ma właściwości relaksacyjne i skłania do refleksji – tłumaczy Maciej.

Fundacja Klub Innowatora wspiera młodych artystów, autorów, ilustratorów, redaktorów i typografów – innymi słowami wszystkich związanych z drukiem. Odbывают się tu Targi Książki Niezależnej i Artystycznej

Co prawda, w miastach są targi rzemiosła, ale trzeba zapłacić mnóstwo pieniędzy, żeby tam się wystawić,

NISZA, spotkania autorskie z self-publisherami, słamy poetyckie czy Stori-geddon – autorskie wydarzenie, podczas którego w trakcie jednego weekendu powstaje książka z cyklu „Nadodrzańskie opowieści”. Drukarnia publikuje również pro bono. W pierwszych miesiącach pandemii oferowała darmowe wydruki plakatów oraz naklejek informujących o koronawirusie. Podejmowała też



Drukarnia przy ulicy Otwartej przypomina dziś muzeum druku.

działania na rzecz uchodźców z Ukrainy – stworzyła notesy dla dzieci z Ukrainy, książkę do nauki języka polskiego i ukraińskiego oraz zorganizowała zbiorke zabawek i kredek.

Problemy finansowe

Podstawowe źródło utrzymania drukarni stanowią akcydensy – drobne druki poligraficzne o charakterze użytkowym lub okolicznościowym, m.in. wizytówki, ulotki,

edukacyjna, że mogę dzielić się wiedzą. Dlatego prowadzę tu praktyki zawodowe. Do tej pory swoją przygodę z typografią przeżyło u mnie ok. 250 studentów i studentek z różnych uczelni – mówi Zarański.

Jego założeniem od początku działania drukarni było samofinansowanie. Dziś źle się czuje z tym, że prosi o pomoc, ale żeby przetrwać, potrzebuje 15 tys. zł. – Stałem przed dylematem: żeby uratować to miejsce, musiałbym wziąć kredyt (a niejednego już zaciągnąłem, próbując utrzymać drukarnię przy życiu) albo po prostu się stąd wynieść, co wcale nie jest takie proste, bo sam demontaż i transport maszyn kosztuje ok. 10 tys. zł. Tak łatwo się nie poddam – przekonuje – choć jestem tą sytuacją bardzo zmęczony. W tym roku miałem urlop tylko w trakcie choroby.

Problemy Macieja zaczęły się rok temu. Wtedy musiał podjąć decyzję: albo opłaca wszystkie media, które pozwalają na funkcjonowanie drukarni, albo płaci czynsz i przychodzi do miejsca bez prądu. – Postawiłem na to pierwsze, starając się dalej

vouchery czy plakaty. Tym, co wyróżnia drukarniane akcydensy, jest ich nietuzinkowość. Niektóre wizytówki prezentują się jak płaskorzeźby, inne pachną jak skoszona trawa.

– Chcę podkreślić, że nie jest to miejsce, które ma wygenerować maksymalnie dużo pieniędzy. Wystarczy, że będę miał środki na to, aby je utrzymać. Dla mnie od zarobku ważniejsza jest wartość

pokryć zadłużenie. Ale trwała pandemia, zamówień nie było, pierwsze zaczęły się pojawiać dopiero na początku kwietnia. Niechętnie biorę dotacje, staram się sam rozwiązywać swoje problemy. Ale w tamtym czasie było tak kiepsko, że zgłosiłem się nawet do miejskiego programu lokal za złotówkę, choć jak tylko zaczęły się zamówienia, to z niego

na faksymile tego, czyli takie lepsze ksero. Mimo wiedzy, że ja się tym zajmowałem. Dla mnie to przykre. Na Zachodzie jest moda na wytwory rzemieślnicze. Znajomi, którzy wracają z zagranicy, przywożą jakieś dywaniki, kapelusze, czasami nawet prace związane z drukiem. I narzekają, że w Polsce tego nie ma, że u nas o to się nie dba.

Gdyby moimi wizytówkami posługiwał się Lewandowski, a różni celebryci robili sobie tutaj zaproszenia na ślub, to promowaliby w ten sposób miłość do rzemiosła.

zrezygnowałem. Stwierdziłem, że być może ktoś będzie bardziej potrzebował tych pieniędzy niż ja. Okazało się później, że to był falstart. Dwa lata pandemii spowodowały, że wielu klientów przestało do nas przychodzić. Rozumiem to, teraz ludzie mają większe zmartwienia niż wydrukowanie sobie ekskluzywnej wizytówki.

Moda z Zachodu

Maciej Zarański wierzy, że wkrótce dotrze do nas moda na druk typograficzny, który na Zachodzie przeżywa właśnie renesans: – Tam jest to hołubione. Każdy, kto chce zrobić na kimś wrażenie, drukuje czcionkami. W Polsce to jeszcze raczkuje, a rzemieślnik ma w naszym kraju kiepsko. Na Zachodzie tacy twórcy są promowani, wynajmują lokale za 1 euro, a urzędy miast zamawiają u nich gadżety. Na wrocławskim podwórku sytuacja nie wygląda ciekawie. Ostatnio miasto chciało zrobić przedruk Kaspera Elyana – pierwszych drukowanych słów w języku polskim, które były drukowane na Ostrowie Tumskim we Wrocławiu. My, we współpracy z Biblioteką Uniwersytecką, odtworzyliśmy je rok wcześniej. Nad tym projektem pracowało trzech rzemieślników i studenci, którzy im pomagali. Ja, jako drukarz i zecer, mój kolega z Gliwic, który przygotował papier czerpany ręcznie, a całość oprawił ramiarz z Nadodrza. Ale ostatecznie biuro promocji miasta zdecydowało się

Ale ja odbijam piłeczkę i pytam: kiedy ty byłeś u polskiego rzemieślnika i coś zamówiłeś? Wsparcie odgórne to jedno, ale ważne są także indywidualne działania. Mimo że znajdujemy się 10 minut pieszo od Rynku, turyści rzadko tu zaglądają, bo ruch turystyczny funkcjonuje do dwóch ulic od ścisłego centrum. Dlatego w złej sytuacji są zwłaszcza starsi nadodrzańscy rzemieślnicy, którzy nie potrafią się promować.

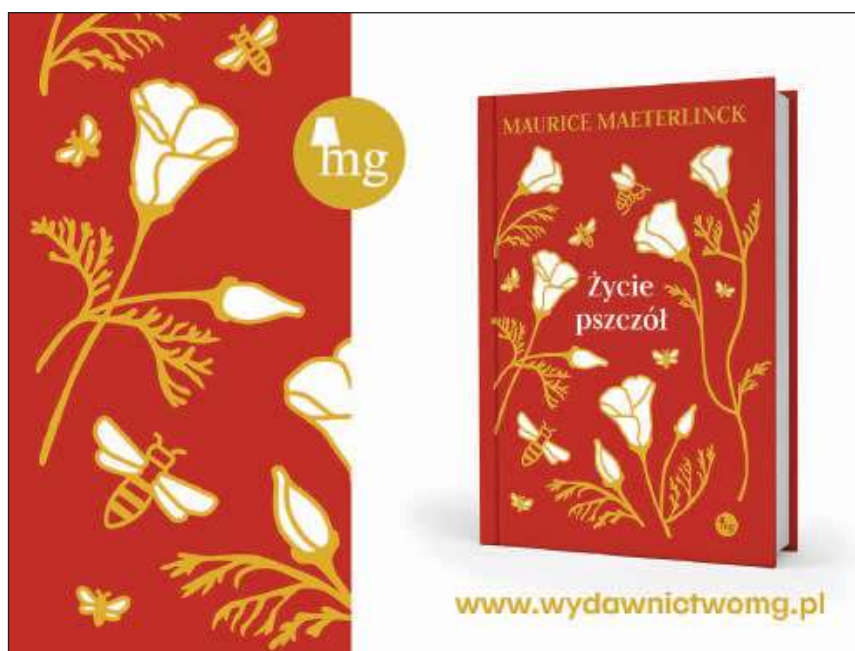
– Co musiałoby się stać, żeby Polacy zaczęli masowo interesować się wyrobami rzemieślników? – pytam.

– To nigdy się nie przebije do większych mas, bo masy nie mają pieniędzy, a to są jednak często

nietanie rzeczy. Ale dotarcie do szerokiego grona odbiorców jest możliwe. Tylko trzeba by było wypromować na to modę. Gdyby np. moimi wizytówkami posługiwał się Robert Lewandowski, różni celebryci robili sobie tutaj zaproszenia na ślub, a zastawa na wesele była kupiona od jakiegoś garncarza, gdyby chwalili się tym, że to było robione ręcznie, z duszą i pasją, to promowałyby w ten sposób miłość do rzemiosła. Wierzę, że da się to zrobić, ale nie wierzę, że influencerzy zrobią to za darmo. Z drugiej strony wiem, że żadnego rzemieślnika nie stać na zapłacenie influencerowi. Bo jeżeli mamy książkę drukowaną cyfrowo i ona kosztuje w druku od 5 do 10 zł, a mamy książkę, która kosztuje kilkaset złotych i jej autor nie jest w stanie zapłacić za promocję, to ma ogromny problem. Tak samo jest z każdym innym produktem. Promocja jest bardzo istotna. Co prawda, w miastach odbywają się targi rzemiosła, ale trzeba zapłacić mnóstwo pieniędzy, żeby tam się wystawić, a to nie jest promocyjna sprawa. Dlatego szalenie potrzebne są dziś fundusze na ogólną akcję promowania rzemieślników.

Dominika Tworek

Link do zrzutki: zrzutka.pl/cf6kx5



Pantery nad Wisłą

Polska szykuje się do wojny, a PiS do wyborów

Marcin Ogdowski

Pod koniec lipca gruchnęła wieść, że Polska przekazała Ukrainie czołgi PT-91 Twardy. Ukraińcy oficjalnie przyznali, że wozy już u nich są, choć nie podali liczby. Z niepotwierdzonych informacji wynika, że chodzi o 40 czołgów, z których sformowano jeden batalion pancerny (w ukraińskiej armii na taki oddział przewidziano 31 pojazdów), resztę maszyn wykorzystując do szkolenia kolejnych załóg. Jest bowiem kwestią czasu, kiedy na wschód trafi reszta z 232 twardych będących do niedawna na stanie Wojska Polskiego.

PT-91 to rodzima modernizacja radzieckich T-72, produkowanych również na licencji w Polsce.

Za kilkanaście lat nasza armia będzie dysponować 1000 czarnych panter oraz niemal 370 abramsami.

Opracowany w pierwszej połowie lat 90. model znacząco dziś ustępuje nowszym wersjom, ale dobrze wyszkolona załoga może tym wozem podjąć skuteczną walkę z każdym czołgiem używanym przez Rosjan w Ukrainie. Zwłaszcza że zdziękowana rosyjska armia zmuszona została do sięgnięcia po głębokie rezerwy w postaci niemal 50-letnich T-62, stanowiących teraz istotną część parku czołgowego sił inwazyjnych.

Wcześniejsze podarowanie Ukrainie 240 T-72 uchodzi za racjonalne posunięcie. Wartość bojowa tych maszyn była niska, głęboka modernizacja nieopłacalna. Ukraińcy tymczasem mają możliwości techniczne, by stosunkowo niewielkim kosztem podnieść ich jakość. No i są w potrzebie, gdyż prowadzą piekielnie materiałochłonną wojnę. Twarde jednak zdawały się nie do ruszenia – przynajmniej dopóki nie trafi do Polski większa partia z 250 zamówionych u Amerykanów abramsów.

Wojsko w końcu musi się szkolić, musi też mieć na czym.

Przejęcie i niedowierzanie

Plotki głoszą, że na przekazanie twardych Kijowowi naciskał rząd Stanów Zjednoczonych, w zamian oferując dodatkową pulę 116 abramsów na preferencyjnych warunkach (Polska zapłaci za ich rozkonserwowanie i transport). Jednocześnie w Warszawie nikt już na poważnie nie myśli o pozyskiwaniu czołgów z Niemiec. Berlin zobowiązał się wiosną, że w miejsce przekazanych Ukrainie wozów dostarczy własne leopardy, ale mechanizm znany jako *Ringtausch* nie działa. Niemcy mają na zbyciu nieliczne starocie, z odległym terminem realizacji umowy.

W takich okolicznościach na scenę wkroczyli Koreańczycy z ofertą szybkiej dostawy 180 czołgów. I nie tylko. Azjaci próbowali wbić się w polski rynek jeszcze w 2020 r., trafnie rozpoznając potrzeby naszej armii i zbrojeniówki. Nie odpuszcili nawet po zeszłorocznej decyzji rządu RP o kupnie abramsów, wiedząc, że Wojsko Polskie musi nabyć większą liczbę czołgów, najlepiej produkowanych na miejscu (o czym można zapomnieć w przypadku wozów made in USA). W MON podchodzono do ich starań z ostrożnym zainteresowaniem – aż wybuchła wojna w Ukrainie.

Podpisana 27 lipca umowa ramowa z Koreą przewiduje dostarczenie wspomnianych 180 maszyn do 2025 r. Będą to wozy K2 Black Panther (ang. czarna pantera) – zasadniczo najnowsze czołgi na świecie, choć w oferowanej wersji nie w pełni dostosowane do polskich warunków, wymagających np. silniejszego opancerzenia. Dlatego pojazdy z tej partii

w dalszej kolejności przejdą modernizację do standardu K2PL, co ma nastąpić po 2026 r., kiedy w Polsce ruszy fabryka zdolna do samodzielnej produkcji pancernych kolosów.

Zgodnie z umową ów zakład ma dostarczyć 820 K2PL, co oznacza, że za kilkanaście lat nasza armia będzie dysponować 1000 czarnych panter oraz niemal 370 abramsami. Uczyni to z polskiego wojska pancerną potęgę, o czym analitycy wojskowi z całego świata dyskutują z przejęciem i niedowierzaniem. Tym większym, że podjęte zobowiązania przewidują jednoczesną rozbudowę artylerii samobieżnej WP, która do końca 2023 r. ma się wzbogacić o 48 haubic K9, a po 2024 r. o kolejne... 624 sztuki, z których większość powstanie w Polsce (w nowo wybudowanej fabryce).

Pouczające doświadczenia

Zakup czołgów i linii produkcyjnej do nich nie rodzi większych kontrowersji, choć warto odnotować entuzjastyczne zapowiedzi ministra obrony Mariusza Błaszczaka, z których wynikało, że K2 będą „na już”. Trzy lata to nie jest ekspresowe tempo, szczególnie że mówimy o sprzęcie w tymczasowej konfiguracji. Z drugiej strony trudno przecenić korzyści – ekonomiczne, społeczne, militarne – płynące z odtworzenia możliwości polskiego przemysłu w zakresie produkcji broni pancernej, zatraconych na skutek zaniedbań wszystkich rządów po 1989 r.

Argument o zbyt dużym zróżnicowaniu parku czołgowego jest w każdym razie bezzasadny – docelowo będziemy mieli w linii dwa rodzaje czołgów, co nie musi oznaczać logistycznego koszmaru. Pouczające są tu doświadczenia Ukraińców, którzy w trudnych wojennych warunkach radzą sobie z jednoczesną obsługą sprzętu wschodniego i zachodniego. Czołgi o radzieckiej proveniencji znikną wkrótce z naszych magazynów



Wicepremier Mariusz Błaszczak zatwierdził kontrakty zbrojeniowe z Republiką Korei na zakup sprzętu dla Wojska Polskiego. Warszawa, 27 lipca 2022 r.

(poza twardymi mamy jeszcze kilkadziesiąt T-72), wozy poniemieckie zapewne trafią do rezerwy (albo na rynek wtórny bądź do Ukrainy).

Inaczej mają się sprawy z haubicami. Polskie kraby przechodzą intensywne testy bojowe w Ukrainie (której przekazaliśmy co najmniej 18 sztuk). Ukraińcy twierdzą wręcz, że to najlepsze uzbrojenie tej klasy, a dysponują także amerykańskimi, niemieckimi i francuskimi działami samobieżnymi. K9 i krab mają to samo podwozie, ale ostatecznie to różne konstrukcje. Skala planowanych zakupów koreańskiej haubicy de facto oznacza wygaszenie produkcji polskiego systemu. MON w odpowiedzi na zarzuty zapewnienia o „polonizacji” K9, która ma ją upodobnić do kraba.

Najwięcej kontrowersji wywołuje lotnicza część umowy, przewidująca pozyskanie samolotów szkolno-bojowych FA-50. W siłach powietrznych RP są jeszcze trzy eskadry latające na poradzieckim sprzęcie – dwie na myśliwcach MiG-29 i jedna na szturmowcach Su-22. Obie konstrukcje lata świetnością mają za sobą, już wcześniej brakowało do nich podzespołów, a remonty na własną rękę zakończyły się tragicznym wypadkiem jednego z migów. Po 24 lutego większość posiadanego jeszcze uzbrojenia przewidzianego do obu typów maszyn trafiła do Ukrainy.

Marsz ku... prezydenturze

Przed wybuchem wojny zakładano, że migi i suchoje posłużą do czasu pojawienia się w Polsce kupionych w USA wielozadaniowych F-35 (oraz dodatkowych myśliwców, najlepiej F-16, gdy budżet pozwoli). Rosyjsko-ukraiński konflikt przyspieszył sprawy i pod tym kątem. Z zapewnień szefa MON wynika, że niemożliwe

Nasze lotnictwo ma już samoloty szkolne – włoskie M-346. Po co nam koreańskie odrzutowce, tylko w określonych warunkach zdolne do użycia bojowego?

było szybkie nabycie kolejnych F-16 i F-35 – Amerykanie z trudem nadążają z realizacją już złożonych zamówień. Na rynku wtórnym nie znaleziono sensownej oferty, stąd decyzja o zakupie 48 fabrycznie nowych koreańskich maszyn.

Rzecz w tym, że nasze lotnictwo już ma samoloty szkolne – włoskie M-346, produkowane przez koncern Leonardo. Po co nam zatem kolejne „niepełnowartościowe” odrzutowce, tylko w określonych warunkach zdolne do użycia bojowego? „M-346 mają za niską sprawność – sygnalizowałem to kilkukrotnie mojemu włoskiemu odpowiednikowi”, wyjaśnia Błaszczak. Brzmi sensownie i sugeruje odpowiedzialną postawę – dopóki nie uświadomimy sobie, że ten sam

minister podpisał niedawno umowę na dostawę śmigłowców z tym samym producentem.

W 2023 r. trafi do naszego kraju 12 FA-50 w obecnej konfiguracji, po 2025 r. zaczną się dostawy samolotów o lepszych parametrach (wersja Block 20). Biorąc pod uwagę konieczność modyfikacji FA-50 z pierwszej tury, proces szkolenia pilotów i obsługi oraz konieczność stworzenia taktyki działań dla nowego typu maszyn (od podstaw, bo jedynym użytkownikiem FA-50 jest Korea, dysponująca 20 samolotami, wykorzystywanymi do pokazów lotniczych), osiągnięcie gotowości operacyjnej przebrojonych eskadr potrwa 10 lat.

Polska przeznaczycie na broń z Korei 14 mld dol. Istnieją obiektywne przesłanki dla tak wielkich wydatków. Lęk przed Rosją sprawił, że mamy wśród Polaków konsensus co do konieczności zbrojeń. „Bezpieczeństwo zapewni nam dobrze wyposażona armia. Nie za 10-20 lat, tylko teraz”, mówi Mariusz Błaszczak. Ale Koreańczycy to wcale nie jest opcja „na teraz”, choć pewnie najszybsza z możliwych. Tak docieramy do subiektywnych przesłanek. A właściwie intersubiektywnych, bo nie chodzi tylko o ambicje szefa MON,

pragnącego być postrzeganym jako ten, który „zastał armię poradziecką, a zostawił zwesternizowaną”. Jesienią przyszłego roku proces wymiany sprzętu będzie w powijakach, ale na tyle zaawansowany, by móc go wykorzystać w kampanii wyborczej. W połączeniu z wcześniejszymi inwestycjami pozwoli budować narrację o PiS, które zadbało o bezpieczeństwo Polaków. Przebitki na tle abramsów czy panter uwiarygodnią przekaz. Tak partia władzy chciałaby wygrać wybory. I zyskać mocnego kandydata do prezydenckiej rozgrywki w 2025 r. W końcu człowiek, który „postawił armię na nogi”, jak nikt inny nadaje się do roli głowy państwa.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

Zasłużyli na szacunek

Nie da się wyrugować z historii bohaterstwa ludzi lewicy w powstaniu

August Grabski, Piotr Grudka

Kult powstania warszawskiego jest jednym z filarów polityki historycznej PiS. Nie obejmuje on jednak wszystkich powstańców – pomija żołnierzy lewicowych formacji zbrojnych. Szczególnie dotyczy to żołnierzy oddziałów polskich komunistów – Armii Ludowej. PiS nieustannie dąży do zmiany nazwy ulicy Armii Ludowej w Śródmieściu stolicy. Tymczasem można wskazać w Warszawie wiele miejsc, gdzie w czasie powstania stacjonowali lub przelewali krew żołnierze tej formacji – zasłużyli oni na upamiętnienie ich bohaterstwa. W powstaniu wzięło udział ponad 1,8 tys. żołnierzy AL. Zginęło ich 512 (w tym 53 kobiety), 213 zostało rannych (w tym 23 kobiety), cztery osoby zginęły.

Przygotowując powstanie, Komenda Główna Armii Krajowej nie powiadomiła AL o swoich planach. Zaskoczeni alowcy musieli się na nowo zorganizować, mimo to zwarte jednostki Armii Ludowej walczyły na Woli, Starym Mieście, Żoliborzu, w Śródmieściu i na Górnym Czerniakowie.

WOLA

Od 2 sierpnia żołnierze AL pod dowództwem por. Zbigniewa Paszkowskiego walczyli wraz z akowcami

w rejonie skrzyżowań ulicy Młynarskiej z Wolską i Górczewską. Do 5 sierpnia skutecznie odpierano tam natarcia niemieckich czołgów.

W pierwszych dwóch dniach powstania do lokali organizacyjnych Armii Ludowej przy Młynarskiej 29 i Gibalskiego 9 zgłosiło się ok. 200 żołnierzy. 3 sierpnia utworzono z nich wojskie zgrupowanie AL. 5 sierpnia przybył na Wolę ze Starego Miasta dobrze uzbrojony pluton 3. batalionu AL. Wziął on udział w ciężkich walkach toczonych w nocy z 5 na 6 sierpnia o utrzymanie skrzyżowania Wolskiej i Młynarskiej.

Część alowców pod dowództwem przybyłego ze Starówki mjr. Bolesława Kowalskiego walczyła wraz z akowcami na ulicy Wroniej. Natarcia Niemców wzdłuż Chłodnej były wsparte ogniem czołgów, atakujących pod osłoną ludności cywilnej. Wieczorem dowódcy AK i AL zarządzili odwrót na Stare Miasto. Mjr Kowalski wycofał najpierw nieuzbrojoną rezerwę i rannych żołnierzy z punktu sanitarnego przy ulicy Ogrodowej 44.

STARE MIASTO

Wielu alowców brało udział w atakach AK już w pierwszym dniu powstania. Rankiem 2 sierpnia w lokalu przy ulicy Freta 5 odbyła się narada dowództwa Armii Ludowej i kierownictwa PPR.

Zdecydowano, że oddziały AL wezmą udział w powstaniu, podporządkowując się dowództwu AK pod względem taktycznym, zachowując jednocześnie odrębność organizacyjną i niezależność polityczną.

Pierwszą jednostką utworzoną przez AL był 3. batalion. Znalazła się w nim grupa żołnierzy Żydowskiej Organizacji Bojowej. Odtworzono również batalion im. Czwartaków. Z powołania batalionów 1. i 2. ostatecznie zrezygnowano.

Organizowaniu formacji zbrojnych towarzyszyły dyskusje polityczne: niektórzy działacze uważali wywołanie powstania za prowokację Armii Krajowej i Delegatury Rządu wymierzoną przeciwko PKWN i ZSRR. Uznano jednak, że niezależnie od intencji politycznych AK w powstaniu nie może zabraknąć sił polskiej lewicy. Ałowcy zadawali pytanie, czy Komenda Główna AK uzgodniła wybuch powstania z dowództwem Armii Czerwonej. Dopiero 10 sierpnia dowódcy AL dowiedzieli się od oficerów Komendy Głównej AK, że ich obawy były uzasadnione: Armia Krajowa wywołała powstanie bez uzgodnień nie tylko z dowództwem Armii Czerwonej, lecz nawet z aliantami zachodnimi. Nadzieje na pomoc ze strony Armii Czerwonej nie gasły – podsycali je m.in. wyzwolenie Pragi (10-15 września), radzieckie rzuty czy desant z 16 września

**IM DALEJ OD
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO,
TYM MNIEJ
PRAWDY**

**Nie przegap okazji!
4 tomy w pakiecie
taniej ~~167 zł~~ 100 zł**



41 zł 31 zł
Kto odpowiada
za śmierć 200
tysięcy cywilów



42 zł 32 zł
Błędy dowódców.
Pofne rozkazy
i dokumenty



40 zł 30 zł
Obłęd i głód.
Nieznany „dziennik
powstańczy”



44 zł 34 zł
Raporty oficerów
AK: To się skończy
katastrofą



Oddział powstańczy Armii Ludowej walczący na Żoliborzu, sierpień 1944 r.

żołnierzy 1. Dywizji Piechoty Wojska Polskiego na Górnym Czerniakowie.

Relacje AL z AK nie były bezproblemowe. Wśród dowódców AK dominował pogląd, że nie należy pozwalać ałowcom na samodzielne obsadzanie odcinków ani pojedynczych barykad. Oddziały AL miały być wszędzie dublowane przez oddziały AK. Usiłowano również izolować AL na Starówce od kontaktów ze Śródmieściem i Żoliborzem. Droga kanałami w obu tych kierunkach znajdowała się pod kontrolą Komen dy Głównej AK i na korzystanie z niej potrzebne były specjalne przepustki.

Sztab zgrupowania AL zajął kwatery w oficynie kamienicy przy ulicy Freta 16. Kwatery żołnierzy batalionów 3. i 4. mieściły się zaś w kamienicach przy Freta 5 i 7. Wznowiono wydawanie pism „Głos Warszawy” i „Armia Ludowa”.

Od 1 do 11 sierpnia żołnierze AL walczyli o utrzymanie placu

Zamkowego i zamknięcie nieprzyjacielowi dostępu do mostu Kierbedzia. Od 11 sierpnia do końca bojów na Starówce Armia Ludowa uczestniczyła w walkach o utrzymanie wschodniego odcinka frontu, powstrzymując ataki nieprzyjaciela od strony Wisły.

26 sierpnia w południe odbyła się przy Freta 16 narada sztabu AL. Parę minut po godz. 15 na oficynę spadły bomby. Zginęli m.in. mjr Bolestaw Kowalski, mjr Stanisław Nowicki, kpt. Edward Lanota, kpt. Stanisław Kurland, por. Anastazy Matywiecki. W wyniku uzgodnień z AK, począwszy od 22 sierpnia, grupy ałowców przechodziły kanałami na Żoliborz. W związku z coraz trudniejszym położeniem 28 sierpnia również dowództwo AK podjęło decyzję o zakończeniu obrony Starówki i wycofaniu się do Śródmieścia. 29 sierpnia z pozostałych jeszcze na Starówce żołnierzy AL zorganizowano kompanię (ponad 150 żołnierzy)

pod dowództwem por. „Gustawa” – Edwina Rozłubirskiego. Ałowcy obsadzili ponownie pozycję na ulicy Mostowej. 2 września ostatni żołnierze AL ze Starówki dotarli kanałami do Śródmieścia. Najwyższy stan zgrupowanie AL na Starówce osiągnęło w połowie sierpnia 1944 r., przekraczając 1 tys. żołnierzy.

ŻOLIBORZ

Na początku powstania ałowcy połączyli się w oddział pod dowództwem ppor. Karola Grabskiego. 3 sierpnia oddział ten miał już ok. 70 żołnierzy i kwaterował w blokach przy ulicy Krasińskiego 18 i 20. 4 sierpnia postanowiono utworzyć żoliborskie zgrupowanie AL, którego dowódcą został por. Waldemar Nerwiński. W połowie sierpnia liczyło ono ponad 150 żołnierzy. 8 sierpnia ałowcy przejęli odcinek obrony na ulicy Wyspiańskiego, gdzie pozostali do 18 sierpnia.

Od 22 do 28 sierpnia napłynęło ze Starówki na Żoliborz ponad 500 żołnierzy AL. Ich przyjęcie, zakwaterowanie i zaopatrzenie stanowiło dla żoliborskiego dowództwa AL duży problem. Poradzono z nim sobie głównie dzięki pomocy ze strony samorządu mieszkańców. AK nie uwzględniła prośby dowództwa AL o działanie w całości i przydzieliła ałowcom pozycje rozrzucone po różnych odcinkach. Batalion AL im. Czwartaków otrzymał do obrony odcinek alei Wojska Polskiego. Część ulicy Stołecznej, a także położony u zbiegu Stołecznej i Krasińskiego klasztor Sióstr Zmartwychwstanków, obsadziły zgrupowanie „Żyrafa” oraz kompania Służby Bezpieczeństwa AL. Z kolei poniżej skarpy wiślanej, ▶

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

HISTORIA
bez IPN

Oryginalne dokumenty!
Cynizm i głupota dowódców!
Męstwo powstańców!



Gen. Władysław Anders:
Powstanie to zbrodnia

TOM V tylko w formie
E-BOOK za jedyne ~~29,90 zł~~ 9,90 zł

Książki PRZEGLĄDU

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 3-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

► u zbiegu ulic Rudzkiej i Marii Kazimierzy, miał swoje placówki 3. batalion AL, wsparty wkrótce kompanią Służby Bezpieczeństwa AL. Pod koniec września jednostki Armii Ludowej na Żoliborzu liczyły ponad 500 żołnierzy.

ŚRÓDMIEŚCIE

Już w nocy z 1 na 2 sierpnia ppor. Stanisław Kosiakiewicz z grupą żołnierzy AL uczestniczył w budowie barykad na Nowogrodzkiej, Brackiej i Kruczej. Zetknął się tam ze znanym sobie por. „Osą” – inżynierem Oskarem Seyfertem z niezależnej od AK i lewicowej Polskiej Armii Ludowej (PAL). Postanowiono utworzyć wspólny oddział AL-PAL pod dowództwem Seyferta, którego zastępcą został Kosiakiewicz.

PiS nieustannie dąży do usunięcia nazwy ulicy Armii Ludowej w stolicy. Tymczasem można wskazać wiele miejsc, gdzie w czasie powstania przelewali krew żołnierze tej formacji.

W porozumieniu z AK oddział AL-PAL (od pseudonimu dowódcy nazwany później kompanią AL-PAL „Osa”) obsadził narożnik Nowego Świata i Książęcej. Pozycja zajęta przez liczącą ok. 70 żołnierzy kompanię ostaniała od północy zarówno plac Trzech Krzyży, jak i ulicę Książęcą, zapewniając łączność Śródmieścia Południowego z Górnym Czerniakowem.

Pierwsza grupa oficerów AL ze Starówki zjawiła się w Śródmieściu 16 sierpnia i ulokowała się przy ulicy Mianańskiej pod nr. 2, gdzie przystąpiono do dalszego wydawania „Armii Ludowej”. Pismo ukazywało się codziennie, w nakładzie początkowo 1 tys. egzemplarzy, a od 25 sierpnia w 5 tys. egzemplarzy. Kontynuowano również wydawanie „Barykady Wolności” Robotniczej Partii Polskich Socjalistów i pepeerowskiego „Głosu Warszawy”. Trzeba tu dodać, że publikacje krytycznych wobec AK organów prasowych komunistów i RPPS były rozchwytywane przez coraz bardziej rozczarowaną dowództwem powstania ludność cywilną.

Płk Antoni Chruściel, „Monter”, zaproponował, aby zgrupowanie AL zajęło na swoją kwaterę gmach Banku

Francuskiego przy ulicy Czackiego 4, obsadzając pobliskie barykady. Ustalono też, że począwszy od 23 sierpnia nastąpi ujawnienie żołnierzy AL w oddziałach AK i że ci z nich, którzy zdecydowali się na przejście do oddziałów AL, zabiorą posiadaną przez siebie broń. Począwszy od 24 sierpnia żołnierze AL służący w oddziałach AK mieli prawo założyć opaski z literami AL (opaski akowców były oznaczone literami WP). W Śródmieściu Południowym i na Górnym Czerniakowie były one już w użyciu. Natomiast w Śródmieściu Północnym nałożenie opasek AL wywołało pewną sensację. Tak było np. w zgrupowaniu AK „Chrobry II”, zwłaszcza zaś w 1. batalionie tego zgrupowania, dowodzonego przez oficerów wywodzących się z NSZ (!). Zgłosiły tam przynależ-

ność do Armii Ludowej dwie drużyny, w sumie ok. 40 żołnierzy.

Na początku września oddziały AL w Śródmieściu (bez Górnego Czerniakowa) liczyły w sumie 422 żołnierzy. Sztab AL mieścił się przy ulicy Wilczej 8. W walkach o utrzymanie skarpy wiślanej i odzyskanie połączenia z Górnym Czerniakowem odznaczyły się kompania Czwartaków por. Rozłubirskiego, pierwsza śródmiejska kompania pod dowództwem por. Jana Szelubskiego i druga ppor. Stanisława Kosiakiewicza. Ich żołnierze walczyli dzielnie o szpital św. Łazarza i Szkołę Miejską w rejonie ulic Nowy Świat-Książęca-Smolna, a także w alei Na Skarpie o willę Pniewskiego i ruiny ambasady francuskiej. Trzej wymienieni dowódcy AL zostali przez komendanta głównego AK Tadeusza Bora-Komorowskiego odznaczeni Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

W tym samym czasie na Górnym Czerniakowie walczyły kompania AL i PAL „Błaszanka” oraz pluton AL „Starówka”. Nazwa tej pierwszej jednostki pochodziła od Fabryki Opakowań Błaszanych przy ulicy Przemysłowej 19/21. Z kolei pluton AL „Starówka” powstał pod koniec

sierpnia na Zagórnej 8. Na początku września linia walk przebiegała wzdłuż ulic Łazienkowskiej i Rozbrat, do styku tej ostatniej z Górnośląską. Gdy cała Łazienkowska znalazła się w rękach nieprzyjaciela, bastionem polskiej obrony stała się sama fabryka „Błaszanka”. Kolejnym etapem walk powstańczych była współpraca z desantem berlingowców. Siły AL na Górnym Czerniakowie można szacować na 170 żołnierzy.

W cieniu walk PPR rozwijała dialog z innymi siłami przechodzącymi ewolucję w kierunku uznania PKWN. Wyrazem tego było ukazanie się z datą 23 września pierwszego numeru pisma Połączonych Sił Zbrojnych AL, PAL i KB (Korpusu Bezpieczeństwa) pod nazwą „Wojsko Polskie”. Ugrupowania lewicy, które uznały prymat PKWN, zawiązały 25 września Powstańcze Porozumienie Demokratyczne.

PO WALCE

W czasie negocjacji kapitulacyjnych AK z Niemcami przyjęto zasadę, że wszyscy powstańcy uznani zostają za żołnierzy AK, którym zagwarantowane będą pełne prawa jenieckie i obejmie ich akt abolicji za działalność przeciw Niemcom. Takie rozwiązanie zdjęło z porządku dnia sprawę dalszego losu oddziałów formacji lewicowych: AL, PAL i KB. Ich żołnierze obawiali się, że po kapitulacji zostaną rozstrzelani przez Niemców.

Jednak tylko niewielka grupa ałowców trafiła po powstaniu do niemieckich obozów. Większość żołnierzy AL i członków PPR podzieliła się na kilkusobowe grupy, które po 4 października opuściły miasto z ludnością cywilną. Dużej części udało się wydostać spod nadzoru Niemców już w czasie transportu do Pruszkowa. Pozostali przeszli przez tamtejszy obóz przejściowy, ale w większości przy pomocy zatrudnionych tam lekarzy i pielęgniarek udało im się zbiec i tym samym uniknąć deportacji do Niemiec.

August Grabski, Piotr Grudka

W tekście wykorzystano pracę Antoniego Przygońskiego *Armia Ludowa w Powstaniu Warszawskim 1944*, Warszawa 2008.

Sezon wciąż nie w pełni

Po dwóch latach pandemii przyszyły inflacja, wojna i kłopoty z pracownikami. Branża turystyczna nadal cierpi

Mateusz Mazzini

Ubiegłotygodniową informację o strajku naziemnych pracowników Lufthansy część pasażerów na pewno przyjęła z dużym niepokojem. Niemiecki przewoźnik musiał z tego powodu uziemić aż 1000 połączeń, z tego 600 na trasach uwzględniających jego główną bazę operacyjną – lotnisko we Frankfurcie. Wśród podróżnych znaleźli się jednak i tacy, którzy na wieść o kłopotach w ruchu lotniczym tylko wzruszyli ramionami. W ostatnich miesiącach podobnych doniesień płynęło tak wiele z Europy, ale i z innych części globu, że niektórzy już przywykli do tego, co można uznać za motyw przewodni tego lata. Zgodnie z podstawowym prawem Murphy’ego jeśli podczas urlopu, pierwszego relatywnie wolnego od pandemicznych obostrzeń, coś może pójść nie tak pod kątem organizacyjnym, najpewniej pójdzie.

Paraliż lotnisk

Obejmujące maj i czerwiec dane z serwisu FlightAware pokazują skalę problemu z podróżami lotniczymi. Niechlubną pozycję najgorszego lotniska na świecie pod względem opóźnień i odwołań potęguje teraz port w Toronto – ponad połowa (52,5%) lotów nie odbyła się tam zgodnie z harmonogramem. Aż siedem miejsc w czołowej dziesiątce zajmują lotniska w Europie. Frankfurt jest drugi, Paryż-Charles de Gaulle trzeci, Amsterdam czwarty. Dalej – dwa lotniska w Londynie (Gatwick i Heathrow) oraz Monachium. Wszędzie tam odsetek nieprawidłowości przekracza 40%. Niewiele lepiej jest w Atenach, ósmym w rankingu (37,9% opóźnień lub odwołań). Już same te liczby pokazują, że jeśli ktoś w tym roku wybiera się na wakacje na własną rękę



Port we Frankfurcie zajmuje drugie miejsce na liście najgorszych lotnisk na świecie pod względem opóźnień i odwołań lotów.

albo wylatuje czarterem z dużego lotniska, musi się uzbroić w cierpliwość i przygotować na kilka dodatkowych godzin na niewygodnych ławkach czy w lotniskowym barze. Wylot na czas jest teraz luksusem.

Skąd te problemy? Jak to zwykle bywa w branżach tak złożonych jak lotnictwo i cała turystyka, jednej przyczyny nie ma. W tym roku jednak nastąpiło wręcz niewyobrażalne ich spiętrzenie w krótkim czasie.

Pracownicy Lufthansy strajkują z powodu niskich wynagrodzeń. Związek zawodowy Ver.di domaga się podniesienia wynagrodzeń dla 20 tys. pracowników linii. Podwyżka ma wynieść 9,5% lub co najmniej 350 euro miesięcznie na rok kontraktu. Związkowcy swoje żądania tłumaczą inflacją i coraz większymi obciążeniami tych pracowników, którzy w liniach jeszcze zostali. Lufthansa, podobnie jak Air France-KLM, British Airways ▶

► i inni najwięksi przewoźnicy Europy, cierpi na gigantyczny niedobór personelu. Według danych firmy badawczej Oxford Economics na całym świecie w sektorze lotniczym – jako personel naziemny oraz załogi na pokładzie – pracuje aż 2,3 mln osób mniej niż przed wybuchem pandemii. To m.in. jej skutek – większość świata była kompletnie pozamykana dla podróży międzynarodowych przez co najmniej kilka miesięcy. Niektóre kraje utrzymują częściową izolację do dziś. Chiny nie wpuszczają praktycznie nikogo, Japonia na reglamentowaną turystykę zagraniczną otworzyła się dopiero w maju. Ci, którzy odeszli z lotnictwa dwa lata temu, często do niego już nie wrócili. Powoduje to łańcuch problemów na wszystkich etapach podróży. Jest mniej pilotów, stewardes, osób odpowiedzialnych za odprawę i sortowanie bagaży. A pracy – tyle samo albo nawet więcej, bo po dwóch latach przymusowej izolacji pragnienie podróży jest bardzo silne. Co jednak ważne dla oczekujących rozwiązania napięć w lotnictwie, perspektywy nie są optymistyczne. Wciąż bowiem jesteśmy daleko od szczytów – bieżących problemów, ale też postpandemicznego powrotu do zwiedzania świata. Jak pisze Andrew Tuck z magazynu „Monocle”, powołując się

na komunikaty Organizacji Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego (ICAO), ruch na niebie do intensywności sprzed pandemii wróci dopiero w 2024 r. Oznacza to, że potrzeb będzie więcej i za rok, i za dwa. A nic nie wskazuje, by miał kto na te potrzeby odpowiedzieć.

W maju paraliż ogarnął londyńskie lotnisko Heathrow, które szybko zyskało nowy przydomek: cmentarzysko bezpiecznych walizek. Pracowników brakowało do tego stopnia, że

wynikającą z unijnego prawa), na które po chudszych pandemicznych latach nie może sobie pozwolić. To zresztą nie pierwszy raz w ostatnich latach, kiedy związki wciskają hamulec w Lufthansie. Poprzedni konflikt miał miejsce w listopadzie 2020 r. – linia z powodu zmniejszonych przychodów gotowa była zredukować zatrudnienie aż o 27 tys. osób. Wtedy Ver.di, UFO i inne związki funkcjonujące w koncernie poszły na ugodę, zgadzając się na redukcję

Najgorszym lotniskiem na świecie pod względem opóźnień i odwołań połączeń jest port w Toronto.

po wylądowaniu niektórych samolotów bagaże przywożono do terminalu, zrzucano na jedną kupę i kazano sortować własnoręcznie pasażerom. Strajk rozwiązano ośmioprocentową podwyżką osłonową wobec inflacji. Czy protest w Lufthansie będzie miał taki sam finał? Jeszcze nie wiadomo, linia twardo negocjuje, domaga się ograniczenia liczby postulatów związków o połowę. Nie za bardzo jednak ma dokąd się cofnąć, bo jest zakładnikiem swoich pracowników. Bez przywrócenia płynności ruchu we Frankfurcie narazi się na ogromne straty (również przez konieczność wypłaty odszkodowań pasażerom,

wynagrodzeń, maksymalnie do 2023 r. Inflacja, rosnące koszty energii i niepewność związana z wojną w Ukrainie naruszyły jednak ten kompromis, związki nie chcą czekać kolejny rok, walczą o podwyżki już teraz. I mają spore szanse na sukces.

Hotele szukają pracowników

Samolot to tylko pierwszy etap podróży na wakacje. Jeśli komuś uda się przebić przez koszmarnie opóźnień, długich odpraw i trudności z odnalezieniem bagażu, napotka zapewne problemy w hotelu. Tutaj sytuacja jest bardzo podobna do tej w lotnictwie. Przede wszystkim brakuje personelu, choć z innych przyczyn niż w liniach lotniczych.

Po pierwsze, sporo prac sezonowych, nie tylko w hotelach, ale i w sektorach okoturystycznych, np. w transporcie, wykonywali migranci z Afryki, Bliskiego Wschodu i Azji. Dotyczyło to zwłaszcza Sycylii i Sardynii, hiszpańskich Costa del Sol i Andaluzji, a także Kanarów i Balearów. Wielu z nich po pandemicznym zamknięciu sektora nie wróciło do pracy, część przeniosła się na Północ. Po drugie, baza noclegowa jest w wielu krajach mniejsza niż przed pandemią, bo część hoteli splajtowała. Natomiast chętnych jest czasami więcej niż dawniej.

Jak podaje agencja AFP, Grecja może na koniec tego lata przebić wskaźniki liczby turystów z 2019 r., kiedy przybyło tam 31,4 mln osób. Chorwackie ministerstwo turystyki



tylko w pierwszych pięciu miesiącach tego roku – a więc mocno przed szczytem sezonu – odnotowało przyjazd 2,9 mln przybyszów z zagranicy. To aż o 175% więcej niż rok temu. Jednak ograniczona liczba miejsc i brak pracowników powodują, że ceny idą w górę. W chwili oddawania tego tekstu do druku w Chorwacji przebywało 980 tys. zagranicznych turystów, a baza noclegowa wypełniona była w 97%. To wszystko statystyki wyższe niż w rekordowym dotychczas roku 2019. Przy wyższych cenach energii, niezbędnej chociażby do zapewnienia działającej niemal non stop klimatyzacji, wakacje na Bałkanach – nie tylko w Chorwacji – potrafią być w tym roku 15-20% droższe niż przed pandemią.

To zresztą trend na całym kontynencie, bo wszędzie jest drożej, brakuje pracowników, inflacja rośnie, tak samo jak ogólna niepewność co do sytuacji gospodarczej. Ale rośnie też pragnienie odpoczynku. Jak pokazuje sondaż zrealizowany przez Ipsos przy współpracy z agencją Europ Assistance, aż 71% Europejczyków planuje w tym roku letnie wakacje. To o 8 pkt proc. więcej niż w 2019 r.

Upały i pożary

Oprócz kwestii finansowych jeszcze jeden kluczowy element wpływa na to, czy urlopy będą nie tylko możliwe, ale i udane – pogoda. Od końca czerwca przez Stary Kontynent przetoczyły się już dwie fale upałów. Temperatura w Portugalii przekroczyła 45 st. C, niewiele chłodniej było we Włoszech, Hiszpanii, Francji, Chorwacji. Nawet na Wyspach Brytyjskich padł rekord ciepła, 40,3 st. C w miejscowości Coningsby w Lincolnshire. Im cieplej, tym dłużej chodzą klimatyzacja. A to oznacza więcej zużycia energii, coraz droższej w obliczu przedłużającej się wojny z Rosją i szantażu Kremla wobec Europy. A kraje Południa często odczuwają ten szantaż nad wyraz mocno. Na przykład Włochy, które aż w 25% zależą od dostaw rosyjskiego gazu. Z jednej strony, można się cieszyć, że to mniej niż 40% z okresu sprzed konfliktu. Z drugiej – jedna czwarta to wciąż bardzo dużo. Drugi skutek upałów to pożary,

które doprowadziły już do ewakuacji ponad 25 tys. osób we Francji, kilku tysięcy w Toskanii i podobnej liczby na południu Hiszpanii.

Ogień stanowi realne zagrożenie także dla turystów. Rozprzestrzenia się na terenach bardzo wśród nich popularnych. Francuska miejscowość La Teste-de-Buch, znana przede wszystkim z welodromu i ściągających tu tysięcy wczasowiczów na dwóch kółkach, straciła wiele z tegorocznego zysku, po tym jak obiekt został zamieniony w tymczasowe centrum dowodzenia strażaków gaszących pożary lasów w okolicy. Ze względu na dym również pobliska Dune du Pilat, najwyższe i najszerze wydmy w Europie, położone nad Zatoką Biskajską, gościła niewielu przybyszów. Susza dewastuje też północ Włoch. Pad, długa na ponad 650 km rzeka, ma najniższy poziom od 30 lat, a plażowanie w jej delcie u ujścia do Adriatyku jest coraz trudniejsze,

Wylot na czas jest teraz luksusem.

bo woda z morza wdarła się na nie spotykane dotąd 31 km w głąb lądu. Do tego dochodzi cała lista nagłych zdarzeń pogodowych. Gwałtownych ulew, szybkich powodzi, spadków temperatur nawet o kilkanaście stopni. Biorąc pod uwagę wzrost cen i klimatyczną niepewność, sama chęć podróżowania może nie wystarczyć i niewykluczone, że wielu z tych 71% Europejczyków zdecyduje się spędzić lato w domu, a przynajmniej w jego okolicach.

Covid nie odpuszcza

Na koniec wspomnieć trzeba o koszmarze lat minionych, który wbrew pozorom wcale się nie skończył. Koronawirus, zwłaszcza jego nowy subwariant BA.5, po Europie i Ameryce Północnej rozprzestrzenia się w tempie alarmującym. Dla turystyki to niebezpieczne, ponieważ znacznie częściej niż poprzednie warianty wirusa uderza w grupę wiekową 18-24 lata. Jak donosi brytyjski dziennik „The Guardian”, właśnie wśród osób w tym wieku jest najwięcej zakażeń m.in. w Grecji. O 60%

w ciągu miesiąca wzrosła z kolei liczba zachorowań w Hiszpanii. Przypadki nie są ciężkie, rzadko wymagają hospitalizacji, ale potrafią unieruchomić turystę na dłużej. A to oznacza, jak nazywa to branża, wakacje pasywne – turysta nie wydaje dodatkowych pieniędzy, nie korzysta z atrakcji poza miejscem zakwaterowania. Czasami nie przyjeżdża w ogóle, bo są kraje w Europie, np. Portugalia, które wszystkich obostrzeń wynikających z reżimu sanitarnego nie zniosły. Żeby dojechać na zachodni kraniec Europy, nadal trzeba pokazać dowód szczepienia lub negatywny wynik testu. W Niemczech obowiązkowe w transporcie publicznym są maseczki, które mogą wrócić również w Andaluzji, Katalonii i na Wyspach Kanaryjskich.

Czy letnie wakacje będą jeszcze kiedyś normalne? Jeśli za takie uznajemy kopię naszych urlopów np. sprzed dekady, odpowiedź musi być negatywna. I nie wynika to jedynie z konieczności współżycia z koronawirusem, który nadal bywa groźny i już z nami zostanie. Znacznie więcej do powiedzenia w kwestii naszych urlopów ma klimat. Są miejsca w Europie, zwłaszcza w jej środkowej części, w których średnia temperatura w czerwcu była nawet o 5 st. C wyższa niż jeszcze dwie dekady temu. Pożarów będzie przybywać, natomiast ubędzie chociażby szlaków w Alpach. Do 2100 r. tamtejsze lodowce stracą, według obecnych prognoz włoskiego rządu, 80% swojej masy. Turysci nadal zdają się tego nie rozumieć. Jak wynika ze statystyk władz regionu Trydent-Górna Adyga, aż 86% amatorów wspinania się na szczyty w tej okolicy przyjechało samochodami. I to tam niedawno doszło do tragedii na lodowcu Marmolada, gdzie wskutek oderwania się kawałka lodowej czapy zginęło 11 osób. To jak w soczewce skupia w sobie problemy współczesnej turystyki. Ten największy sektor światowej gospodarki stoi teraz przed wyzwaniem egzystencjalnym. Albo wymyśli się na nowo, albo zniknie. A wraz z nim – nasze wyobrażenia o letnich wakacjach.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Erdoğan i lekarze na wojennej ścieżce

Zabójstwo kardiologa na dyżurze to najnowszy akt przemocy, która dotyka pracowników służby zdrowia w Turcji

Tomasz Skowronek

Kardiolog Ekrem Karakaya pracował w miejskim szpitalu w Konyi w południowej Turcji. Gdy 6 lipca kończył dyżur, został postrzelony przez syna pacjentki, który winił go za śmierć swojej matki, zmarłej w tym szpitalu po operacji serca. Mimo reanimacji życia 47-letniego lekarza nie udało się uratować. Jego zabójstwo to najnowszy przykład przemocy dotykającej pracowników służby zdrowia w Turcji. Zabójca, Hacı Mehmet Akçay, zastrzelił się zaraz po popełnieniu zbrodni.

Napaści niezadowolonych pacjentów

Morderstwo wywołało ogólnokrajowe protesty, a pracownicy służby zdrowia w całym kraju ogłosili dwudniowy strajk. „Dr Ekrem Karakaya został zabity na służbie. Jesteśmy żli. 7 i 8 lipca strajkujemy przeciwko przemocy”, podało w oświadczeniu Tureckie Stowarzyszenie Medyczne (TTB), domagając się dymisji ministra zdrowia Fahrettina Kocy.

Według raportu Związku Pracowników Zdrowia i Pracowników Socjalnych Sağlık-Sen w 2021 r. ofiarą przemocy fizycznej, głównie ze strony pacjentów i ich rodzin, padło co najmniej 316 pracowników służby zdrowia. W ciągu ostatnich 10 lat zaatakowanych werbalnie lub fizycznie zostało ponad 100 tys. lekarzy. Z wydawanego przez związek raportu wynika też, że tylko 11% napastników zostało aresztowanych, ale trzem czwartym zatrzymanych nie postawiono żadnych zarzutów.

W wywiadzie dla portalu Balkan Insight profesor medycyny i członek zarządu Tureckiego Stowarzyszenia Medycznego, Vedat Bulut, stwierdził, że liczba przypadków przemocy wobec pracowników medycznych stale rośnie. „Lekarze rezygnują z pracy na rzecz lepszego zatrudnienia w sektorze prywatnym, a także pracy za granicą. Zgłaszaliśmy Ministerstwu Zdrowia, że konieczne są zmiany polityki i wdrożenie zachęt dla lekarzy, aby powstrzymać ten trend, ale nic nie zostało zrobione”, tłumaczył Bulut.

Zaledwie parę dni po śmierci kardiologa ze szpitala w Konyi tłum ludzi zaatakował szpital uniwersytecki w mieście Adana na południu kraju. W północnej prowincji Sakarya jeden z pacjentów odgrażał się, że zabije swojego lekarza „tak jak faceta w Konyi”.

Związki zawodowe i politycy opozycji obwiniają o tę falę przemocy Partię Sprawiedliwości i Rozwoju, kierowaną przez prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğana. Kemal Kılıçdaroğlu, przewodzący opozycyjnej Republikańskiej Partii Ludowej (CHP), wprost

W 2021 r. ofiarą przemocy fizycznej ze strony pacjentów i ich rodzin padło co najmniej 316 pracowników służby zdrowia.

oskarżył Erdoğana o spowodowanie śmierci Karakayi: „Erdoğan, spójrz, co narobiłeś! – powiedział. – Stała nagonka rządu na medyków prowadzi do fizycznej przemocy”.

„Przemoc wobec lekarzy ma charakter polityczny. Żądamy, aby rząd przejął inicjatywę i uchwalił prawo, które surowo karze przemoc wobec pracowników służby zdrowia”,



ogłosił Selahattin Mentek, przewodniczący stowarzyszenia medycznego z Adany. Podkreślił przy tym, że przypadki przemocy skierowanej przeciw lekarzom, takie jak atak w Adanie, często nawet nie są nagłaśniane.

Ataki rządzących i trolli

Szpitala były do tej pory dumą tureckiego prezydenta. W ciągu ostatnich 15 lat Erdoğan zbudował w całym kraju ogromne placówki miejskie, wyposażone w najnowszą technologię i tysiące łóżek. Zdigitalizował system opieki zdrowotnej i obiecał najlepszą opiekę medyczną dla wszystkich. Prawie żaden inny temat nie przyniósł obecnemu prezydentowi tak dużej popularności, zwłaszcza wśród obywateli o niskich dochodach. Ciągłe też rozwija się sektor turystyki zdrowotnej, każdego roku korzystają z niego dziesiątki tysięcy obcokrajowców

leczących się z powodu rozmaitych dolegliwości.

Jednak pacjenci są coraz mniej zadowoleni ze służby zdrowia. W mocno spolaryzowanym – podobnie jak w Polsce – społeczeństwie trudna sytuacja lekarzy stworzyła ostry podział na tych, którzy popierają strajki, i tych, którzy oskarżają sektor zdrowia o oportunizm i zaprzestanie

Protest pracowników służby zdrowia. Stambuł, 7 lipca 2022 r.



pracy w okresie, gdy liczba przypadków COVID-19 wzrosła i trzeba zastosować dawki przypominające szczepienia.

Te nastroje społeczne podsycia władza. Choć konflikt tureckiego rządu z lekarzami nie jest nowy, bo już w 2014 r. Departament Zdrowia złożył pozew przeciw Tureckiemu Stowarzyszeniu Medycznemu, gdyż jego przedstawiciele udzielali pomocy lekarskiej strajkującym w parku Gezi w Stambule, to ostatnio rządzący szczególnie często publicznie krytykują pracowników służby zdrowia. Wypowiedzi premiera i ministrów przedstawiają lekarzy jako samolubnych i chciwych. Media głównego nurtu również odgrywają znaczącą rolę w kształtowaniu negatywnych postaw wobec zawodów medycznych – dyskurs antylekarski dominuje np. w wielu programach telewizyjnych. Rada Najwyższa Radia i Telewizji (RTÜK), turecki organ nadzorczy mediów, nałożyła zakaz nadawania wiadomości o zamordowaniu Karakayi. Został on wprowadzony wkrótce po tym, jak sfilmowano gubernatora Konyi Vahdettina Özkana wygwizdanego przez lekarzy po przybyciu do szpitala.

Owszem, zabójstwo kardiologa zostało potępione przez władze. Przedstawiciele rządu, w szczególności minister zdrowia Fahrettin Koca, wyrazili głęboki smutek z powodu śmierci Karakayi, lecz jednocześnie skrytykowali protesty i strajk, które po niej nastąpiły. Przewodniczący Partii Narodowego Działania Devlet

Bahçeli, najważniejszy polityczny sojusznik Erdoğan, stwierdził, że strajk był bezprawny. Skrajnie prawicowy przywódca zaatakował Tureckie Stowarzyszenie Medyczne, mówiąc, że „zamieniło się ono w narzędzie separatyzmu”, i przedstawiając strajk jako „złowrogą próbę sabotowania systemu opieki zdrowotnej”. Bahçeli od lat nawołuje do zamknięcia „lewicowego” TTB, które reprezentuje ponad 80% tureckich lekarzy. Twierdzi, że stowarzyszenie jest powiązane ze zdelegalizowaną Partią Pracujących Kurdystanu (PKK).

W 2021 r. z Turcji wyjechało do pracy za granicą 1405 lekarzy, w roku 2012 – zaledwie 59.

W mediach społecznościowych trolle powiązane z Partią Narodowego Działania (MHP) i rządem wstawiły hashtag: #CloseDownTTB, podchwytując wymysł Bahçelego, jakoby TTB wspierało terroryzm. Zapewnienia grup lekarskich, że służby ratunkowe będą nadal działały, a wszystkie ich stanowiska będą obsadzone przez cały strajk, albo nie zostały wysłuchane, albo celowo je zignorowano.

Dodatkowo konflikt był podsycany przez imama z Konyi, który zasugerował, że lekarze dostają to, na co zasłużyli. „Wczoraj żaden ze szpitali nie dyżurował. Wyobraź sobie, że poszedłeś do szpitala po zastrzyk czy pomoc medyczną i nie zostanie ci ona udzielona, i możesz umrzeć. Lekarz każe ci odejść, ponieważ strajkują.

Nie zabijesz go, nie pobijesz, nie zaklniesz na niego?”, grzmiał imam Ahmet Gür. Po tygodniu został wprawdzie skrytykowany zarówno przez rządzących, jak i innych duchownych, oraz odsunięty od władzy, jednak lekarze nie wierzą, że dojdzie do jakiegoś przełomu.

Rosnąca emigracja

Lipcowy strajk lekarzy był już piątym w tym roku. Przyczyną protestów są niskie zarobki, długi czas pracy i narastająca przemoc. TTB żąda co najmniej 150-procentowej podwyżki płac dla pracowników służby zdrowia, co zrównoważyłoby galopującą inflację, oraz zagwarantowania większego bezpieczeństwa personelu medycznego, przeciążonego pracą w czasie pandemii COVID-19 i zagrożonego coraz częstszymi atakami fizycznymi. „W obliczu trudności finansowych i zawodowych, przemocy i obelg w samym 2021 r. z Turcji wyjechało do pracy za granicą 1405 lekarzy”, ubolewa Selahattin Mentesh. Dla porównania – w roku 2012, gdy gospodarka była silna, a demokracja i rządy prawa w znacznie lepszej kondycji niż teraz, z Turcji wyjechało zaledwie 59 lekarzy, w 2017 r. już 482, w 2019 r. – 1047. Teraz ta liczba zbliża się do 1,5 tys.

Dwóch anonimowych kardiologów w rozmowie z prestiżowym portalem medycznym TCTMD oceniło, że najpewniej nic się nie zmieni. Przewidują oni, że wykwalifikowani specjaliści wyjadą z kraju, podczas gdy wakaty zostaną obsadzone przez gorszych lekarzy ściąganych z Syrii, Afganistanu i Pakistanu.

W międzyczasie odrzucono petycję TTB, aby zabezpieczenia w szpitalach zostały wzbogacone o wykrywacze metali i skanery rentgenowskie. „Nie ma gwarancji, że nie zostaną zabity przez jednego z krewnych mojego pacjenta, bo dziś mam dyżur”, powiedział jeden z kardiologów. „Nie ma gwarancji, że będę bezpieczny. Rząd nie może nas chronić. I nie chce nas chronić”, podkreślił. ■

Koniec rządów Draghiego

Kolejny włoski kryzys polityczny ma w sobie coś z szaleństwa

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Dlaczego właśnie teraz, gdy i tak do końca kadencji parlamentu zostało kilka miesięcy? Dlaczego w momencie, w którym nie przeprowadzono jeszcze wszystkich reform gwarantujących, że Włochy otrzymają ponad 200 mld euro z europejskiego Funduszu Odbudowy? Dlaczego w czasie kryzysu energetycznego, najwyższej inflacji od dziesięcioleci i bardzo złej koniunktury gospodarczej, grożącej globalną recesją? Dlaczego w trakcie wojny w Ukrainie, gdy premier Mario Draghi był gwarantem euroatlantyzmu nie tylko we Włoszech, ale i w Europie? Dlaczego w środku lata naznaczonego przez upały, suszę i pożary, tuż przed przegłosowaniem pomocy dla rolników?

Te pytania zadają sobie Włosi, ale nawet najlepsi analitycy polityczni nie potrafią znaleźć racjonalnego wyjaśnienia. Kolejny włoski kryzys polityczny w samym środku lata ma w sobie coś z szaleństwa, zwłaszcza że tym razem upadł rząd techniczno-polityczny, kierowany przez osobę cieszącą się wielkim prestiżem i wysokim zaufaniem społecznym, mającą niepodważalne kompetencje oraz będącą gwarantem kraju na arenie międzynarodowej. Według sondaży 51% badanych uważa ten kryzys za nieuzasadniony.

21 lipca br. premier Mario Draghi złożył rezygnację na ręce prezydenta Włoch, Sergia Mattarelli. Jeszcze tydzień przed upadkiem jego gabinetu nic nie wskazywało na taki finał. Trzy partie wchodzące w skład rządu jednocyfrowej – Ruch Pięciu Gwiazd (Movimento 5 Stelle, M5S), Liga Północna (Lega) i Naprzód Włochy (Forza Italia) – zignorowały głosowanie nad wotum zaufania, którego potwierdzenie było dla Draghiego warunkiem koniecznym zakończenia

sporów w koalicji i odnowienia sojuszu. Do przedterminowych wyborów, wyznaczonych na 25 września 2022 r., premier i jego ministrowie będą sprawować władzę tymczasową. Jak mawiają Włosi, będzie to „gabinet plażowy”.

Był to 67. rząd w historii Republiki Włoskiej i trzeci w 18. kadencji parlamentu, która właśnie się zakończyła. Draghi rządził zaledwie 516 dni, jako najstarszy premier w historii kraju. Funkcję objął 13 lutego 2021 r.

Conte wystawił rachunek

Przed Mariem Draghim dwukrotnie rządził Giuseppe Conte, najpierw jako premier wyłoniony przez Ruch Pięciu Gwiazd i Ligę, a następnie jako szef rządu lewicowej koalicji złożonej z czterech partii: Ruchu Pięciu Gwiazd, Partii Demokratycznej, ruchu Wolni i Równi oraz formacji Mattea Renzi Włochy Żywe (Italia Viva). Rządy Contego przypadły na okres pandemii koronawirusa i dzięki

i człowiekiem instytucją. Jak stwierdził Renzi, „zamiast statystą okazał się politycznym stażystą”.

Po zakończeniu premierowania Conte mógł powrócić do zawodu adwokata i do profesury uniwersyteckiej, zostając bez wątpienia jednym z najbardziej wziętych i cenionych włoskich ekspertów. Zdecydował się jednak stanąć – nie bez problemów – na czele Ruchu Pięciu Gwiazd, nie zdając sobie sprawy z tego, że świetność tej partii już przeminęła. Wewnętrzne kłótnie, rozłamy, ekstremizacja, a przede wszystkim odejście od pierwotnych założeń ruchu obywatelskiego spowodowały, że wielu wyborców odwróciło się od niej. Ugrupowanie polityczne, które w 2018 r. wygrało wybory, zdobywając 32% głosów (na M5S głosowało przeszło 10 mln Włochów), dziś ma zaledwie 10,1% poparcia, wyprzedzając o 2 pkt Forza Italia Berlusconi. Lewicowy elektorat, uwiedziony wcześniej instytucjonalnym wizerunkiem „adwokata ludu”,

Upadł rząd techniczno-polityczny, kierowany przez osobę cieszącą się wielkim prestiżem i wysokim zaufaniem społecznym.

umiejętności zachowania spokoju oraz miękkiego wprowadzania drastycznych rozwiązań cieszył się on olbrzymią popularnością. Jego drugi gabinet przetrwał 527 dni. Do jego upadku przyczynił się przede wszystkim Renzi, otwierając kryzys parlamentarny przez wycofanie poparcia swojej partii Italia Viva.

Powodem była nieumiejętność przygotowania wiarygodnego planu na pozyskanie środków z europejskiego Funduszu Odbudowy. Choć w tamtej chwili posunięcie Renziego wyglądało na polityczny oportunizm, dziś wydaje się, że w wielu kwestiach miał on rację. Giuseppe Conte, desygnowany na premiera przez założyciela M5S, komika Beppe Grilla, miał być mężem stanu

powrócił do Partii Demokratycznej, kierowanej przez Enrica Lettę. Contemu pozostała więc populistyczna radykalizacja, aby odzyskać przynajmniej 2% głosów. Postanowił je zdobyć, sprzeciwiając się pomocy militarnej dla Ukrainy w imię wyższej racji pacyfizmu oraz budowie spalarni śmieci w Rzymie w imię ideologicznej ekologii.

Draghiemu od dawna nie podobały się szandarowe rozwiązania Ruchu Pięciu Gwiazd przyjęte przez poprzednie rządy Contego, będące przykładem politycznego rozdawnictwa pieniędzy podatników. Żle przygotowane reformy i dekrety powodują straty budżetu państwa i stwarzają okazję do malwersacji. Wśród nich jest tzw. bonus 110%,



Zdaniem niektórych premier Mario Draghi mógł rządzić do końca kadencji bez Ruchu Pięciu Gwiazd, bo i tak miał większość.

dzięki któremu podmioty dokonujące renowacji fasad budynków mogą odebrać 110% zainwestowanych funduszy. Owszem, odblokowało to zastój na włoskim rynku budowlanym, ale spowodowało też wzrost cen usług i materiałów oraz oszustwa na 5,6 mld euro. Drugi problem stanowi tzw. dochód obywatelski. Obietnica wprowadzenia go przyczyniła się do wygranej M5S w 2018 r. Z minimalnej pensji obywatelskiej we Włoszech skorzystało 3,7 mln osób. Według ostatniego raportu Włoskiego Narodowego Instytutu Statystyki większość z nich reforma ta uratowała od ubóstwa, stając się dla nich ekonomicznym kołem ratunkowym. Problem polega na tym, że została źle pomyślana. Zamiast tworzyć nowe miejsca pracy i pomagać w reintegracji bezrobotnych, spowodowała, że we Włoszech cała rzesza ludzi żyje z zapomogi państwowej i dorabia na czarno, podczas gdy przedsiębiorcy mają kłopot ze znalezieniem rąk do pracy.

Premier Draghi przymierzał się do uporządkowania sytuacji, ale w tym czasie pojawiła się informacja, jakoby dzwonił do Beppe Grilla z życzeniem, aby ten zmienił kierownictwo Ruchu Pięciu Gwiazd, usuwając Giuseppe Contego. Fakt ten nie został

potwierdzony, lecz wystarczyło to do rozpętania kryzysu politycznego. Conte zaczął szantażować Draghiego, żądając, aby ten zgodził się na dziewięć propozycji jego partii, które były nie do przyjęcia dla szerokiej koalicji jednocy narodowej. W M5S nastąpił rozłam – formację opuścił minister spraw zagranicznych Luigi Di Maio, zabierając ze sobą dość pokaźną świątę ministrów i parlamentarzystów. Conte chciał przejść do opozycji, aby przed nadchodzącymi wyborami nadrobić trochę w sondażach, zapewniając jednak rządowi poparcie zewnętrzne. Draghi się nie zgodził i zażądał, aby zagłosowano nad wotum zaufania. Liga Mattea Salviniiego i Forza Italia Berlusconiiego zaproponowały, aby głosowano nad rezolucją w sprawie kontynuacji rządu bez Ruchu Pięciu Gwiazd. Draghi ponownie się nie zgodził. Wtedy parlamentarzyści Salviniiego i Berlusconiiego wyszli z sali głosowań, podczas gdy ci z M5S wstrzymali się od głosu. Tak upadł rząd Maria Draghiego.

Prawica gotowa rządzić

Zdaniem niektórych premier sam sobie podstawiał nogę. Miał przecież większość i mógł rządzić do końca kadencji bez Ruchu Pięciu Gwiazd.

Dla byłego szefa Europejskiego Banku Centralnego taka sytuacja była jednak nie do zaakceptowania. Oznaczałaby ciągłe ustępstwa wobec pozostałych koalicjantów. Włoskie partie już zaczęły rozgrzewkę przedwyborczą, co stanowiło realne zagrożenie dla wdrożenia reform, które zaproponował. Problemem byłoby również uchwalenie budżetu państwa jesienią.

Jeszcze zanim Draghi podał się do dymisji, Silvio Berlusconi ogłosił, że jest gotowy wrócić do gry. Zdążył ułożyć program rządowy w ośmiu punktach: „Mniej podatków, mniej biurokracji, mniej procesów, więcej bezpieczeństwa, więcej dla młodych, więcej dla starszych, więcej dla ekologii i nowa polityka zagraniczna”. Berlusconi obiecał, że podniesie emerytury minimalne do 1000 euro i posadzi milion drzew. Ma już gotową listę ministrów.

Gdy kilka miesięcy temu włoska prawica zawiązała koalicję przedwyborczą, w której skład weszły Naprzód Włochy, Liga i Bracia Włosi (Fratelli d'Italia), ustalono, że kandydatem na koalicyjnego premiera będzie lider, którego ugrupowanie przodkuje w sondażach. Dziś przewodnicząca Braci Włochów Giorgia Meloni, prowadząca w rankingu preferencji z prawie 25%, może mieć problemy z wyegzekwowaniem tego założenia. Meloni powtarza, że jest gotowa rządzić. Już dawno ogłosiła swój program polityczny, a ostatnio nawet go wykrzyczała podczas wiecu hiszpańskiej narodowo-konserwatywnej partii Vox. „Jestem Giorgia! Jestem kobietą, jestem matką, jestem ze skrajnej prawicy! – skandowała. – Nie dla lobby LGBT, tak dla rodziny naturalnej! Nie dla emigracji masowej! Nie dla bankierów międzynarodowych! Nie dla biurokratów brukselskich! Nie dla przemocy islamskiej! Nie dla aborcji, tak dla życia!”.

Włoska lewica straszy faszystowskimi korzeniami partii Meloni, a im bardziej straszy, tym bardziej rośnie poparcie dla Braci Włochów. Co czwarty Włoch jest skłonny oddać na nią głos. Liderka Fratelli d'Italia oficjalnie odcięła się od faszyzmu i oskarża przeciwników politycznych o prowadzenie kampanii oszczerstw. ▶

► „Kto krytykuje nas za granicą, jest inspirowany przez włoską lewicę”, powiedział Ignazio La Russa, jeden z przedstawicieli Braci Włochów. Choć w symbolu partyjnym nadal płonie charakterystyczny ogień Włoskiego Ruchu Społecznego, postfaszystowskiej partii założonej w 1946 r. przez zwolenników Mussoliniego, dziś Giorgii Meloni bliżej do Kaczyńskiego i Orbána.

Jedyna kobieta na włoskiej scenie politycznej ma przed sobą wielką szansę, ale równocześnie wiele przeszkód. Jej partia pozostała w opozycji do rządu Dragiego i na swojej konsekwencji zbiła kapitał polityczny. Meloni jest też wierną atlantystką, która bez wahania popiera Ukrainę. Będzie mile widziana za oceanem, choć bliżej jej do Donalda Trumpa niż do Joeego Bidena. Jako premier włoskiego rządu może mieć problemy w Europie, zwłaszcza z Emmanuelem Macronem i Olafem Scholzem.

Także Matteo Salvini jest gotowy powrócić do władzy. Od 2019 r. notowania jego partii bardzo spadły i obecnie to zaledwie połowa preferencji dla Meloni. Mimo to już podczas pierwszego wiecu lider Ligi zapowiedział: „To my

wskazemy premiera”. Salvini obiecał nowy dekret przeciwko imigracji, obniżenie podatków, pokój fiskalny i reformę wieku emerytalnego. O nowej polityce zagranicznej włoskiej prawicy nie było jeszcze mowy.

Obóz otwarty i plan reform Dragiego

Co robi włoska lewica, gdy prawica jest już gotowa rządzić? Jak zwykle debatuje i nie może dojść do porozumienia. Posunięcie Berlusconi i Salviniego było taktycznie doskonałe. Jednym ruchem udało im się przyspieszyć wybory i rozbić tzw. szeroki obóz, czyli wielką koalicję lewicową opartą na Partii Demokratycznej i Ruchu Pięciu Gwiazd.

Gdy prawica jest już gotowa rządzić, włoska lewica jak zwykle debatuje i nie może dojść do porozumienia.

Po tym, co się wydarzyło, liderzy, a przede wszystkim wyborcy obu partii nie chcą na siebie patrzeć. Rozwód wydaje się definitywny.

Enrico Letta – były premier w latach 2013-2014 – kieruje Partią Demokratyczną od 2021 r. z dużym sukcesem. PD goni w sondażach Braci Włochów z bardzo dobrym rezultatem 23,7%. Teraz, kiedy szeroki obóz nie ma już racji bytu, Letta myśli o obozie otwartym, który zjednoczy wszystkie małe podmioty polityczne, łącząc demokratów i progresywnych oraz reformatorów, republikanów, lewicowców, uchodźców z innych partii i wszystkich tych, którzy nie chcą, by Meloni doszła do władzy.

Przy obecnej ustawie wyborczej ważne będą nie tylko programy, ale również kalkulacje polityczne dotyczące list i obwodów wyborczych. PD pod jednym dachem chce mieć Włoską Lewicę i pokrewne jej mniejsze listy, Centrum Demokratyczne, do którego mają trafić rozbitkowie z Ruchu Pięciu Gwiazd i zbiegowie z partii Berlusconi oraz Socjalistów, do których mają dołączyć Zieloni.

Letta chciałby, aby do obozu otwartego przystąpił także były kandydat na prezydenta Rzymu Carlo Calenda ze swoją partią Akcja, która osiągnęła w sondażach 6%

i stworzyła koalicję z Europą Plus Emmy Bonino. Calenda jednak się waha, gdyż to on chciałby przyjąć parlamentarzystów, którzy odeszli po latach od Berlusconi i mogą być atrakcyjni dla wyborców z centrum. Nie chce natomiast być w jednej koalicji z Luigim Di Maio i tymi, którzy wraz z nim opuścili partię Giuseppe Contego.

Matteo Renzi też nie ma zamiaru wchodzić w koalicję z PD i rozbitkami z M5S. Jego partia wystartuje w wyborach sama, a później zdecyduje, czy ułokuje się po lewej lub prawej stronie sceny politycznej. „Bardziej niż obóz otwarty przypomina to obóz uchodźców, w którym toczy się walka”, zażartował niesmacznie jeden z polityków prawicy.

Enrico Letta jako swój program proponuje niedokończony plan reform Maria Dragiego, który ma zagwarantować stabilność krajową oraz wiarygodność międzynarodową. Chce również wprowadzić *ius scho-lae* – ustawę dającą włoskie obywatelstwo dzieciom imigrantów, które ukończyły cykl szkolny we Włoszech. Propozycja ta wzbudza duży opór zarówno Ligi, jak i Braci Włochów. Nie wiadomo jeszcze, kto będzie kandydatem na premiera obozu otwartego – Letta czy sam Dragi.

Oczywiście Ruch Pięciu Gwiazd wystartuje samodzielnie w wyborach. Obok Giuseppe Contego drugim liderem będzie Alessandro Di Battista – orator partii, mogący dorównać w wystąpieniach założycielowi Beppe Grillo. Di Battista jeszcze do niedawna przebywał jako reporter w Rosji, skąd przekonywał Włochów do pacyfizmu. Adwokat ludu i złotousty – to ma być powrót do korzeni i nowy początek M5S. Lub jego koniec.

We włoskiej polityce nic nie jest jeszcze przesądzone, choć trudno liczyć na cud. Podczas gdy Mario Draghi kontynuuje pracę „gabinetu plażowego”, we Włoszech przedwyborcze lato będzie bardzo gorące.

Agnieszka Zakrzewicz

Dlaczego służby specjalne nie prześwieiliły fuzji Orłenu z Lotosem?
Odpowiedź w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.



Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Pan Stefan

Umarł Stefan Wilkanowicz, po śmierci Józefy Henelowej ostatni już lider starej ekipy „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Znałem go właściwie „od zawsze”, bo w moim dzieciństwie stara gazeciarka, roznosząca różne pisma po domach, dostarczała nam „Tygodnik Powszechny” z pieczątką „egzemplarz gratysowy” – to Wilkanowicz dawał staruszcze zarobić dodatkowe parę groszy. Ale znajomość osobistą nawiązałem z Panem Stefanem dopiero wiele lat później. Współpracowałem już wtedy z „Tygodnikiem Powszechnym” i gdy kiedyś okazało się, że jeden z mych artykułów jest dla pisma za długi, polecono mi spróbować szczęścia w miesięczniku „Znak”. Redaktorem naczelnym „Znaku” był właśnie Wilkanowicz. Szczupły, filigranowy, kameralny, był uosobieniem życzliwości i pogody. Odtąd najważniejsze dla mnie artykuły publikowałem w latach 80. u niego.

Gdy wkrótce potem wszedłem w skład redakcji „Tygodnika Powszechnego”, Wilkanowicz bywał u nas bez przerwy. Tego zawsze spokojnego, zamysłonego i cichego człowieka nazywaliśmy „Wulkanowicz”, w skrócie „Wulkan” – niby dla zabawy, ale i nie bez głębszej myśli, bo był tak pełen inicjatyw, że istotnie wyrzucał je z siebie jak wulkan. Już po moim odejściu z „Tygodnika” spotkaliśmy się kiedyś w ekspresie z Warszawy do Krakowa; całą drogę opowiadał o założonej przez siebie Fundacji Kultury Chrześcijańskiej Znak oraz o świecie multimedialnym, w którym widział przyszłość naszego środowiska. Wzruszało, że nie przestał uważać mnie za „swego”, a zarazem było mi wstyd, bo choć w swych działaniach wyznaczał mi jakąś rolę, nie umiałem jego oczekiwaniom sprostać. Młodszy o pokolenie, nie nadążałem, jak on, za nowoczesnością.

Raz dałem mu się namówić – wtedy nie było jeszcze multimediiów. „Pan będzie w Mińsku? – zapytał jesienią 1990 r. – To niech pan skoczy do Moskwy”. No to skoczyłem i dzięki niemu ujrzałem Moskwę z ostatnich miesięcy ZSRR. W dobie pierestrojki miasto to było zupełnie inne i zupełnie inni okazali się moskwyjanie. Jeszcze dziwniejszy był zaś mój cicerone: Julij Anatoljewicz Szejder, rosyjski Żyd, który przyjął katolicyzm. Gdy już mu zrelacjonowałem wszystkie sprawy od Wilkanowicza, zaprosił mnie w większym gronie na kolację. Przed rozejściem się wezwał zebranych Rosjan do modlitwy. Wszyscy posłusznie wstali i odmówili – po polsku – Anioł Pański.

Dziś wydaje się to niewiarygodne. A przecież takich „swoich ludzi” miał podobno Wilkanowicz w różnych

zakątkach globu. Ten gorliwy katolik nie dążył jednak do katolicyzacji świata, zatem nie dążył też do katolicyzacji Rosji – po prostu dowiedział się, że istnieje w Moskwie krąg katolików, więc starał się mu pomóc. A do innych religii, wier, ras i kultur miał stosunek nabożny i pokorny. Świadczy o tym także jego życie prywatne, ożenił się bowiem z Wietnamką z południa tego kraju, Teresą Trần Thị Lãi, córką mandaryna, skądinąd jednak katoliczką. Dom Wilkanowiczów kultywował tradycję zarówno polską, jak i wietnamską, a w ustach Pana Stefana słowa „mój teść” w odniesieniu do starego mandaryna brzmiały szczególnie wzruszająco.

Całe środowisko dawnego „Znaku” było ludźmi dialogu, ale może jeden tylko Wilkanowicz uprawiał coś, co nazwałbym dialogiem bez granic.

Najwięcej dobrego zrobił wszakże Wilkanowicz dla stosunków polsko-żydowskich: wydał „żydowski” numer „Znaku”, założył Klub Chrześcijan i Żydów Przymierze, był wiceprzewodniczącym Międzynarodowej Rady Oświecimskiej, przyczyniał się do rozwiązywania różnych konfliktów wokół Auschwitz. Miał dar słuchania i rozmowy. Całe środowisko dawnego „Znaku” było ludźmi dialogu, ale może jeden tylko Wilkanowicz uprawiał coś, co nazwałbym dialogiem bez granic. Gdy w wyborach prezydenckich 1990 r. ujawniła się po raz pierwszy w III RP złowroga siła polskiej prawicy, jedynie Wilkanowiczowi miałem śmiałość powiedzieć, że powinniśmy teraz odrzucić nasz antykomunizm i wobec większego zagrożenia porozumieć się z SLD. Pan Stefan nie zgorszył się, nie zachnął. Ale po namyśle stwierdził, że byłoby to niewykonalne.

Miał rację. Po stronie triumfującego obozu solidarnościowego chęci do porozumienia z „czerwonym” nie było za grosz. Dziś za to płacimy i zapłacił również Pan Stefan, gdy kiedyś dowiedział się, że miał być informatorem SB. Nie wiem, jak zniósł tę insynuację, na pewno jednak ten wiecznie zapracowany, szlachetny człowiek nie chciał tracić czasu na jałowe polemiki – był ponad to. Ostatni raz widziałem go u krakowskich klarysek, na obchodach jego 90-lecia. Gdy mu życzyłem, by nie ustawał w pracy, odpowiedział: „Jeszcze narozrabiamy”. I roześmiał się swym charakterystycznym, pogodnym śmiechem, który był podobny do szeptu.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Radostaw S. Czarnecki

Przecieki z Watykanu dają komentatorom i publicystom zajmującym się problematyką związaną ze Stolicą Apostolską asumpt do snucia rozważań, czy papież Franciszek ustąpi, podobnie jak to zrobił Benedykt XVI. Powodem miałyby być jego pogarszający się stan zdrowia. Zważywszy na wiek – papież ma 86 lat – jest to argument ważny, lecz impulsem do takiej decyzji Jorge Maria Bergoglia mogą być także narastająca krytyka ze strony różnych środowisk, zmęczenie i kilka spektakularnych porażek w reformie kurii rzymskiej.

O zbliżaniu się konklawe po ewentualnym ustąpieniu Franciszka świadczyć może fakt, że niezwykle ceniona i topowa agencja bukmacherska z Irlandii Paddy Power przyjmuje zakłady o to, kto obejmie w Watykanie schedę po Argentyńczyku. Warto dodać, że w ostatnich dwóch konklawe, które wybrały Ratzingera i Bergoglia na kolejnych papieży, typy Paddy Power sprawdziły się bezbłędnie. Oto lista 10 papabili, czyli potencjalnych przyszłych papieży, obstawianych w irlandzkiej firmie za pieniądze niczym w meczach Premier League:

1. kard. Luis Antonio Tagle, Filipiny, 65 lat – 5:1
2. kard. Peter Turkson, Ghana, 74 lata – 6:1
3. kard. Angelo Scola, Włochy, 81 lat – 6:1
4. kard. Marc Ouellet, Kanada, 78 lat – 7:1
5. kard. Christoph Schönborn, Austria, 77 lat – 8:1
6. kard. Raymond Leo Burke, USA, 74 lata – 8:1
7. kard. Angelo De Donatis, Włochy, 68 lat – 10:1
8. kard. Timothy Dolan, USA, 72 lata – 12:1
9. kard. Gianfranco Ravasi, Włochy, 80 lat – 14:1
10. kard. Péter Erdő, Węgry, 70 lat – 16:1

Komentarze na temat tej listy są różne. Przeważa pogląd, że Włochy odbiją sobie ostatnie niepowodzenie – trzech papieży z rzędu pochodziło spoza Italii – i tym razem obsadzą fotel biskupa Rzymu. Spośród

Papieski totalizator

Topowa agencja bukmacherska przyjmuje zakłady o to, kto będzie następcą Franciszka



Czołowe miejsce na liście Paddy Power zajmuje kard. Luis Tagle z Filipin.

wymienionych tu włoskich purpuratów jedynie kard. De Donatis spełnia wymagania wiekowe uczestnictwa w konklawe, bo według przepisów obowiązujących od czasu rozporządzenia Pawła VI w skład gremium elektorskiego wchodzi ci kardynałowie, którzy w dniu zaistnienia wakatu na Stolicy Apostolskiej nie osiągnęli wieku 80 lat. Trudno też przypuszczać, że elektorzy wybraliby papieżem osobę *in absentia* i stojącą w opozycji do wspomnianego dekretu Pawła VI. De Donatis jest o tyle realnym kandydatem, że w przeszłości pełnił wiele funkcji kurialnych w sferze administracyjno-decyzyjnej

(m.in. wikariusza generalnego Rzymu, administratora apostolskiego obrządku bizantyjskiego itd.). Byłby to sygnał, że papieżem zostaje nie teolog, nie mistyk, nie człowiek zza oceanu, ale osoba miejscowa, znana. Układy kurialne są niestety istotne w tej biurokratyczno-politycznej machinie.

Podobnie ma się rzecz z kandydatami innych Włochów, niebranymi pod uwagę w notowaniach Paddy Power: kard. Pietrem Parolinem (64 lata) – byłym sekretarzem stanu i dyplomata, oraz kard. Matteem Zuppin (67 lat), arcybiskupem Bolonii, przewodniczącym Konferencji

Episkopatu Włoch. Zuppi jest zresztą uważany za jednego z czarnych koni z drugiego szeregu papabili.

Niektórzy komentatorzy wiążą nadzieje z węgierskim kardynałem Péterem Erdő, mianowanym jeszcze przez Jana Pawła II. Na przeszkodzie może jednak stanąć to, że prymas Węgier kojarzony jest mocno z poglądami i polityką Viktora Orbána. Także długi i mocno kontrowersyjny z dzisiejszego punktu widzenia pontyfikat Karola Wojtyły – człowieka z Europy Środkowej obciążonego określonymi konotacjami kulturowo-politycznymi – mógłby czynić Erdő niestrawnym zarówno dla kurialistów, jak i globalistów w kolegium elektorskim.

Na najważniejszego człowieka Franciszka z Europy wyrasta aktualnie 64-letni kard. Jean-Claude Hollerich, arcybiskup Luksemburga, przewodniczący Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej, określany jako pełnokrwisty modernista. Z perspektywy progresywnej rewolucji jest on rzeczywiście wymarzoną kandydatem. Jako biskup Rzymu mógłby przebudować Kościół jeszcze szybciej i głębiej, niż robi to Bergoglio. Zasadniczą przeszkodą w tej kandydaturze może być fakt, że jest jezuitą, a pamiętajmy, że Franciszek wywodzi się z Towarzystwa Jezusowego. Dwóch kolejnych jezuitów biskupami Rzymu – to może być nie do zaakceptowania dla gremium kardynałów.

Konserwatyści i zwolennicy odwrotu od szkodliwego modernizmu, który panuje ich zdaniem w Kościele Franciszka, stawiają na 77-letniego kard. Roberta Saraha z Gwinei. Jest on reprezentantem tradycjonalistycznego, niezwykle konserwatywnego spojrzenia na katolicyzm i papieństwo: silnie scentralizowane, ortodoksyjne teologicznie i liturgicznie, mocno zhierarchizowane, bez żadnych modernistycznych nowinek.

Wielu komentatorów i znawców tematu – m.in. Włosi Marco Politi, Sandro Magister i Antonio Socci czy Amerykanin John L. Allen Jr. – rozważa kandydaturę amerykańskich kardynałów. Tamtejsza wspólnota jest wpływowa, bogata i liczna – ok. 70 mln katolików, budżet Kościoła przekracza 100 mld dol. W bukmacherskim rankingu

obok wymienionych już kardynałów Dolana i Burke'a liczą się jeszcze 70-letni kard. Joseph Tobin i 73-letni kard. Blase Cupich. Dwaj ostatni zaliczani są podobnie jak kard. Hollerich z Luksemburga do bardzo progresywnych. Przeszkodą w ich wypadku może być to, że kojarzeni są z elitą Partii Demokratycznej w USA, z którą mają być związani nie tylko emocjonalnie i intelektualnie. Są więc zbyt polityczni i opowiadają się po jednej stronie konfliktów kulturowo-teologicznych. Niemiecki kardynał Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, określił ich jako hierarchów „bardziej związanych z demokracją niż z Chrystusem”.

Z kolei kardynałowie Burke i Dolan to typowi konserwatyści, z poczuciem apostołstwa nie tyle Kościoła, ile USA. „Ameryka ma misję w świecie. Papież z Ameryki bardzo by pomógł Kościołowi”, miał się wyrazić kard. Dolan w jednym z wywiadów.

Przeważa pogląd, że Włochy odbiją sobie ostatnie niepowodzenia – trzech papieży z rzędu pochodziło spoza Italii – i tym razem obsadzą fotel biskupa Rzymu.

Podobne intencje wyraża m.in. Anura Gurugé, amerykański pisarz pochodzący ze Sri Lanki, blogger, tradycjonalistycznie nastawiony katolik. W publikacjach rozchodzących się w tysiącach egzemplarzy i na blogu (na Facebooku jego profil obserwuje kilka milionów ludzi) od lat prowadzi kampanię na rzecz amerykańskiego papieża. Wydaje się, że to nie tylko jego życzenie, ale też wyraz przekonania wielu Amerykanów o wyjątkowości ich kraju i kultury, a w związku z tym misji cywilizacyjno-kulturowej USA w świecie. Jednak papież Amerykanin – biorąc pod uwagę stosunek do Stanów Zjednoczonych pozaatlantyckiego obszaru naszego globu – nie byłby dobrym rozwiązaniem ani dla Kościoła, ani dla klimatu polityczno-społecznego na świecie. Jeden z komentarzy na blogu Gurugé jest symptomatyczny: „Czy Biały Dom ma być także w Watykanie?”.

Opierając się na trendach świadczących o przesuwaniu się ośrodków

gospodarczych, finansowych czy naukowych nad Pacyfik, można wysnuć wniosek, że to wschodnia i południowo-wschodnia Azja będzie się stawiała centrum globalnej cywilizacji. A Kościół jako podmiot globalnej polityki nie może tego nie brać pod uwagę. Dlatego nie dziwi, że na liście Paddy Power kard. Luis Tagle zajmuje czołowe miejsce. To metropolita Manili i prymas Filipin, szef watykańskiej Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów. Czyli zarówno reprezentant pozaeuropejskiego kręgu kulturowego, jak i biegły kurialista. Jego wybór byłby kontynuacją tendencji dezeuropeizacji Kościoła (zwłaszcza na szczytach watykańskiej władzy) zapoczątkowanych wyborem Franciszka w 2013 r. Filipiny, jedyny katolicki kraj w Azji, gdzie wyznawcy Chrystusa stanowią przytłaczającą większość (86% spośród niemal 110 mln mieszkańców), to jeden z gospodarczych tygrysów – obok Malezji, Indonezji czy

Wietnamu – w tej części azjatyckiego kontynentu. Tagle już podczas konklawe po ustąpieniu Benedykta XVI pozostawał w gronie liczących się papabili. Elektorzy wybrali jednak Bergoglię. Jedyną skazą na tej kandydaturze wydaje się wiek Filipińczyka – 65 lat. To może wróżyć długi pontyfikat, co po doświadczeniach z Janem Pawłem II stanowi obciążenie. Hierarchowie i rzymscy kurialiści mogą nie chcieć powierzyć sterów Kościoła na tak długi okres jednemu człowiekowi, gdyż czasy są niepewne, globalna sytuacja zmienia się nader szybko. To rodzi nowe wyzwania i wymaga czasem nowych osób z nowym spojrzeniem na owe zmienne warunki i sytuacje.

Czy kard. Luis Antonio Tagle może zostać kolejnym, 267. biskupem Rzymu, pierwszym papieżem z Azji Południowo-Wschodniej (ostatnim papieżem z Azji, z terenów dzisiejszej Syrii, był Grzegorz III, na czele Kościoła w latach 731-741)? Czas pokaże. ■

Neurochirurgia to gra zespołowa

Co się dzieje w neurochirurgii i chirurgii kręgosłupa, jak robotyzacja i sztuczna inteligencja pomaga medycynie i dlaczego ambulatorium może być lepsze od szpitala?

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

Najważniejsza cecha dobrego neurochirurga?

– Na pewno jest to wyobraźnia przestrzenna.

Czyli słynny test konia – kto potrafi narysować go w biegu, ma predyspozycje do zawodu?

– Ten mój test konia pozwala sprawdzić, czy człowiek ma wyobraźnię przestrzenną, która go do tego zawodu kwalifikuje. Związane jest to z tym, że neurochirurg operuje pewien narząd, zarówno w części mózgowej, jak i kręgosłupowej, który jest trójwymiarowy. Operujemy w dosyć małym, ale głębokim polu i po wybraniu niewłaściwej trajektorii dostępowej bardzo trudno ją zmienić. A żeby wybrać prawidłową, potrzebna jest wyobraźnia przestrzenna. Teraz oczywiście istnieje wiele różnych systemów wspomagających, np. neuronawigacja, system, który pokazuje nam lokalizację końcówki naszych narzędzi na mapie, a tę stanowią badania obrazowe wykonane przed operacją. Nazywamy to chirurgią kierowaną obrazem. Oczywiście każdy z nas ma nawigację w samochodzie, ale to nie znaczy, że nigdzie się nie zgubi.

Kolejna cecha?

– Druga bardzo ważna cecha to umiejętność pracy i podejmowania decyzji pod presją. Są ludzie, którzy wolą uciec od trudnej decyzji, a czasem rozwój sytuacji w trakcie operacji jest taki, że uciec się nie da. Na decyzję mamy cztery minuty. Na przykład w operacjach naczyniowych mózgu nieprawidłowo zamknięte naczynie prowadzi po tym czasie do zawału mózgu i to jest nieodwracalne. Człowiek się denerwuje, pogarsza się sprawność manualna, drżą ręce itd. To już jest

DARIUSZ ŁATKA

– dr hab. n. med., profesor Uniwersytetu Opolskiego.

Prezydent Polskiego Towarzystwa Chirurgii Kręgosłupa; przez 17 lat, do kwietnia br., konsultant wojewódzki w zakresie neurochirurgii i neurotraumatologii dla województwa opolskiego. Współtwórca i spiritus movens Kliniki Neurochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Opolu, gdzie rocznie przeprowadza się ok. 2 tys. operacji, w tym te z wybudzaniem śródoperacyjnym.

dyskwalifikujące, a jeszcze w tym czasie trzeba coś sensownego wyśledzić. Okazuje się, że te cechy, które decydowały o tym, że jesteś dobrym chirurgiem w zakresie mózgu, sprawdzają się też w chirurgii kręgosłupa. Błąd w przypadku chorób kręgosłupa boli podwójnie. Mamy do czynienia z pacjentem, który jest mentalnie zdrowy, a po nieudanej operacji neurochirurgicznej może

być potężnie uszkodzony neurologicznie. Kiedy zaczynałem karierę jako neurochirurg, ta specjalność koncentrowała się przede wszystkim na operacjach mózgu, w tej chwili ciężar bardzo się przenosi w kierunku chorób kręgosłupa, głównie zwyrodnieniowych.

Współpracuje pan z politechnikami Opolską i Wrocławską, współtworzył pan kierunek lekarski



na Uniwersytecie Opolskim i na nim wykładu.

– Trudno sobie obecnie wyobrazić lekarza, który posługuje się nowoczesnymi metodami leczenia, ale jest oderwany od nauki. Nasze związki z nauką, kiedy jeszcze nie byliśmy ośrodkiem uniwersyteckim, były bliskie od wielu, wielu lat. Samo wyciąganie wniosków przy użyciu wyrafinowanej statystyki wymaga współpracy humanistów, jakimi

na robotach, które wyznaczają trajektorie wprowadzania implantów kręgosłupowych. Takich systemów już jest kilka, te roboty to rozwinięcie neuronawigacji – przy użyciu aparatury możemy wyznaczyć trajektorię dostępu i możemy mieć aplikację zrobotyzowaną, co zwiększa precyzję. Wszystko, co się dzieje w nowoczesnej chirurgii kręgosłupa, zmierza do tego, żeby to były operacje jak najmniej inwazyjne i jak najbardziej

Wszystko, co się dzieje w nowoczesnej chirurgii kręgosłupa, zmierza do tego, żeby to były operacje jak najmniej inwazyjne i jak najbardziej precyzyjne.

są lekarze, ze ściśłowcami. Okazuje się, że świat można opisywać nie tylko równaniami, ale też pewnymi prawidłowościami geometrycznymi i można te metody zastosować w opisywaniu zjawisk fizycznych i fizjologicznych. Stąd współpraca z zupełnie niebywałymi fizykami, dzięki tym kontaktom wydaliśmy parę publikacji naukowych. Związki neurochirurgii z fizyką i technologiami cyfrowymi polegają na tym, że w trakcie naszych operacji korzystamy ze sprzętu komputerowego. Neuronawigacja to metoda bardzo zaawansowana cyfrowo, ktoś napisał odpowiednie programy, które przekształcają płaską rzeczywistość badań obrazowych tomografii komputerowej czy rezonansu w obrazy trójwymiarowe, a my musimy się znaleźć w tej przestrzeni, co wymaga skomplikowanych obliczeń i algorytmów napisanych przez inżynierów. Ta działka cały czas się rozwija.

Normą w neurochirurgii stała się współpraca z robotami.

– Wchodzą szerokim frontem i znajdują zastosowanie głównie w technikach chirurgicznych, którymi posługują się koledzy chirurgzy ogólni, urologi, słynny da Vinci jest robotycznym narzędziem wykonującym operacje laparoskopowe. W neurochirurgii też były próby wykonywania operacji przez brzuch do kręgosłupa przy wsparciu robota, ale główny kierunek w rozwoju robotyki w naszej dziedzinie koncentruje się

precyzyjne. Wykorzystujemy dostępny przezskórny, wstawiamy implanty przez niewielkie nacięcia z bardzo dużą precyzją nawigacji, ok. 1,5 mm. Jeśli dzięki robotowi wyeliminuje się błąd ludzki, drżenie rąk, ta precyzja osiąga wartość 1 mm. A jak coś jest precyzyjnie założone, to nie trzeba poprawiać, mamy mniejszą utratę krwi, krótszą hospitalizację itd.

Zmienia się rola chirurga przy stole operacyjnym, sam stół też bywa umowny...

– Rola chirurga w sytuacji, w której ma do wykorzystania robota, sprowadza się do kontrolowania jego pracy, ale to my wiemy, jak należy zaaplikować dany implant,

właściwie partnera, bo to jest narzędzie myślące z wykorzystaniem sieci neuronalnych, umożliwiające analizę przypadków, czego człowiek nie byłby w stanie zrobić. My, lekarze, opieramy się głównie na własnym doświadczeniu. Ono siłą rzeczy jest mniejsze niż doświadczenie takiego robota, który będzie się opierał na danych obejmujących dziesiątki tysięcy, a wkrótce może miliony przypadków. Oczywiście lekarz opiera się na piśmiennictwie, na tym, co nazywamy *evidence-based medicine*, na faktach z artykułów naukowych czy omawianych na rozmaitych seminariach, sympozjach. No ale *big data*, ogromne zbiory danych, to jest coś. Przewaga sztucznej inteligencji polega na dostępie do informacji i możliwości szybkiej analizy.

Kiedy będzie możliwy dostęp do takiej chmury?

– Roboty w neurochirurgii są wykorzystywane od pięciu lat. W Polsce dwa ośrodki mają roboty, które nazywają się ExcelsiusGPS. My już mamy program, który umożliwi sfinansowanie tego robota, to koszt ok. 5 mln zł. Natomiast integracja systemów robotycznych z sieciami neuronalnymi to jest coś świeżego, ale rozwój technologii jest tak dynamiczny, że – myślę – za rok, dwa będziemy już mogli z takich rzeczy korzystać.

Czego neurochirurg wciąż nie jest w stanie naprawić w człowieku?

Ogromną bolączką neurochirurgów wciąż są glejaki, czyli złośliwe nowotwory mózgu. Właściwie przez 30 lat w najzłośliwszych odmianach glejaków nie zrobiliśmy żadnego postępu.

robot zaś musi to precyzyjnie wykonać. Trwają prace nad tym, żeby dane z urządzeń robotycznych, z tych najbardziej skomplikowanych urządzeń cyfrowych, były gromadzone w światowej chmurze, która będzie zbierała biomedyczne dane pacjentów związane z konkretnym schorzeniem i z tym, w jaki sposób schorzenie to zaopatrzone chirurgicznie. System po analizie światowych danych będzie mógł wtedy podpowiadać lekarzowi, co w odniesieniu do tego pacjenta byłoby najlepsze. I to przenosi takie urządzenia na pozycję

– Ja już patrzę na to z pozycji dinozaura i taką ogromną bolączką neurochirurgów wciąż są glejaki, czyli złośliwe nowotwory mózgu; właściwie przez 30 lat w leczeniu najzłośliwszych odmian glejaków nie zrobiliśmy żadnego postępu. Możliwości bezpiecznego przeprowadzenia operacji radykalnego usunięcia nowotworu mamy bardzo duże, ale niestety nie wpływa to w żaden sposób na biologię tego nowotworu. W odróżnieniu od złośliwych nowotworów w innych obszarach ciała glejaki nie dają przerzutów, ale mają ▶

► tendencje do wznowy miejscowej. W agresywnych formach glejaków wznowy występują w okresie od pół roku do roku i ci pacjenci niestety umierają. Te wszystkie terapie wspomagające, nad którymi świat pracuje przez lata, okazują się ciągle na tyle niedoskonałe, że tego rokowania nie poprawiają. Poprawiła się nasza skuteczność chirurgiczna, czyli radykalność resekcji, bezpieczeństwo pacjentów, potrafimy ich w trakcie operacji bardzo precyzyjnie monitorować neurofizjologicznie. Niektóre operacje, zwłaszcza guzów położonych w okolicach elokwentnych mózgu, czyli bardzo ważnych dla, dajmy na to, mowy, wykonujemy w budzeniu, czyli pacjent jest przytomny w trakcie operacji. Jeżeli wykonuje zawód związany np. z grą na instrumencie i ma obawy, że operacja mu tę umiejętność odbierze, to może sobie w czasie operacji grać na flecie czy na skrzypcach.

Czyli lekarze operują, a pacjent gra na instrumencie?

– Są oczywiście rozmaite systemy wykonywania tych operacji w wybudzeniu, my stosujemy taką technikę, że pacjent jest usypiany, a później w newralgicznym momencie operacji budzony. Zostaje o tym uprzedzony, oczywiście nie każdy pacjent jest emocjonalnie gotowy na coś

takiego, ale nasi anestezjolodzy mają swoją metodę oceny zdolności pacjentów do przeżycia takich emocji. Ci, którzy się na to decydują, którzy są przez nas do tego namawiani – bo to też poprawia nasz komfort w trakcie operacji, ponieważ wiemy, że nie robimy pacjentowi krzywdy – dobrze to wspominają. Pacjent nie odczuwa żadnego bólu, ma poblokowane nerwy, które unerwiają czepiec, skórę i okostną, potem jest znieczulany miejscowo i farmakologicznie jest tak prowadzony, żeby tego bólu nie

NFZ nie rozumie, że szpital nie jest najzdrowszym miejscem dla pacjentów.

odczuwał, natomiast może realizować rozmaite zadania, granie na instrumencie jest oczywiście najbardziej spektakularne, ale może rozwiązywać zadania matematyczne, z reguły mamy logopedę, który zadaje pacjentowi zadania z zakresu rozumienia, mowy i ekspresji i dzięki tym rozmaitym testom może wychwycić nawet bardzo subtelne zaburzenia.

Mówi pan o neurochirurgii jako grze zespołowej.

– Czasy, kiedy obok neurochirurga do operacji wystarczali instrumentariuszka i anestezjolog, mamy dawno

za sobą. Skomplikowaną operację neurochirurgiczną z wybudzeniem albo jakąś operację czynnościową polegającą na implantacji elektrody do mózgu realizuje się czasem w kilkunastoosobowym zespole. Zawsze podkreślam, że neurochirurgia to gra zespołowa, bo nawet gdyby w trakcie samej operacji tych ludzi było mniej, to w opiekę pooperacyjną nad pacjentem jest zaangażowany zespół pielęgniarek, fizjoterapeutów, rehabilitantów, logopedów, którzy dbają o to, żeby go jak najszybciej usprawnić, przywrócić do normalnego funkcjonowania, żeby mógł zostać wypisany i wracać do domu. Szpital nie jest najbezpieczniejszym

miejscem dla pacjenta, z pobytem wiążą się różne zagrożenia, infekcje szpitalne, trzeba robić wszystko, żeby hospitalizacje były jak najkrótsze.

Znany jest pan z umiejętności budowania dobrego klimatu w zespole. Może tu wspomnimy pana mentora, prof. Ryszarda Mrówkę, wybitnego neurochirurga, wieloletniego kierownika Kliniki Neurochirurgii i Neurotraumatologii ŚAM w Bydgoszczy.

– Na pewno osoba mojego szefa, zmarłego niestety w tym roku, miała ogromny wpływ na moje życie zawodowe i ukształtowanie mnie nie tylko jako lekarza, ale też jako człowieka i szefa. Gdy się ma dobrego szefa, to chce się mu potem dorównać. To była osoba niezwykle życzliwa dla swoich, nazwijmy to, podwładnych. W czasach bardzo feudalnej medycyny prof. Mrówka wśród neurochirurgicznych szefów był zupełnie wyjątkowym człowiekiem. Mobilizował nas do nauki angielskiego, do czytania artykułów, jak widział, że się nudzimy, to sobie robiliśmy lekcje angielskiego. Często polegały na tym, że mieliśmy przetłumaczyć kserokopię jakiegoś artykułu i podyskutować o tym. To było fajne. W tamtych czasach nie można było sobie obejrzeć operacji na YouTube czy ściągnąć dowolnego artykułu z internetu. Mobilizował nas, żebyśmy jeździli po świecie, zarabialiśmy wtedy po 12 dol. miesięcznie, ale pomagał nam załatwiać na to środki, był bardzo

Promyczek zbiera 3900 zł do 4 sierpnia, by żyć!



Masz 5 minut? Bo jest alarm. Alarm dla małego Promyczka!

Promyczek musi zebrać 3900 zł do czwartku, 4 sierpnia. I liczy się każde 5 zł, które pomaga. Inaczej mały kucyk zniknie w bramie rzeźni. Wbrew wakacyjnym klimatom. Wbrew temu, że mimo swego kolektwa - chciałby żyć.

Bo Promyczek stoi w handlarzkiej stodole, przy trasie nad Bałtyk. Mijają go pędzący nad morze turyści. Mija go cały świat, ale nikt go nie widzi.

Zaalarmowani, dotarliśmy tam nad ranem. No i spotkaliśmy na miejscu małego, powykręcane kuczka na chudych nóżkach. Stał i wpatrywał się w nas nieporadnie. Nie wiem czy bardziej nieporadnie były te nóżki, czy spojrzenie. Gospodarz nie chciał negocjować. Promyczek dostał wyrok i on się wypiełni już za moment.

Tak, wiem że to środek wakacji. I może nikt nie ma głowy. Ty też.

Tylko że Promyczek tego nie wie. On nawet nie wie co go doczeka. A gdy się dowie - na wszystko będzie już za późno.

Proszę pomóc ocalić i zmienić to spojrzenie, w które ktoś wlał tyle strachu. Pomóż ocalić małego kuczka na krzywych nóżkach, który nigdy wcześniej światu nie obchodził. Niech obejdzie tylko dziś, ten jeden raz. To wystarczy, by żył...

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem **PROMYCZEK** na konto **15 1020 5226 0000 6002 0220 0350**. Możesz też pomóc wysyłając SMS o treści **PROMYCZEK** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11,07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23,37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Walsztyska 6 B, 82-314
tel: 716 564 087
tel: 716 569 008

Akcja prowadzona
w ramach Kampanii
Ruchowej Między.
Regulamin:
<http://pomoccentaurus.org.pl/km>



przedsiębiorczą osobą, dbał o nas i o nasz rozwój. Kiedy miałem się przenieść do Opola (moja żona jest opolanką), było mi głupio, że właśnie zrobiłem specjalizację, doktorat i że tego szefa zostawiam, opuszczam klinikę. On to doskonale rozumiał i potem wielokrotnie pomagał mi i doradzał, takiego szefa to rzeczywiście ze świecą szukać. Na pewno te doświadczenia miały wpływ na to, w jaki sposób teraz traktuję ludzi. Tę hierarchię zawodową określam jako partnerską, nie zwykłem narzucać swoich pomysłów, staram się wypracować wspólnie w zespole jednolity model postępowania wobec danego pacjenta. I to jakoś przez te lata chyba się sprawdza.

Chyba tak, skoro już ponad dwie dekady zarządza pan neurochirurgią w opolskim, wcześniej Wojewódzkim Centrum Medycznym, obecnie Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym.

– W tym roku obchodzimy 25-lecie naszego oddziału. Jako prezydent Polskiego Towarzystwa Chirurgii Kręgosłupa mam ten przywilej, że mogę wyznaczyć miejsce zjazdu krajowego i fajnie by było, żeby odbył się właśnie tutaj. Oczywiście skłamałbym, gdybym powiedział, że cały okres funkcjonowania tego oddziału to pasmo sukcesów, w tej specjalności nie sposób tylko odnosić sukcesy. Ale jak się je odnosi, to są zwykle spektakularne, bo w neurochirurgii granica między człowiekiem ciężko chorym a cudownie uzdrowionym jest bardzo cienka.

Wygląda na to, że pacjenci przestali się bać operacji kręgosłupa.

– Dawniej pacjenci po operacjach kręgosłupa leżeli tutaj trzy tygodnie, w tej chwili jak ktoś leży dłużej niż trzy dni, to znaczy, że coś poszło nie-dobrze. Ludzie to widzą i coraz mniej się boją tych operacji. Dawniej operowaliśmy takich, którzy mówili: „A, ze mnie i tak już nic nie będzie, więc mogę się operować na kręgosłup, a nuż się uda, a na pewno będę miał rentę”. Teraz sposób myślenia ludzi o zdrowiu, chorobie i sposobach wychodzenia z niej na tyle się zmienił, że ludzie nie chcą iść na rentę, tylko chcą jak najszybciej odzyskać sprawność i wracać do pracy.

Niektóre operacje kręgosłupa wykonuje pan w systemie ambulatornym.

– Dążymy do jak najkrótszej hospitalizacji chorych, ale idąc za trendami światowymi, staramy się w neurochirurgii zrobić jeszcze jeden krok naprzód. Ma polegać na tym, by pacjentów zaopatrywać w ambulatorium chirurgicznym. Potrafimy robić te zabiegi coraz mniej inwazyjnie, wybudzać pacjentów do operacji bardzo poważnych, to dlaczego nie stosować nowoczesnych znieczuleń i nowoczesnych technologii w ambulatorium? To jest taki trend, który nazywamy ambulatoryzacją leczenia chirurgicznego, a ja to nazywam makdonaldyzacją, bo to przypomina trochę zaopatrywanie potrzeb zdrowotnych w trybie szybkim.

Jak to wygląda w praktyce?

– Skoro można potrzeby gastro-nomiczne zaspokoić w McDonal-dzie – tu możemy polemizować, czy to zdrowe, czy niezdrowe, ale są i bardzo zdrowe fast foody – skoro do dentysty też lubimy zajrzeć po pracy i mieć temat za sobą, to cze-

które teraz nazywam tradycyjnymi. Dawniej musieliśmy odstąpić kręgosłup, wprowadzić mikroskop operacyjny, teraz mamy takie systemy retraktorów, które pozwalają rozwarstwić mięśnie i wykonać operację przez tubę o średnicy 1,5 cm. To można zrobić w ambulatorium, bo wymaga bardzo krótkotrwałego, nowoczesnego znieczulenia ogólnego albo wręcz można to zrobić w znieczuleniu miejscowym.

Kręgosłup degeneracyjny, czyli jaki?

– Degeneracyjny, czyli ze zwyrodnieniami spowodowanymi przeciążaniem kręgosłupa związanym z trybem życia. Te bolące szyje, bolące lędźwie, te rwy barkowe, kulszowe to są przypadłości, które często dopadają bardzo młodych ludzi i nie pozwalają im pracować, normalnie funkcjonować. Ci ludzie mogą być w ciągu paru godzin przywróceniu do życia – minimalne cięcia, nawet nie szyjemy ran, tylko je kleimy, czyli pacjenci tak naprawdę nie wymagają nawet wizyty, żeby szew usunąć.

To fantastyczna perspektywa dla nas z obolałymi kręgosłupami.

Dawniej pacjenci po operacjach kręgosłupa leżeli trzy tygodnie, w tej chwili jak ktoś leży dłużej niż trzy dni, to znaczy, że coś poszło niedobrze.

mu by w ten sposób nie zaopatrzyć takich powszechnych problemów jak zespoły bólowe kręgosłupa? Zaczynamy to robić, na razie tylko komercyjnie, dlatego że NFZ nie jest w stanie zrozumieć, że można na hospitalizacji zaoszczędzić, ani tego, że szpital nie jest najzdrowszym miejscem dla pacjentów. Po co tych ogólnie zdrowych, tylko cierpiących z powodu kręgosłupa, kłaść między ciężko chorych, narażać na infekcje? A rozwój technologii jest tak dynamiczny, że tego typu zabiegi potrafimy w ambulatorium zrobić z użyciem nowoczesnych endoskopów. To jest przyszłość chirurgii, zwłaszcza chirurgii kręgosłupa degeneracyjnego – endoskopy, które umożliwiają wykonanie zabiegu przez wprowadzenie narzędzia do wizualizacji wielkości ołówka. Ale także techniki mikrochirurgiczne,

– Tak, umożliwia zaopatrywanie nie większej liczby pacjentów, cały proces leczniczy trwa dwie, trzy, niech będzie – pięć godzin. W Stanach Zjednoczonych w tej chwili 60-70% wszystkich zabiegów na kręgosłup degeneracyjny jest robionych w systemie ambulatornym, w którym planuje się operację czy kilkugodzinny proces leczniczy, ale w razie jakichś komplikacji można pacjenta transportować do szpitala. To jest bezpieczne dla pacjentów i na pewno jest to przyszłość tych wszystkich chorób, które są związane z cywilizacją.

Niedługo pan operuje, będzie jakaś muzyka na sali operacyjnej?

– Oczywiście, AC/DC. Ja słucham tego, czego słucha Iga Świątek. Jestem jej wielkim fanem.

Beata Dżon-Ozimek

Godna praca w sektorze rolnym – doświadczenia norweskie

Związek zawodowy rolników w Polsce jest realizatorem projektu „Godna praca dla pracowników rolnictwa poprzez dialog społeczny”. Projekt realizowany jest w okresie od 1 maja 2020 r. do 31 sierpnia 2022 r. przy wsparciu finansowym z Funduszy Norweskich. Jednym z kluczowych zadań w jego ramach było zorganizowanie wizyty studyjnej w Norwegii. Otrzymała się ona w terminie od 10 do 13 kwietnia 2022 r. i wzięło w niej udział sześć osób z Polski – przedstawiciele Związku Zawodowego Pracowników Rolnictwa oraz ekspertka merytoryczna projektu.

Wizyta studyjna i kontakt z partnerem projektu z Norwegii, Solidaritet Ekte Fagforening, pozwoliły na pozyskanie informacji dotyczących doświadczeń tego kraju w zakresie zapewnienia godnej pracy w sektorze rolnictwa. Praca w rolnictwie i ogrodnictwie w Norwegii obejmuje aktywność we wszystkich działach rolnictwa i zarządzania przyrodą czy inne prace, naturalnie wykonywane w rolnictwie i przemyśle ogrodniczym. Warto zauważyć, że poziom uzwiązkowienia pracowników w Norwegii wynosi ok. 67%, w Polsce odsetek ten jest znacznie niższy. Jest to szczególnie istotne w wypadku zaistnienia problemów z zapewnieniem godnej pracy. Jeśli pracownik należy do związku zawodowego, to związek podejmuje interwencję. Jeżeli jest podpisana umowa zbiorowa, zazwyczaj interwencję podejmuje mąż zaufania w porozumieniu z klubem i z centralą związku. W przypadku gdy dany pracownik nie jest zrzeszony w związkach zawodowych, musi albo zgłosić się do Inspekcji Pracy, albo skonsultować się prywatnie i skorzystać z usług adwokatów, na co wiele osób się nie decyduje ze względu na wysokie koszty. Działalność związków zawodowych jest zatem postrzegana pozytywnie.

Skuteczność związków jest wysoka, pod warunkiem że pracownicy



do nich należą i zgłaszają problemy. Istnieje jednakże problem z zapisywaniem się do związków. Dotyczy on szczególnie pracowników sezonowych, którzy przyjeżdżają do pracy na krótko. Sektor rolny w Norwegii cechuje się znacznym udziałem pracy najemnej z zagranicy. Imigranci zarobkowi coraz częściej pracują w norweskich gospodarstwach rolnych. Aby zapewnić godne zarobki i warunki pracy imigrantów zarobkowych, w 2010 r. wprowadzono uogólniony układ zbiorowy.

Masowa imigracja zarobkowa do sektora rolnictwa po rozszerzeniu Unii Europejskiej wywołała dyskusję na temat płac i warunków pracy pracowników sezonowych w rolnictwie. Istniała obawa, że zagraniczni pracownicy rolni mogliby być narażeni na dumping socjalny – znacznie gorsze płace i warunki pracy. Wobec tego w styczniu 2010 r. wprowadzony został uogólniony układ zbiorowy w branży rolniczej i ogrodniczej. Osoby z zagranicy, które przyjeżdżają do Norwegii, aby pracować w branżach, w których istnieje duże zapotrzebowanie na niewykwalifikowaną siłę roboczą, są bardziej narażone na wyzysk. Czynniki takie jak płeć, poziom wykształcenia, narodowość, brak znajomości języka i znajomości prawa oraz niepewne

pozwolenia na pobyt i pracę przyczyniają się do narażenia pracowników migrujących na wyzysk w sprawach zawodowych. Imigranci zarobkowi pracujący w rolnictwie zwykle przebywali w Norwegii krótki czas, aby wykonywać prace sezonowe. W ostatnich latach zaobserwowano, że niektórzy pracownicy przedłużają pobyt. Niemniej jednak niezależnie od tego, czy się jest pracownikiem sezonowym, zatrudnionym na umowę o pracę, czy też imigrantem – warunki zatrudnienia zgodnie z norweskim prawem powinny być takie same dla wszystkich. Należy natomiast podkreślić, że występują istotne różnice stawek w różnych branżach, stawki w sektorze rolnym są raczej niższe niż w innych sektorach.

Więcej informacji o projekcie: zzpr-godnapraca.pl.

Supported by Norway through the Norway Grants 2014-2021, in the frame of the Programme „Social Dialogue – Decent Work”. Realizowane ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog Społeczny – Godna Praca”



Jak nie staliśmy się kosmiczną potęgą

Meteor 3 był najbardziej ekonomiczną rakiętą meteorologiczną co najmniej w Układzie Warszawskim

Bronisław Tumiłowicz

Na początku lat 60. Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny złożył w Instytucie Lotnictwa zamówienie na serię raket do sondowania atmosfery. Miały one wznosić się na ok. 30 km i dostarczać danych o warunkach w wyższych warstwach atmosfery. Uważano wówczas, że zmiany kierunków wiatru na dużych wysokościach wyprzedzają o kilka tygodni zmiany pogodowe, co było bardzo ważne np. dla rolnictwa. Działo się to po wielkich sukcesach radzieckiej kosmonautyki, m.in. wystrzeleniu w 1957 r. pierwszego sztucznego satelity Ziemi – Sputnika, co zintensyfikowało wysiłek dwóch supermocarstw, ZSRR i USA, do których dołączyły Anglia i Francja. Sondy meteorologiczne wchodziły do użytku jako cywilne zastosowanie techniki raketowej, choć oczywiście motorem postępu był sektor wojskowy. Nasze rakiety otrzymały kryptonim Meteor 1, a ich budowę poprzedzono serią badań i prób, bo w Polsce nie mieliśmy żadnych doświadczeń ani publikacji źródłowych na ten temat. Założenia konstrukcyjne rakiety wykonał inż. Jacek Walczewski, który wcześniej dokonał kilku prób na Pustyni Błędowskiej. Miała to być raketa dwustopniowa o masie 33 kg i długości 2,5 m. Wynosiła grot na odpowiednią wysokość z szybkością prawie 3 machów, ten zaś ostrzeliwała chmurę szpilek, zwanych dipolami, które dawały silne echo radarowe, i to pozwalało wyznaczyć kierunki wiatrów. Rakiety śledziły radary wojskowe. Prace nad Meteorem 1 trwały do roku 1965, potem serię raket przekazano do PIHM. W sumie wykonano 224 egzemplarze tych urządzeń.



Wyrzutnia polskich raket na Mierzei Łebskiej. Przed startem sondy Meteor 2K Tadeusz Andrzejewski podłącza kabel zasilający.

Przyjaźń polsko-francuska

Apetyt rósł w miarę jedzenia. W Instytucie Lotnictwa inż. Jerzy Haraźny podjął się zbudowania urządzeń, które osiągnęłyby pułap nie 30, ale 60 km. Wzorowano się na konstrukcji francuskiej sondy Véronique N, którą, oczywiście bez oprzyrządowania, instytutowi podarowali Francuzi. Rakiety Haraźnego nazywano Meteor 2 i zbudowano 10 egzemplarzy. Dziś Véronique można obejrzeć w Muzeum Techniki w Warszawie, a rakiety Meteor 2, z których każda ważyła aż 400 kg, spoczywają na dnie Bałtyku. Różniły się one trochę od francuskiego prototypu. Inny był rodzaj paliwa, ponadto zaprojektowano większe stateczniki, aby poprawić stabilność raket. Nasi specjaliści od aerodynamiki ponaddwukrotnie mieli już wtedy dostęp do fachowych publikacji zagranicznych, które np. przesyłali Polonusi z USA. Zaprojektowano regulowaną kratownicową wyrzutnię, którą ustawiano pod odpowiednim kątem, uwzględniając kierunek wiatru przy powierzchni ziemi. Próby z wystrzeliwaniem raket wykonywano najpierw na poligonie Instytutu Uzbrojenia

w Zielonce pod Warszawą, a później na terenach wojskowych koło Ustki, na starym niemieckim stanowisku do badania raket V-2 na środku Mierzei Łebskiej. Tu z czasem powstała stała baza Instytutu Lotnictwa, gdyż istniały tu pozostałości oprzyrządowania i specjalny bunkier dla techników, co starano się wykorzystywać.

Cel – linia Kármána

Prace nad rodziną Meteorów objęte były tajemnicą wojskową, jednak wyniki rakiety Meteor 2 nie zadowalały konstruktorów. Rakiety po zejściu z wyrzutni nie były sterowalne i osiągały pułap ledwie 40 km. Próbowano zainteresować tymi próbami specjalistów radzieckich, ale bez skutku. Podobnie było z Amerykanami. Przełom nastąpił nieoczekiwanie – podczas jednej z sennych narad w Instytucie Lotnictwa najmłodszy z inżynierów, dwudziestoparoletni Waldemar Dyblewski, nie wytrzymał i w ostrych słowach odniósł się do bieżących prac. Dał fatalny przykład młodego Wernhera von Brauna, któremu w latach 30. umożliwiono intensywne prace nad konstrukcjami raket. ►



Nz. przy wyrzutni od lewej stoją: N.N., Andrzej Ksyk – radiolokacja, Jerzy Harażny – główny konstruktor, dr Czesław Skoczylas – silniki, Adam Obidziński – silniki, Witold Błaszczuk – kierownik pracowni obliczeniowej, Tadeusz Andrzejewski – montaż rakiety, Elżbieta Bakoń – asystentka kierownika prób, Krzysztof Nowak – automatyka pirotechniczna, Grzegorz Pawlak – kierownik prób, dwóch reporterów z Radia Koszalin i Wiktor Kobyliński – obliczenia. Siedzą: N.N., Jacek Walczewski z PIHM – kierujący odbiorem etapu projektu, N.N. i Franciszek Starorypiński – montaż i śledzenie radarem dipoli odpalonych z rakiety.

▶ Reakcja była niemal natychmiastowa – inż. Dylewskiego, odpowiedzialnego za obliczenia wytrzymałościowe oraz pomiary radiolokacyjne, włączono do odpowiedniej pracowni i postawiono mu zadanie: rakietę ma osiągać prędkość od zera do 4,5 macha, mieć masę pięć razy mniejszą od Meteora 2 i wynosić ładunek na wysokość 65 km. Tak powstał projekt Meteor 3. Wykonano pomyślnie próby – wystrzelono 30 takich rakiet – i przygotowano kolejny projekt Meteor 4. Meteor 3 był w swojej klasie najbardziej ekonomiczną rakieta

meteorologiczną co najmniej w Układzie Warszawskim. Sam inż. Dylewski miał też swoją chwilę sławy, bo przyszli do niego filmowcy ze studia UFA (wówczas NRD) i poprosili o zbudowanie i odpalenie rakiety do filmu science fiction. Rakietę powstała i jej start sfilmowano. Równocześnie inż. Jerzy Harażny zaprojektował zwiększony o dwa silniki napęd dla rakiety Meteor 2. Nowa wersja została opatrzona kryptonimem Meteor 2K i z bazy rakietowej na Mierzei Łebskiej odpalona po kilku próbach. Tym razem sukces, który osiągnięto w październiku 1970 r.,

był całkowity. Badania dipoli pokazały, że rakietę przekroczyła pułap 90 km. Współpracujący przy projekcie uważają, że mogła się wzbić ok. 10-15 km wyżej. W każdym razie uznano, że wystrzelona z Polski rakietę Meteor 2K, leciała około pięciu minut w stanie nieważkości, tj. osiągnęła i przekroczyła linię Kármána – umowną granicę kosmosu. Od tego czasu nikt w Polsce nie zbliżył się do tego osiągnięcia. Jak powiedział PRZEGŁĄDOWI inż. Wiktor Kobyliński, który w tym projekcie był odpowiedzialny za obliczenia aerodynamiczne, trajektorii lotu i osiągow

Naziści w programach rakietowych USA i ZSRR

Pierwsze rakietę bojowe w Europie wyprodukowali niemieccy konstruktorzy w latach 30. Opatrzono je kryptonimem V-2. Było to dzieło zespołu inżyniera Wernera von Brauna, nazisty, członka SS, który do produkcji swoich wyrzutni i rakiet zatrudniał robotników przymusowych pracujących w strasznych warunkach i pośrednio był odpowiedzialny za śmierć 25 tys. ludzi. Po zakończeniu wojny duża grupa naukowców i konstruktorów programu V-2 została aresztowana, wielu z nich – w tym kierujący programem von Braun, który sam oddał się w ręce Amerykanów – zostało przewiezionych do USA, gdzie stanowili trzon personalny programu balistycznego US Army. Natomiast Związek Radziecki dla przechwyconych przez siebie niemieckich specjalistów programu V-2 utworzył pierwotnie naukowo-badawczy Instytut Rabe w Bleicherode koło Nordhausen, gdzie mieli kontynuować swoją pracę. W ośrodku tym, obok Siergieja Korolowa, pod nadzorem pracował także jeden z przełożonych niemieckiego programu rakietowego w ośrodku Heeresversuchsanstalt w Peenemünde – Helmut Gröttrup. W 1946 r. NKWD aresztowało jednak niemieckich naukow-

ców wraz z rodzinami oraz specjalistami z innych dziedzin techniki wojskowej – w sumie grupa ta liczyła ok. 5 tys. osób. Wywieziono ich w głąb ZSRR, gdzie mieli kontynuować swoje prace pod ścisłym nadzorem. W konsekwencji niemieccy konstruktorzy V-2 wnieśli znaczący wkład w rozwój zarówno amerykańskich, jak i radzieckich programów balistycznych. Rywalizacja między tymi dwoma państwami wkrótce stała się najsilniejszym motorem rozwoju technologii rakietowych.

Nasza branża technologii lotniczej i rakietowej nikogo nie aresztowała, jedynie skorzystała z ponemieckiej bazy na Mierzei Łebskiej. Konstruowano też i wdrażano do produkcji rozmaite projekty mogące nas choć trochę uniezależnić od Związku Radzieckiego. Czołowym produktem seryjnym był odrzutowy samolot szkolno-treningowy TS-11 Iskra konstrukcji Tadeusza Sołtyka – z których to maszyn korzystano w Wojsku Polskim przez wiele lat. Powstawały również konstrukcje cywilne, takie jak helikopter ze Świdnika, samolot wielozadaniowy Wilga, były modele szybowców, a nawet samolot pasażerski krótkiego zasięgu.

oraz aerodynamicznego nagrzewania rakiety, „przed nami w Kosmosie byli tylko USA, ZSRR, Anglicy i Francuzi”.

Za duży sukces?

Te wydarzenia nieoczekiwanie przyczyniły się do przerwania projektu o nazwie Meteor. Jerzy Harażny, główny konstruktor rakiety i kierownik Zakładu Konstrukcji Specjalnych w Instytucie Lotnictwa, pokazywał nawet egzemplarz Meteora w telewizji. Zbulwersowało to wielu pracowników tej jednostki badawczo-naukowej. Podnoszono argument, że praca nad raketami nie wynika z nazwy instytutu. Harażny został przeniesiony do innej pracowni. Wiktor Kobyliński, który z Waldemarem Dylewskim pracował nad projektem Meteor 3, zgłosił tę jeszcze niewykorzystaną praktycznie raketę do konkursu Mistrz Techniki organizowanego wówczas pod egidą popularnego dziennika „Życie Warszawy”. Projekt otrzymał wyróżnienie, a wszystkich laureatów i wyróżnionych zaproszono na spotkanie z premierem Piotrem

Jaroszewiczem. Tam Mistrzowie Techniki otrzymali zapewnienie, że ich projektami zajmą się odpowiednie placówki resortowe. I rzeczywiście, do inżynierów Dylewskiego i Kobylińskiego przyszło zaproszenie od wiceministra przemysłu maszynowego (a później ministra) Aleksandra Kopcia, który też był inżynierem mechanikiem. Konstruktorzy Meteora 3 poskarżyli się na władze instytutu, że projekt został zamknięty, wiceminister miał powiedzieć: „Ja im tego nie daruję”, ale niczego nie zdziałał.

Co zostało po Meteorze?

Najbardziej zauważalnym śladem sukcesu rakiety Meteor 2K było nagranie efektu dźwiękowego momentu startu, podczas którego obecni byli reporterzy Radia Koszalin. Dźwięk ten był przez kilka lat używany jako sygnał audycji radiowej, a potem telewizyjnego „Kuriera”. Ponadto polskimi specjalistami raketowymi zainteresowały się odpowiednie instytucje w NRD, Rumunii i Indiach. Jerzy Harażny wizytował kilka razy

radzieckich budowniczych sondy meteorologicznej M-100 i dziś twierdzi się, że polskie doświadczenia również jakoś tam zaowocowały. Próbowano ich zainteresować bazą do wystrzeliwania rakiet na Mierzei Łebskiej, ale oni, dysponując sondą M-100 o podobnych osiągnięciach, nie skorzystali z oferty, choć nasza baza była jedyną w tej części Europy. Woleli aerodrom w Kazachstanie. Ich rakietą była sześciokrotnie cięższa od naszej, choć, jak zauważają polscy inżynierowie, stateczniki miała jakby przekalkowane z obrysów Meteora.

Dostrzeżono jeszcze jeden ślad Meteora – w 2002 r. dzięki pośrednictwu kolegów z klubu kosmicznego przyszedł list od ambitnego Amerykanina z Michigan, który zamierzał zbudować kopię rakiety Meteor 2K i powtórzyć jej osiągi. Rakietą powstała, miała nawet na grocie stylizowane logo Instytutu Lotnictwa. Zawieszono ją na poligon. Wzbiła się w przestrzeń powietrzną i...

Bronisław Tumilowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

wishsurfing

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka,
podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Do artykułu „Fromborskie legendy odżywają na nowo” (PRZEGLĄD nr 28), a przede wszystkim do listu czytelniczki wywołanego tym materiałem, należy się kilka wyjaśnień i uściśleń. W latach 1967-1973 we Fromborku prowadzona była Operacja 1001-Frombork, której pełna nazwa brzmi: Harcerski Ruch Młodzieży o Honorowe Obywatelstwo Fromborka Miasta Mikołaja Kopernika – Operacja 1001-Frombork. Ta nazwa właściwie wyjaśnia wszystko – Harcerski Ruch Młodzieży... Zwracam uwagę, że nie akcja, przedsięwzięcie, impreza czy – jak byśmy to dzisiaj powiedzieli – projekt, ale ruch. Odczytywać to należy jako pewną ideę ujętą w ramy organizacyjne o określonym celu i oczekiwanym wyniku, do której można przystąpić dobrowolnie, realizując zadania wskazane albo własne, mieszczące się we wspomnianej idei, nią ograniczone i prowadzące do osiągnięcia nakreślonego celu. Organizatorem tego ruchu było harcerstwo ze Związkiem Harcerstwa Polskiego (wówczas jedyną jego organizacją), a adresowany był do młodzieży, całej młodzieży. Bez względu na przynależność lub jej brak. Celem ruchu, z perspektywy indywidualnego uczestnika, było uzyskanie godności Honorowego Obywatela Fromborka. Warto zauważyć, że uzyskanie godności honorowej niemal zawsze jest dziełem przypadku – zauważenia przez kogoś, wnioskowania i uznania gremium (kapituły) przyznającego. Tym razem było inaczej – młody człowiek decydował o podjęciu zadań, czasami wysuwał własne, ale prowadzące do uznanego celu, i realizował to najlepiej, jak potrafił – pozytywna ocena tych starań praktycznie była przewidywalna przez samego starającego się o godność – było to dość sformalizowane.

Tyle gwoli przypomnienia spraw sprzed ponad 50 lat. A co do listu czytelniczki, organizatorem wycieczki letniego dla dzieci pracowników wojewódzkiej rady narodowej były zapewne służby socjalne tego urzędu. Prawdopodobnie skorzystały z propozycji harcerstwa zorganizowania grupy lub grup ewentualnie zainteresowanych udziałem

Operacja 1001 Frombork – to był ruch, nie impreza



w przygotowaniach obchodów kopernikowskich (w 1973 r.). Wyjaśnić należy, że chorągiew ZHP w Bydgoszczy, w odróżnieniu od innych, we Fromborku była organizatorem zgrupowania dla obozów wędrownych, noszącego nazwę Kopernikanie. Do Fromborka przybywały zazwyczaj 50-osobowe grupy wędrownie, wcześniej przez dziesięć dni pracujące w Toruniu przy rewitalizacji ruin zamku Dybów. Ich szlak wiodł przez Golub-Dobrzyń, Brodnicę, Olsztyn i Olsztyn do Fromborka, gdzie uczestnicy pracowali przez sześć dni. Takie były założenia i taka realizacja. Jak było w przypadku tej konkretnej grupy, trudno po 50 latach stwierdzić. Nie rozumiem natomiast zupełnie przebiegania uczestników obozu za harcerzy. Jak wykazałem,

był to zabieg zupełnie zbędny i chyba nie najlepszy z punktu widzenia wychowawczego. Zbadałem szczegółowo kwestię Honorowego Obywatelstwa Fromborka (HOF) z czasów „Operacji 1001-Frombork”. Nadano je 2391 osobom – nie potrafię stwierdzić, ile spośród tych osób było harcerzami, gdyż na żadnym etapie dochodzenia do tej godności kryterium przynależności do ZHP nie występowało, nawet na potrzeby statystyczne.

Nie polemizuję i nie oceniam wrażeń, odczuć i opinii, jakie autorka listu wyniosła z opisanego przygody. Minęło już ponad 50 lat, a i świat widziany oczami 13-latk jest nieco inny niż po upływie półwiecza. Chciałbym jednak zapewnić autorkę listu i czytelników, że „przypadkowi pseudoharcerze” we Fromborku to po prostu młodzież, w większości z zasadniczych szkół zawodowych, która pracowała dla miasta z własnej woli, najczęściej bez „nagród i medali”, także bez mundurka harcerskiego. Łącznie z harcerzami było ich ok. 40-46 tys.

*Hm. Jerzy Chrabąszcz,
autor książki „Księga Honorowych Obywateli Fromborka.
Lata 1967-2010”, HOF*

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Nie tylko Sopot

Prezes ma swoje wielkie nienawiści. Tusk jest na pierwszym miejscu, chociaż teraz narodził się niezwykły duet – Tusk został wzmocniony przez Putina. I oni są odpowiedzialni za wszystko, co złe, także za inflację. Ale prezes, jak każdy nienawistnik, ma też swoje wielkie miłości. To Przyłębska i Obajtek, geniusz menedżer z Pcimia, który wszystko potrafi. Macierewicz miał swojego Misiewicza, a wcześniej Giertycha – tak, on kochał Giertycha. Gwałtowna, ale krótka i nieszczerliwa miłość. Tak mają umysły zamknięte. Żyją w świecie własnych złudzeń, informacje o ludziach dochodzą do nich zawsze wykoślawione. Kretyn i nieudacznik może wyrosnąć na geniusza.

Wygląda na to, że węgiel, gaz i inflacja załatwią PiS, a przy okazji nas. Gotów jestem tu do największych poświęceń. Wędrując po kanałach, przypadkiem wpadam na TVP Info, w panice uciekam, dostrzegam jednak na czerwonym pasku: „Lobbing, molestowanie, praca za seks w Platformie Obywatelskiej?”. Tyle zdążyłem zobaczyć. Oni się dławią kłamstwami, oby się nimi zadławili. Im bliżej wyborów, tym więcej będzie w prawicowych mediach Korei Północnej.

Są czasami głupstwa, które rosną monstrualnie, bez miary i sensu, bo media polują na tematy, a prawica tropi przewinienia elity wobec polskiego ludu. Tak było ze słowami Olgi Tokarczuk „Nigdy nie oczekiwałam, że wszyscy mają czytać i że moje książki mają iść pod strzechy. Wcale nie chcę, żeby szły pod strzechy. Literatura nie jest dla idiotów. Żeby czytać książki, trzeba mieć jakąś kompetencję, pewną wrażliwość, pewne rozeznanie w kulturze. Te książki, które piszemy, są gdzieś zawieszane, zawsze się z czymś wiążą”. Przecież to zupełnie niewinne i rozsądne, nie ma w tym nic bulwersującego. Prawica oczywiście od razu cytuje i się pieni: łże-elita gardzi polskim ludem. Trafia to u nas na podatny grunt, bo szlachecka Polska rzeczywiście okrutnie gnębiła chłopów. I słysząc nadal, chociaż coraz słabiej, echa tamtego dramatu, rzeczywiście wielkiej krzywdy.

Samochodem do Sopotu, bezboleśnie, niemal cała trasa szybkiego ruchu już gotowa. Duży apartament na ósmym piętrze. Z balkonu widok na fragment zatoki. Piechotą na deptak 25 minut, piękna dawna architektura, którą pamiętam z lat 70. poprzedniego wieku biedną i szarą, teraz kwitnie. Na słynnym Monciaku tłok, ale widywałem tu większy. Monciak i Krupówki, dwie polskie

rzeki, jedna płynie do Bałtyku, druga pod Gubałówkę. Morena na krańcach Sopotu, piękne zalesione wzgórza, na ich granicy mieszkamy. Nigdy bym nie jechał do Sopotu w sezonie, ale zajmujemy za darmo apartament wynajęty przez naszego przyjaciela Krzysia Kasprzyka; mieszka w Toronto, geograf, nauczyciel, podróżnik, poeta. Autor słów słynnej stoczniowej „Piosenki dla córki”. Krzysztof to człowiek wielu pasji, mają one charakter młodzieńczy, chociaż jest o kilka lat ode mnie starszy. Posiada sztukę pięknego życia. Ma umiejętność celebrowania każdej chwili, cieszy się nie tylko dużym, ale też małym. Pochodzi z Sopotu, tu spędził dzieciństwo i młodość, każde miejsce w tym mieście z czymś mu się kojarzy, a jest gawędziarzem.

To, czego dotykałem ręką jeszcze niedawno, staje się historią.

Wspinamy się na wzgórze, prowadzi na punkt widokowy, skąd przez prześwit leśny widok na Sopot w dole. Obok głąz z napisem „Szlak Borsuka”. Skojarzyło mi się to ze zwierzakiem, a to od nazwiska Bogdana Borusewicz, mojego kolegi z czasów opozycji, teraz senatora, kiedyś bohatera opozycji, to on zainicjował strajk w stoczni i przerzucił do niej Wałęsę. A tu spotkał się konspiracyjnie z ludźmi. To, czego dotykałem ręką jeszcze niedawno, staje się historią.

W Gdańsku wszystko odmienione, zachodnia Europa pełną gębą. Hala Oliwii, gdzie byłem na pierwszym zjeździe Solidarności, przy nowej, dynamicznej architekturze wygląda jak zabytek minionej epoki. Jemy obiad naprzeciw Wielkiego Młyna nad Motławą, a pamiętam, jak w 1997 r. oprowadzał nas po zielonych, łąkowych terenach poprzetykanych ruinami pisarz Paweł Huelle. Teraz w tym miejscu ładna, stylowa, nowa architektura, korespondująca z zabytkowymi spichlerzami, na parterze mrowią się zatłoczone restauracje. Jemy kolację w jednej z nich. Rachunek zwala z nóg. Ale tak teraz jest, ceny w restauracjach dostały wścieklizny. Krzysz wspomina strajk w stoczni, był w niej od samego początku. Siedział obok grafika, przyjaciela, Jerzego Janiszewskiego, gdy ten w swoim mieszkaniu malował napis Solidarność. Janiszewski mieszka od lat w Barcelonie. Ten napis był równie genialny jak pomysł na ruch, który został nazwany Solidarnością.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Rozmawia Jan Tracz

Rok temu opublikowała pani filozoficzną dywagację nad samotnością – „Samotny jak Szwed”. Tym razem zastanawia się pani nad tym, czym jest szczęśliwa miłość. Dlaczego?

– Najnowsza książka kiełkowała we mnie od bardzo wczesnej młodości! Polska kultura ma historyczną tendencję do marginalizowania tematów intymności. Zarówno miłość, jak i erotyka bywają u nas banalizowane, a przecież są to kwestie, o których powinniśmy dyskutować na łamach poważnej prasy czy literatury. W mojej książce Piotr Pietucha powiedział, że Polacy nie dojrżeli jeszcze do kina Bergmana, do filmów człowieka, który całe życie poświęcił analizie relacji kobiecia-męczyzna. To pokazuje, że rewolucja seksualna w Polsce jest jeszcze przed nami. Jeszcze nie odkryliśmy w pełni, że prywatne jest polityczne. Skoro nie jesteśmy gotowi na nieco starsze filmy, to jak mamy poradzić sobie w realnym życiu?

Dlaczego?

– Ponieważ bycie człowiekiem wychowanym w polskiej kulturze i rodzimej literaturze bazuje na przekonaniu, że istnieją sprawy ważniejsze niż intymność, a więc także seks. Chodzi mi o tzw. sprawy ogółu. Naród, tradycja, historia... to nas dziś głównie interesuje. Wierzmy, że to, co dotyczy miłości, w ogóle nie jest istotne, albo wiąże się ze „sferą kobiecą”. A to nie tylko niefeministyczna myśl, ale też płytkie podejście do złożonego tematu. Patriarchat uważa, że zajmowanie się miłością to sprawa kobieca, czyli automatycznie „mniej ważna”. Całe szczęście nie wszyscy tak sądzą, czego przykładem niech będzie fakt, że pan robi ze mną wywiad, a czytelnicy przychodzą na spotkania autorskie. Musiałam poczekać z napisaniem tej książki, aby przede wszystkim stać się osobą, która ma liczący się głos w dziennikarstwie. Jako pisarka musiałam wywalczyć sobie przestrzeń, aby móc napisać reportaż nie tylko o uczuciu, ale o miłości radosnej, udanej. Taki temat bowiem łatwo jest szufladkowany, a na to pozwolić nie chciałam. Trzeba też podkreślić, że ta książka wyrasta z tematyki samotności, która była motywem poprzedniego reportażu. W każdej z tych książek wykorzystuję

Rewolucja seksualna jeszcze przed nami

Erotyka powinna sprawiać radość i nie łączyć się z pogardą dla ciała

KATARZYNA TUBYLEWICZ

– pisarka, tłumaczka, kulturoznawczyni



szwedzkie społeczeństwo jako lustro dla Polaków.

W jaki sposób?

– Pokazuję, że szwedzka tolerancja bierze się z silnego indywidualizmu. W Szwecji rodzina nie jest podstawową komórką społeczną, a państwo stawia na zajmowanie się jednostką. To daje znacznie więcej wolności w miłości i zmniejsza strach przed różnorodnością rodzinnych konstelacji. Odmienny jest też stan rzeczy związany z małżeństwami. W Szwecji można je znacznie łatwiej rozwiązać, jeśli miłość dwojga ludzi w pewnym momencie minie. I to nie jest żadna katastrofa. Co ciekawe, jeśli dwie osoby decydują się na tego typu rozwiązanie, to nie dochodzi do żadnej stygmatyzacji ze strony otoczenia, a ludziom łatwiej po rozstaniu się przyjaźnić i nadal być rodzicami. Rzecz ułatwia indywidualne opodatkowanie małżeństw i założenie, które sprawia, że ponad 80% Szwedek pracuje zawodowo. Tam małżeństwo nie ma być zależnością ekonomiczną, ale związkiem opartym na uczuciu!

Czy znalazła pani klucz w doborze bohaterów tego reportażu?

– Szukałam ludzi szczęśliwych i spełnionych w związkach lub w wolnej erotyce. Powtarzam, że w pisaniu (a dokładniej w researchu) pojawia się jakiś element intuicyjno-magiczny. Kiedy człowiek zaczyna zgłębiać jakiś temat, pewne rzeczy po prostu do niego przychodzą. Tak było z poliamoryczną rodziną, o której przeczytałam na stronach poświęconych finansom w gazecie codziennej. Artykuł traktował o tym, jak sprawiedliwie planować budżet w rodzinie, w której zarabiają trzy osoby. Chciałam też poruszyć temat wolnej erotyki, wręcz promiskuityzmu, ale postrzeganej z empatycznej perspektywy. Wtedy w sytuacji towarzyskiej spotkałam Marcusa, który otwarcie mówi o sobie, że jest hedonistą, a jednocześnie wielu może nauczyć głębokiego szacunku do erotyki jako takiej; czegoś, o czym tak rzadko mówi się w Polsce. Etyka seksu w Szwecji wygląda zupełnie inaczej: nie ma żadnego moralizowania czy stygmatyzowania kobiet. Nie ma podskórne go przeświadczenia, że to sfera grzechu. Bohaterowie pojawiali mi się

czasem w mediach społecznościowych, w książkach, w rozmowach, wyszukiwałam ich też w pamięci, bo są wśród nich ludzie, których w jakiś sposób już znałam. Moim zadaniem było wydobyć jak najwięcej z każdego rozmówcy. A to umiem robić.

Jakie rodzaje relacji znajdziemy w pani książce?

– Większość to relacje monogamiczne. Niemniej mam wrażenie, że zawsze jest w nich jakiś element buntu i odwagi, niektóre przytrafiały się w nieoczekiwanych momentach (np. znajdziemy rozdział o starszych ludziach przeżywających wielką i prawdziwie szaloną miłość), czasem wtedy, gdy życie wydawało się poukładane. Tym samym historie ze „Szwedzkiej sztuki kochania” mają szansę zburzyć stereotyp, że w młodym wieku trzeba wziąć ślub, założyć rodzinę i trwać tak do śmierci. Do tego dochodzą bardziej „niecodzienne” przykłady związków.

Szwedzka tolerancja bierze się z silnego indywidualizmu.

Na przykład?

– Choćby jeden rozdział poświęcam wspomnianej rodzinie poliamorycznej, która składa się z trójki rodziców i dziewiętki dzieci. Dorośli podkreślają, że są sobie we trójkę wierni, dlatego nie mamy tu do czynienia z otwartym związkiem. Ale są też w mojej książce związki otwarte. Jest też coś, co nazywam miłością po miłości, czyli bliskość i przyjaźń ludzi, którzy już ze sobą nie są, ale wychowują razem dzieci. Oprócz tego znajdziemy historie par LGBTQ+, eksperymenty tantryczne czy zróżnicowane podejścia singli do seksu i życia z partnerami/partnerkami. Tak naprawdę każdy rozdział opowiada zupełnie inną historię i pokazuje odrębną perspektywę na miłość! W książce przedstawiam szeroką paletę konstelacji w związkach, jak i różnego stosunku do miłości i erotyki.

Trudno o taką swobodę w Polsce.

– Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że książka będzie dla polskich czytelników szokująca. O dziwo, reakcja wielu osób jest entuzjastyczna! Mam wrażenie, że Polacy potrzebują

i pragną tolerancji, a także wyzwolenia z okowów dulszczyzny. Zdarzają się też ciekawe spotkania: kiedyś w kolejce po autograf ustawili się ludzie żyjący w związkach poliamorycznych. Powiedzieli, że książka stała się dla nich kultowa (śmiech), że opowiadam o czymś, co w Polsce też istnieje, ale jest tabu. Wierzę, że wszędzie ludzie są do siebie podobni, a co za tym idzie, przeróżne rodzaje związków znajdziemy tak naprawdę w każdym miejscu na Ziemi. Różnica polega na tym, że kiedy w Szwecji osoby należące do mniejszości mają pełną swobodę, to w Polsce nie bardzo mogą o tym mówić. A jeśli na to się decydują, są zawstydzani lub wręcz obrażani przez część społeczeństwa. Rzeczy przedstawiane przeze mnie nie są szokujące, poza tym są opisane tak empatycznym językiem, że treść ma szansę przemówić nawet do bardziej konserwatywnych czytelników. W moich reportażach nie ma

pruderii, ale nie ma też wulgarności. Jest opowieść o ludziach i uważne słuchanie ich słów. Wszelkiego rodzaju tabu i społeczne animozje biorą się z tego, że nie znajdujemy języka, aby mówić o tych sprawach uczciwie i w sposób nieoceniający. Kiedy nie moralizujemy, dajemy czytelnikowi przestrzeń na uporządkowanie własnych myśli.

Stefan i Krystyna Chwinowie uważają, że tam, gdzie kończy się dotyk, tam kończy się miłość. Pani też tak uważa?

– Na pewno jest to indywidualna sprawa. W Szwecji być może w mniejszym stopniu tematem tabu są także tzw. białe małżeństwa. Mowa o ludziach, którzy rzadko (albo wcale) ze sobą śpią, ale jednocześnie głęboko się przyjaźnią czy nawet łączą ich platoniczne uczucie. Osobiście jednak jestem zwolenniczką teorii Chwinów. Inna rzecz, że są różne rodzaje bliskości erotycznej. Poza tym ludzie są po prostu różni i mają różne potrzeby. Brak dotyku nie musi być z automatu zły. Natomiast według mnie sfery duszy i ciała powinny być ▶

► zawsze połączone. Być może ma na to wpływ moja praktyka jogi, która zwiększa holistyczność myślenia.

Innym ważnym elementem jest upływ czasu. Niektórzy bohaterowie uważają, że warto walczyć o dawne uczucie, inni nie wierzą w monogamię. W Polsce nie spotkamy tego drugiego podejścia.

– Na pewno widać w tym bardzo duży wpływ Kościoła na nasze społeczeństwo, ale także po prostu wpływ tradycji i określonej ramy kulturowej. Na starcie warto przypomnieć, że Kościół katolicki w przeciwieństwie do innych Kościołów chrześcijańskich nie uznaje rozwodów. Jednocześnie można kupić sobie unieważnienie małżeństwa, co zwiększa poziom hipokryzji. Jednak generalnie małżeństwo w katolickiej interpretacji traktowane jest jako krzyż, który trzeba nieść. Powiązane jest to z cierpiętnictwem historycznym w polskiej świadomości: już we wczesnych etapach

W Polsce ci ludzie pewnie zostaliby zalani falą negatywnych komentarzy.

– U nas ludziom zbyt często związek myli się z posiadaniem, a małżeństwo z więzieniem. Podobnie jak mitem jest przekonanie, że jeśli miłość się skończyła, to znaczy, że jej nie było. To nieprawda! Inną kwestią, która silnie wpływa na intymność Polaków i ma związek z nadal mocno się trzymającym patriachatem, jest zjawisko zwane kolokwialnie syndromem „dziwki i Madonny”. W Polsce jest on nieustannie aktualny. Polki nadal nie mają w erotyce tej samej wolności co mężczyźni, często są oceniane na podstawie tego, „jak się prowadzą”. To krzywdzące zarówno dla kobiet, jak i dla wrażliwych mężczyzn. Erotyka jest uznawana za sferę, w której „można się ubrudzić”, co źle wpływa na psychikę, nie tylko kobietę. Erotyka powinna sprawiać radość, a nie łączyć się z pogardą dla ciała.

W Szwecji rodzina nie jest podstawową komórką społeczną, a państwo stawia na zajmowanie się jednostką.

edukacji wmawia się nam, że czasem „warto” się poświęcić, że cierpienie uszlachetnia. Może dlatego istnieje też tendencja do wyolbrzymiania problemów, które nie są aż takimi katastrofami.

Jakie sytuacje potrafimy wyolbrzymiać?

– Na przykład rozwody nadal kojarzone są często z katastrofą lub tragedią, w której bliscy muszą wybierać strony, a „walka o dzieci” staje się krzywdząca dla wszystkich. Dlatego chciałam pokazać, że nie musi tak być. Wśród moich bohaterów są tacy, którzy po rozstaniach nadal wspólnie wychowują dzieci i bardzo się przyjaźnią. Katrin ma dwóch synów z Bingo i jednego z Aleksem, Bingo ma jeszcze córkę z innego związku. Ta trójka dorosłych zawsze spędza ze wszystkimi swoimi dziećmi sporą część wakacji, przynajmniej raz w tygodniu jedzą razem kolację, żeby dzieci czuły, że rodzice trzymają sztamę. Jednocześnie rodzice ci są już w innych związkach romantyczno-erotycznych.

Opowieści wielu bohaterów korespondują z norweskim filmem „Najgorszy człowiek na świecie”. Ludzie ci przez swoje decyzje są właśnie tymi „najgorszymi ludźmi”, inni nie godzą się z ich indywidualizmem.

– Ten piękny film o dojrzewaniu kobiety wydaje się niektórym widzom prowokujący. Agata Passent, znana z raczej liberalnych i feministycznych poglądów, opublikowała felieton, w którym nazwała ten obraz „rodzinnym pornosem”. Wysztytowała bohaterkę filmu za jej erotyczno-miłosne poszukiwania. Bardzo mnie ten tekst zdziwił.

Dlaczego?

– Passent pisze, że bohaterka Joachima Triera jest egoistyczna i zajmuje się tylko tym, „co może włożyć do swojej dziurki (w znaczeniu waginalnym)”. Użycie takich słów jest wyrazem, być może podświadomej, pogardy dla kobiety, która po prostu jest młoda i ma dwóch czy trzech kochanków. To ciekawe, że polska feministka przedstawia ją jako „puszczalską”. Czy w feminizmie

nie chodzi także o przyznanie kobietom takich samych praw jak te, które mają mężczyźni? Czy to nie zostało przedyskutowane na Zachodzie w latach 70.? A może chodzi o to, że jest w Polsce jakiś kłopot z zaakceptowaniem „młodzieńczego poszukiwania siebie”? Może życie ma być od kotyski ułożone i poważne? Tak czy owak film Triera świetnie pokazuje młodzieńcze zagubienie i nie ma w nim nawet śladu podwójnego standardu w ocenach moralnych kobiet i mężczyzn. Być może wszystkim Skandynawom łatwiej myśleć w ten sposób.

Książkę ilustrują zdjęcia pani syna Daniela.

– W świecie kultury dochodzi często do tego typu rodzinnych współprac. Ewa Winnicka pisze czasem książki z mężem Cezarym Łazarewiczem, Agnieszka Holland kręci filmy z córką Kasią Adamik. Z moim synem też tworzymy kreatywny tandem. Daniel zrobił świetne zdjęcia do mojej książki „Sztokholm. Miasto, które tętni ciszą”, a naszą najważniejszą współpracą była ta przy książce „Samotny jak Szwed?”, kiedy podróżowaliśmy po Szwecji. Ja szukałam rozmówców, a Daniel samotności w krajobrazie. Ta wycieczka stała się integralną częścią reportażu. Na okładce „Szwedzkiej sztuki kochania” jest zdjęcie Weroniki Gęsickiej, ale w środku są też fotografie Daniela Tubylewicza z cyklu „Zmysłowość”. Nie jesteśmy tylko mamą i synem, ale także przyjaciółmi, wzajemnie się inspirujemy, rozmawiamy i na pewno jeszcze zrobimy coś razem. Cudowne w byciu pisarzem jest to, że może nie zarabia się wiele, ale ma się wolność wybierania tematów, bohaterów i ludzi, którzy na nas kreatywnie wpływają.

Czy możemy spodziewać się kolejnej części, która dopełni tryptyk?

– Tak naprawdę tryptyk już istnieje, bo pierwszą częścią cyklu są „Moralisci”. Piszę jednak kolejną książkę, która znów będzie opowieścią o Szwecji, może nawet szerzej – o Skandynawii, ale zarazem ma traktować o uniwersalnych sprawach ludzkich. Będzie to zatem swoista kontynuacja, ale jednocześnie zupełnie odmienna książka.

Jan Tracz

Rafał Piкуta

Szczęśliwy naród idiotów

Na portalach i w prasie o jednym zdaniu
Olgi Tokarczuk napisano więcej
niż o tysiącach stron jej powieści

Nad Wisłą o literaturze dyskutuje się rzadko. Raz do roku, gdy publikowane są zupełnie niezaskakujące, choć tragiczne wyniki czytelnictwa Polek i Polaków, i za każdym razem, gdy pisarz lub pisarka powie coś bez ładu i składu (Twardoch), pożali na swój los (Bargielska) albo nazwie Andrzeja Dudę debilem (Żulczyk). Dawno nie mieliśmy jednak burzy wokół kwestii czysto literackich, czyli tego, kto godzien jest być czytelnikiem Wielkich Ksiąg.

Wyrwane z kontekstu słowa Olgi Tokarczuk o tym, że „literatura nie jest dla idiotów”, komentowane były obficie. Jak ironizował Grzegorz Wysocki w „Gazecie Wyborczej”, długość postów na temat Tokarczuk i idiotów opublikowanych w ciągu dwóch pierwszych dni internetowej awantury pięciokrotnie przekroczyła objętość „Ksiąg Jakubowych” (a to książka niezmiernie opasła). Zaskakujące, ile zdań da się napisać na temat jednego zdania noblistki.

wiedzieć, i że nie wszystko jest dla wszystkich. Sorry, ale nierozumienie „Ulissesa” nie świadczy o tym, że James Joyce to buc, po prostu do pełnej lektury tej książki trzeba literacko dojrzeć. Co nie oznacza, że niewykształcony chłop z Polski B nie może czerpać przyjemności z powieści irlandzkiego pisarza.

Słusznie zauważył Wojciech Orliński, że „postulat, żeby Tokarczuk bardziej się troszczyła o ludzi nieczytających książek, jest jak postulat, żeby



Żyjemy w kraju, w którym nieczytanie jest modą, ignorancja zaś powodem do dumy.

Można było odnieść wrażenie, że przyznanie się do braku zdania w tej sprawie było gorsze niż przyznanie się do tego, że nie płakano się po papierze.

Tokarczuk atakowały i prawica, i lewica. W przypadku prawicy nie ma żadnego zaskoczenia, prawa strona Olgi Tokarczuk, a śmiejmy się, podejrzewać, że i literatury w ogóle, nie znosi. Natomiast reakcje niektórych publicystów z lewej strony to wpisanie się w prawicowy populizm. Pod płaszczykiem walki z klasyzmem zaczęło się bowiem przytykanie do chama. Kancelowanie Tokarczuk, którego podjęła się np. lewicowa celebrytka Maja Staśko, to woda na młyn tych, którzy inteligencją gardzą, a czytających najchętniej wystawiali do kamieniołomów.

Pisarka tymczasem przyznała, może niezbyt fortunnie, że jeśli chce się oceniać, to trzeba najpierw coś

Lewandowski zorganizował mundial dla nieinteresujących się futbolem”.

Warto dodać, że cała inba toczyła się jednak w małej bańce. To, że na moim Facebooku owego feralnego dnia co drugi post dotyczył Olgi Tokarczuk, nie znaczy, że TokarczukGate, jak określono aferkę, była sprawą ogólnopolską. Gdy zapytałem o nią znajomego z branży budowlanej, nie wiedział, o co chodzi, koleżanka z sektora finansowego dodała, że pierwszy raz słyszy o jakiejś tam Tokarczuk.

Żyjemy w kraju, w którym się nie czyta. W kraju, w którym nieczytanie jest modą, ignorancja zaś powodem do dumy. Spotkałem kiedyś menedżera wyższego szczebla na szkoleniu w pewnym polskim instytucie o amerykańsko brzmiącej nazwie. Świetnie uczesany i ubrany w drogi garnitur pan przyznał, że w ogóle nie czyta, bo szkoda mu czasu na

pierdoły. Czytelnictwo to sport elitarny, komentowanie w sieci natomiast to zajęcie masowe. Znamienne, że na portalach i w prasie o tym jednym zdaniu Tokarczuk napisano więcej niż o tysiącach stron jej powieści. Smutne, że zarządzający mediami, którzy usunęli strony z kulturą z łamów swoich tygodników i wyrzucili na szary koniec internetu teksty o literaturze i sztuce, teraz ochoczo zabrali się do tłumaczenia/oskarżania pisarki. Znaczące, że politycy i ludzie mediów, którzy swoją postawą aktywnie zniechęcają ludzi do samodzielnego czytania, nagle zabrali głos.

Afera wokół Olgi Tokarczuk nie oznacza, że nagle kruszymy kopie o literaturę, po prostu urządzamy sobie, jak zwykle, codzienne igrzyska nienawiści. Szczęśliwy to naród, który może się kłócić o idiotę, szczęśliwy kraj, gdzie galopująca inflacja, fatalny rząd i widmo rosyjskiej agresji to mniejsze problemy niż wyrwane z kontekstu słowa noblistki.

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Young Power New Edition – Freedom

W tę sobotę usłyszymy Jorgosa Skoliasa z legendarnym zespołem jazzrockowym, skupiającym najwybitniejszych polskich jazzmanów i muzyków rockowych młodego pokolenia. Grupa powstała w 1986 r. z inicjatywy flecisty Krzysztofa Popka i perkusisty Krzysztofa Zawadzkiego. Była atrakcją największych festiwali; entuzjastycznie odbierana przez branżę i publiczność zarówno w kraju, jak i za granicą. Już sama jej nazwa stanowiła manifest i wyzwanie. W roku 1990 Young Power nieoczekiwanie zawiesił działalność, a wielu jego muzyków zdecydowało się stworzyć własne zespoły. Po ponad 30 latach wracają jako Young Power New Edition. Jak mówią, *young power* ma się na całe życie. Więcej na: www.jazznastarowce.pl

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 6 SIERPNIĄ, GODZ. 19

(ap)



Kolano Ahead

reż. Nadav Lapid, prod. Izrael/Francja/Niemcy, już w kinach

Nadav Lapid („Synonimy”) to dziś bez wątpienia jeden z najbardziej radykalnych filmowców z Izraela. Jego „Kolano Ahead” napędzają: złość, gorycz, frustracja, bezsilność. Ale to nie jest kino terapeutyczne, reżyser nie usiłuje sobie nim pomóc. Próbuje raczej zwrócić uwagę widzów na toczące Izrael problemy: upolitycznioną kulturę, wszechobecną propagandę, zabijanie wolności artystycznej, pranie mózgu młodym ludziom, grę pozorów społeczeństwa. Brzmi znajomo? Powinno, bo film (może z wyjątkiem wątków poświęconych armii) niepokojąco rymuje się z tym, co dzieje się u nas. Wynika z niego, że izraelskie władze też wszędzie widzą wrogów. W takim trudnym świecie próbuje jakoś funkcjonować bezimienny filmowiec przytłoczony śmiercią matki. W tej autotematycznej opowieści Lapid zadaje pytanie, czy w imię walki o wolność należy poświęcić tych, którzy poszli na kompromis, nawet jeśli ich intencją była pomoc społeczeństwu. Wielu widzów jego trudny formalnie film odrzuci, inni dostrzegą w nim mocną przestrożę przed konformizmem.

Artur Zaborski

BYLIŚMY

Premiera i odejście Pana Dyrektora

Chyba nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by odchodzący dyrektor opery na zakończenie swojej pracy zaprezentował satyrę pokazującą tak prawdziwie trud kierowania tego rodzaju instytucją kulturalną. A tu na koniec 24. Letniego Festiwalu Opery Krakowskiej, którego patronem medialnym był PRZEGLĄD, odbyła się premiera „Dyrektora teatru” Mozarta. Choć od skomponowania dzieła minęło prawie 250 lat, problemy bohatera nie tracą aktualności: finansowanie, ambicje i animozje solistek, rozterki repertuarowe – grać sztukę ambitną czy bliższą gustom ogółu?

Farsa ta, dość uboga muzycznie, ale ukanie wzbogacona fragmentami Mozartowskich hitów operowych, stoi jednak dialogami. Kwestie mówione stanowią zawsze niemałe wyzwanie dla śpiewaków, rzadko zmuszonych w takim stopniu przeistaczać się w aktorów komediowych, lecz artystom Opery Krakowskiej wychodziło to zgrabnie. Wymienianie całej grupy solistów wydaje się zbędne, bo nie ma nikogo, kto nie zasługuje na rolę w tym przedstawieniu, ale spośród realizato-

rów trzeba wyróżnić Ryszarda Melliwę, bo to spod jego ręki wyszły świetne scenografia i kostiumy.

Inscenizacja zaskakuje zamianą miejsc: scenę przeniesiono na widownię, a widzów na scenę. Ma to plusy i minusy (gorsze nagłośnienie), z pewnością jednak zostanie zapamiętane. Podobnie jak kilkunastoletnie dyrektorowanie Bogusława Nowaka. To za jego kadencji i dzięki jego ogromnym staraniom krakowska opera doczekała się gmachu z prawdziwego zdarzenia i z roku na rok podnosiła swój poziom artystyczny.

Artyści i widownia godnie pożegnali dyrektora. Nie da się tego powiedzieć o władzach urzędu marszałkowskiego, którym Opera Krakowska podlega. Nie raczyły przybyć, by okazać szacunek dyrektorowi, dzięki któremu instytucja przy ulicy Lubicz lokuje się w czołówce scen operowych w Polsce.

Paweł Dybiczy

Wolfgang Amadeusz Mozart, „Dyrektor teatru”, reżyseria Beata Redo-Dobber, kierownictwo muzyczne Tomasz Tokarczyk, inscenizacja Bogusław Nowak, Opera Krakowska, premiera 15 lipca 2022



JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości
ginących cywilizacji, niezwykłych krain
i ludzi osiadłych w odległych regionach

MAGIA PUSTYNI

„Bóg stworzył kraje bogate w wodę, aby ludzie byli szczęśliwi, a pustynie, aby mogli odnaleźć tam swoją duszę”, uważają Tuaregowie. Podróż przez pustynię to nie tyle wędrówka przez bezmierne pustkowia, przerażające, a jednocześnie intrygujące i przyciągające, ile przede wszystkim podróż do własnego wnętrza.

Opiewana jako „pustynia pustyń”, otoczona romantyczną aurą tajemniczości i podniecająca naszą fantazję Sahara zajmuje jedną trzecią powierzchni Afryki, tyle co cała Europa. Najbardziej bezlitosne środowisko naturalne na naszej

planecie od zawsze inspirowało niespokojną naturę człowieka, ponieważ wszystko, co z Saharą się wiąże, jest ekstremalne. Jej mit został odświeżony w nagrodzonym dziewięcioma Oscarami filmie „Anielski pacjent” czy w powieści „Pod osłoną nieba” Paula Bowlesa, który przyjechał do Tangeru na tydzień, a został tam całe życie.

Znawca pustyni Wilfred Thesiger pisał, że żaden człowiek, który wędrował przez tę krainę, nie pozostanie taki sam. Na zawsze będzie nosić w sobie jej piętno, a pragnienie powrotu nigdy go nie opuści.

OBSERWACJE





6



7



8



9

1. Romantyczny obraz bezkresnego oceanu pustyni.
2. Tuarecki szes osłania przed piaskiem i chroni drogi oddechowe przed nadmiernym wysuszeniem.
3. Na rozedrganej od gorąca równinie pojawia się owiany legendą miraż – migocące jezioro.
4. Tu nawet cień jest gorący. Fortunny odpoczynek pośród wydmy Wielkiego Ergu Zachodniego w Algierii o powierzchni równej czwartej części Polski.
5. Żar słońca pali bezlitośnie poacie piasku i wysusza wędrowca.
6. Magiczny moment nocnego biwaku na pustyni i rytuał picia herbaty w małych czarkach.
7. Wiatr kształtuje nieustannie powierzchnię pustyni.
8. Wielbłądy są znakomicie przystosowane do warunków pustynnych, mogą się obyć bez wody nawet tydzień.
9. Woda – największy skarb pustyni.



Jacek Pałkiewicz
 – reporter, eksplorator,
 odkrywca źródła Amazonki,
 twórca survivalu w Europie;
www.palkiewicz.com.

Koty i ich usługi

Sprzeciw wobec piętnowania kotów jako inwazyjnego obcego gatunku

Andrzej Elżanowski

Wyrażamy zdecydowany sprzeciw wobec kategoryzacji kotów jako inwazyjnego gatunku obcego przez Instytut Ochrony Przyrody PAN, który głosi nieprawdę, twierdząc, że „istnieją jednoznaczne dowody naukowe na negatywny wpływ kota domowego na rodzimą różnorodność”. Tego dowodu ma dostarczać jedna publikacja pod sensacyjnym tytułem „Koty zabijają rocznie miliony kręgowców na polskiej wsi”, której autorzy (D. Krauze-Gryz i in., 2018) oszacowali, że w całej Polsce koty wiejskie zabijają rocznie 583 mln drobnych ssaków, głównie gryzoni, i 135 mln ptaków. Oznacza to, że tępione przez ludzi gryzonie przeważają nad ptakami w pokarmie kotów w stosunku 4:1, a u kotów wychodzących dalej w pole (...) stosunek ten wynosi nawet 10:1. Zatem koty odgrywają rolę, która zadecydowała o ich udomowieniu, czyli według dzisiejszej terminologii świadczą wielkoskalowe „regulujące usługi ekosystemowe”. Jak zwykle w ksenofobicznej nagonce na gatunki obce, wykonywane przez nie usługi ekosystemowe są pomijane, bo są pozytywne.

Od liczb zabitej zdobyczy do dowodu na zagrożenie jej gatunkowi jest daleka droga. Jak to pokazały liczne wcześniejsze badania (m.in. w Wielkiej Brytanii i w Szwecji), koty zabijają najwięcej ptaków w czerwcu i ich zdobyczą są głównie podloty pospolitych gatunków synantropijnych, z których większość i tak nie przeżyłaby do następnej wiosny. (...) Nie oznacza to zagrożenia dla bioróżnorodności. Koty nie mogą też być główną przyczyną obecnych spadków liczebności tych gatunków, bo ograniczały je (zwłaszcza populacje wróblí) od stuleci. Twardym



faktem naukowym jest występowanie w Europie Środkowej kotów w obrębie i wokół osiedli ludzkich od tysiąca lat (w Europie Zachodniej co najmniej od dwóch tysięcy) przy braku dowodów na wytępienie jakiegokolwiek gatunku ptaków, czyli na rzeczywisty wpływ kotów na bioróżnorodność – zmniejszenie populacji wróblí, kosów, szpaków. (...) Koty nie mają najmniejszego wpływu na populację żadnego z gatunków ptaków znajdujących się na polskiej czerwonej liście jako gatunki zagrożone, narażone na wyginięcie lub bliskie zagrożenia. (...) Europejska Sieć Informacji o Gatunkach Obcych (EASIN) uznaje koty za „częściowo rodzime” (*partly native*). (...) Także Komisja Europejska nie zaliczyła kotów do „inwazyjnych gatunków obcych stwarzających zagrożenie dla Unii” właśnie dlatego, że nie ma dowodów na ich „znaczne niepożądane oddziaływanie na różnorodność biologiczną i powiązane usługi ekosystemowe” i nie mogłoby to „zapobiec ich wprowadzeniu, osiedleniu się i rozprzestrzenieniu”. (...)

Niezależnie od wpływu kotów na populację ptaków ich zabijanie przez

koty jest bezdyskusyjnym, wielowymiarowym, ogromnym złem (...). Zapewne nie da się tego zła całkowicie wyeliminować (...), ale można i trzeba je radykalnie ograniczyć. Najważniejszym humanitarnym środkiem zaradczym jest zmniejszenie liczebności kotów przez sterylizację, która w Polsce powiatowej działa bardzo słabo i zapewne nie poprawi się bez reformy obecnego systemu zapobiegania bezdomności zwierząt, niefortunnie powierzonego ustawowo gminom bez ustanowienia efektywnego nadzoru. Ten system powinien być radykalnie ulepszony wspólnymi siłami obrońców zwierząt i wyznawców bioróżnorodności. Ale skuteczne i humanitarne zapobieganie bezdomności zwierząt wymaga minimum troski i poszanowania ich życia – stygmatyzacja kotów jako inwazyjnych obcych na pewno w tym nie pomaga i jeszcze potęguje niesłabnący zapał do ich prześladowania przez myśliwych. (...) Koty są także nadal obiektami nienawiści grup pomyślnych (np. „Ludzie przeciw kotom”), którzy będą nakręcać się ksenofobiczną retoryką o złych, bo inwazyjnych obcych. Opiekunów kotów trzeba nakłaniać do tego, by uniemożliwiali, a przynajmniej ograniczali kotom polowanie poza domem (...). Dlatego pilnie potrzebna jest intensywna kampania uświadamiająca opiekunów, a nie piętnowanie kotów. (...) wszyscy, którym na sercu leży los ptaków i kotów, powinni zjednoczyć się w celu ograniczenia rozrodu kotów poprzez ich sterylizację, jak również społeczne napiętnowanie i przynajmniej ograniczenie komercyjnych hodowli kotów, które potęgują ogrom zła. W konkluzji stwierdzamy, że wobec braku przesłanek naukowych i prawnych oraz wobec silnych przeciwwskazań etycznych i społecznych, napiętnowanie kotów jako inwazyjnych obcych przez IOP PAN jest nieuzasadnione i nieodpowiedzialne. Wzywamy do wycofania tej decyzji

Prof. dr hab. Andrzej Elżanowski jest przewodniczącym Polskiego Towarzystwa Etycznego

Czas ludzi zasłużonych

Teoretycznie MSZ powinno pracować jak dobrze naoliwiona maszyna. PiS ma w Polsce wszystko, więc wydawało się, że kwestie kadrowe będą szły jak z płatka. Ale nie idą.

Nagłych blokad, przeciągania ustaleń przez długie miesiące i zmian decyzji jest aż nadto. W sprawach ambasadorów walczy partia, walczy rząd, walczy prezydent Duda, no i walczą różne służby. W efekcie są placówki nieobsadzone całymi miesiącami. To fascynujące – nigdy jeszcze w III RP polityka zagraniczna i samo MSZ nie były tak mało ważne, tak daleko w hierarchii władzy. I nigdy jeszcze (o ironio!) o obsadę placówek tak zawzięcie nie walczono.

Przykładem bijącym po oczach jest ambasada w Niemczech. Od grudnia nie mamy tam ambasadora, co jest rzeczą kompromitującą. W Izraelu ambasadora nie mamy prawie od roku. Oczywiście każdy wie, dlaczego ambasador Magierowski wrócił do Warszawy (teraz jest ambasadorem w USA), ale 12 lipca prezydent Duda przyjął listy uwierzytelniające, które złożył Yacov Livne, więc czas na normalizację. Zapowiedział ją Andrzej Duda na Twitterze. „Prezydent Herzog prosił mnie o przywrócenie Ambasadora RP w Izraelu. Liczę, że wkrótce do tego dojdzie”. No to czekamy.

Nie mamy też ambasadorów m.in. w Turcji, Hiszpanii, Czechach...

À propos Czech, w Pradze ambasadą kieruje pan Antoni Wręga, lat 70. To postać zasłużona w kręgach PiS. W latach 70. był działaczem gdańskiej opozycji, potem został internowany, a jeszcze później wyjechał do USA. Wrócił do Polski w roku 1991, od razu do MSZ. Wielkich sukcesów nie osiągnął, poza tym, że w roku 2017, czyli za Waszczykowskiego, był zastępcą dyrektora Biura Spraw Osobowych. Zaufany człowiek do prze-

glądania teczek. Potem wyjechał do Pragi. I tu, w wieku emerytalnym, ma swoje wielkie dni. Bo ambasadorowie w Pradze zmieniają się co chwila, a on trwa. I to jak!

W marcu 2021 r., gdy w Czechach nowelizowano ustawę o aborcji (precyzując warunki, na jakich cudzoziemki będą tam mogły przerywać ciążę), Antoni Wręga, wówczas chargé d'affaires ambasady RP, napisał list do czeskiego ministra zdrowia. A w nim ostrzegął, że przyjęcie tych przepisów „doprowadziłoby do rozkwitu turystyki aborcyjnej w Czechach, pozwoliłoby polskim obywatelom na łamanie praw ich własnego kraju, a także zakłóciłoby relacje czesko-polskie”. Oto polska polityka zagraniczna!

Jeżeli jesteśmy już przy zasłużonych emerytach kierujących placówkami, to wspomnijmy o dwóch paniach. Urszula Doroszevska, rocznik 1954, też zasłużona działaczka opozycji, bliska Antoniemu Macierewiczowi, jest ambasadorką w Wilnie. A w Rzymie naszą placówką kieruje Anna Maria Anders, rocznik 1950, która swego czasu zasiadała w Senacie RP, z nadania PiS. Bo córka generała.

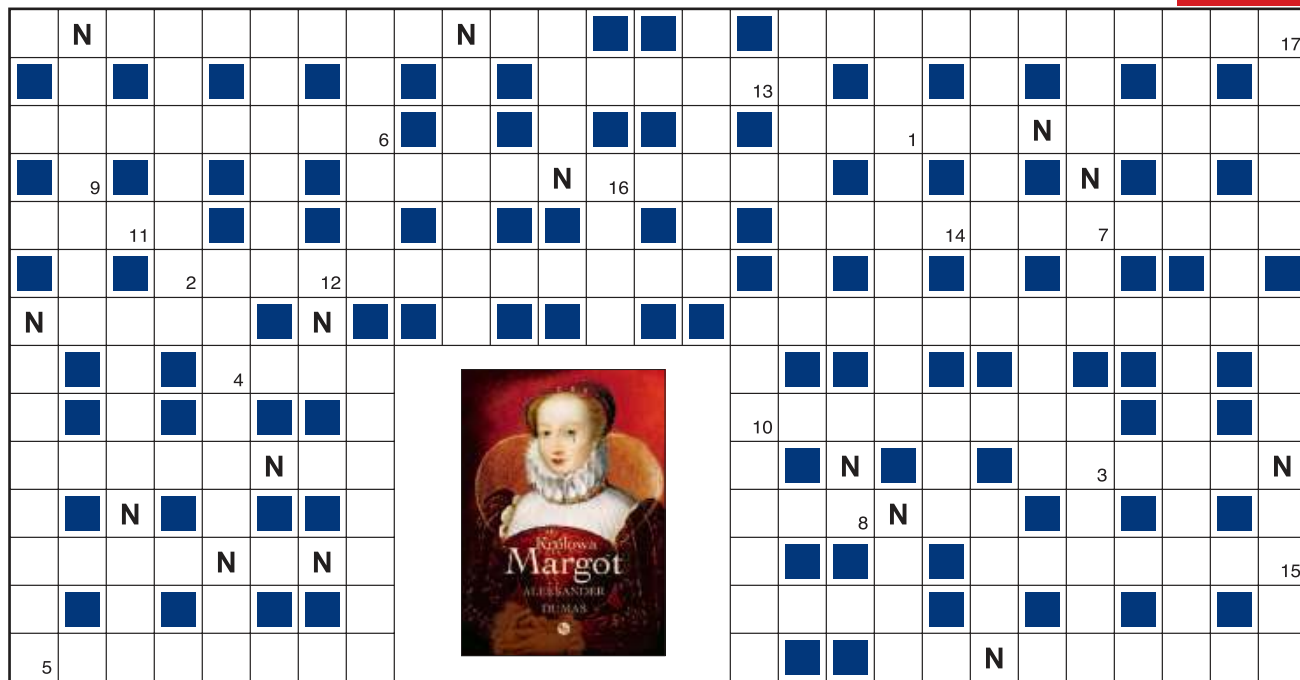
Wszyscy wiemy, że agizm jest błędem naszych czasów i rozumni ludzie mu nie ulegają. Nie mylmy jednak szacunku dla ludzi doświadczonych z prostą synekurą.

Łupia sprawa, ale z tego bezruchu wynika, że naj-sprawniej w ostatnich latach obsadzano placówki, gdy dyrektorem generalnym MSZ był Andrzej Papierz. Jakims cudem wmówił on politykom PiS, że czas na „zawodowców”, po czym pozatwiał stanowiska ambasadorów (fakt, że na placówkach mniej znaczących) swoim kumpelkom i kumplom, ludziom z dalekich resortowych szeregów, ale właściwie podpiętych.

Attaché

Hołd tajlandzki.
Z okazji 70. urodzin króla Tajlandii urzędnicy państwowi oddają cześć przed portretem monarchy. Bangkok, 28 lipca 2022 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą końcowe hasło.

- spółka wydająca „Gazetę Wyborczą”
- zaliczka na poczet należności
- składownia w cehauzie
- „Polish... i Galapagos”, czyli Chalupy

- łapacz lub palkarz np. New York Yankees
- słodka i tłusta, często sezamowa
- podłoga morza
- atramentowa lub laserowa
- materiał o splocie oczkowym

- w niej rozczyniano ciasto na chleb
- i raj, i brytyjski polityk
- kilkanaście myśliwców
- ...pręgowane – duża antylopa
- opłata wymuszana groźbami
- syn Dedala
- pokój stołowy
- nauczyciel religii w szkole
- własny... – dach nad głową
- sprzączka, spinacz do prania
- dodatkowa treść kojarzona z wyrazem
- Tomasz, zagrał Religę
- 100 kg zboża

- Wientian jego stolicą
- cienia, frajer jak ryba
- projektowanie i wykonywanie znaków pisma
- przenosiła meldunki w konspiracji
- badanie metali i stopów gołym okiem
- Olga Boznańska lub Frida Kahlo
- „Już... zeszedł, psy się uspiły”
- dwójniak do picia
- atak choroby, przyplw np. szczerości
- lękowa lub natręctw
- pseudonim używany w sieci
- antypatia, ansa
- Tadek, co odsuwał wszystkie potrawy
- ...wody morskiej, by uzyskać słodką

- z Tereską u Chmielewskiej lub ścieg
- znak, wróżba, zapowiedź
- jadalna część rośliny powstała z kwiatu
- wśród aktorów Falk lub Dinklage
- generator elektryczny
- deklamatorka
- Jerzy Domański – ...naczelnym
- i Walenciak, i Więckiewicz
- zwany złodziejką
- bankowy to trezor
- typ głosu Aleksandry Kurzak
- rymowana zagadka i film z Audrey Hepburn
- szybki zjazd na nartach
- ogarnia, gdy znów się nie udaje

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

.....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1076”. Do rozlosowania książki „Królowa Margot” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 7 sierpnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1073” z nr. 29: Wiedza to nie bzdura.

Nagrody otrzymują: Elżbieta Bączalska z Maszewa, Waldemar Gutowski z Wołomina, Joanna Sokolnicka-Ćwięż z Krakowa.

PENETRACJE

STYL

JERZY STUHR,
AKTOR, REŻYSER

Podczas „Dziadów” Swinarskiego siedziałem z Jurkiem Trelą w jednej garderobie. Po Wielkiej Improwizacji zawsze był wykończony, więc zażyczył sobie, by w przerwie dostarczano mu tlen. Dostawał poduszkę tlenową. Pewnego wieczoru wpada rekwizytor i woła: „Rany boskie, zapomniałem o tlenie. Trela mnie zabije”. Na co odzywa się Jurek Bińczycki: „Dawaj tę poduszkę”. I napompowaliśmy ją zwykłym powietrzem. Przychodzi Jurek ślaniający się, bierze poduszkę i zaczyna wdychać. Po chwili mówi: „Widzisz, co to znaczy tlen. Zaraz robi się człowiekowi lepiej”.

MONDE
diplomatique

ANETA JERSKA,
PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,
PUBLICYŚCI

Ważne jest, by oprzeć się pokusie normalizacji i w obliczu wojny w Europie nie odkładać kwestii palestyńskiej na później. Należałoby raczej rozciągnąć na okupowaną Palestynę standardy, które udało się wypracować wobec rosyjskiej agresji w Ukrainie. Co to konkretnie znaczy? Na przykład pójście w ślady partii Razem, która jako pierwsza siła polityczna w Polsce zde-

cydowała się poprzeć kampanię BDS, czyli wezwanie do bojkotu, dezinvestycji i sankcji wobec Izraela.

ANGORA

HENRYK
MARTENKA,
PUBLICYSTA

Morawiecki, pupil Kaczyńskiego i żdźbło w oku wielu pisowców, jest zaufanym partyjnym zaklinaczem. Mamy najdroższe paliwo, najwyższą od ćwierć wieku inflację, słabego złote- go, najwyższe od kilkunastu lat stopy procentowe, lichwiarskie obciążenie kredytobiorców, najniższe od lat inwestycje i budzącą przerażenie ludzi niemożność spłat hipotek. Do tego kosmiczne ceny żywności, prądu i gazu oraz brak węgla na rynku.

zwierciadło

MAGDALENA
CIELECKA,
AKTORKA

Co powinien mieć człowiek, żeby mnie zafascynował? Musi mnie ciekawić intelektualnie, mieć poczucie humoru, musi istnieć między nami chemia, nie wyłącznie seksualna, ale na poziomie mowy ciała, tembru głosu, uśmiechu, sposobu poruszania, co sprawia, że chce się na tę osobę patrzeć, słuchać jej. Cenię też, gdy człowiek ma w sobie tajemnicę.

Aby język giętki...

OLGA TOKARCZUK O CZYTANIU

Literatura nie jest dla idiotów. Żeby czytać, trzeba mieć kompetencje i wrażliwość.

STEFAN CHWIN O ROSJI

Wiara w to, że pod wpływem sankcji Rosjanie zmieniają obecną władzę, jest po prostu naiwna.

PROF. ROCH SULIMA
O ZMIANACH NA WSI

Krów w moim końcu wsi jest zaledwie kilka, a profesorów zwyczajnych – trzech.

JAN KLATA
O ŚRODOWISKU TEATRALNYM

Jest w żenujący sposób wewnętrznie skonfliktowane i głęboko konformistyczne, rządzące się stadnymi odruchami.

ADAM BODNAR O TRYBUNALE
KONSTYTUCYJNYM

Obywatele Rzeczypospolitej nie mają już Trybunału Konstytucyjnego. Mają budynek w alei Szucha, który realizuje polecenia polityczne.

SOBIESŁAW ZASADA O RAJDZIE SAFARI

Obiecałem im, że jak skończę 95 lat, na pewno wystartuję. W końcu to jest jeden z niewielu znanych rajdów, których nie wygrałem.

RADOSŁAW SIKORSKI O RZĄDACH
JACKA CZAPUTOWICZA

Dobrał sobie wiceministrów, z których żaden nie miał doświadczenia w dyplomacji. Do kierownictwa MSZ weszli fundamentaliści z Ordo Iuris.

ANITA LIPNICKA O NARCYZACH

Wiedzą, co to jest prawdziwa miłość, bo tak kochają samych siebie.

AGNIESZKA GROCHOWSKA O MIŁOŚCI

Jest potężną siłą, ale sama nie wystarczy, potrzebna jest też konsekwencja, codzienna decyzja, że dla tej drugiej osoby chcę być najlepszą wersją siebie.

MONIKA BRODKA
O WYSTĘPACH NA ŻYWO

Brakowało mi stage drivingu, skoków ze sceny prosto w publiczność.



Papież Franciszek na spotkaniu z przywódcami rdzennej ludności podczas pielgrzymki pokutnej do Kanady. 25 lipca 2022 r.



TUSK SYPIE 4 ŁYŻECZKI CUKRU



Zdrowia nie dodała

Szef rządu Pendżabu wylądował w szpitalu, po tym jak przed kamerami wypił szklankę wody z rzeki, by udowodnić, że jest czysta. Bhagwant Mann brał udział w obchodach 22. rocznicy rozpoczęcia programu oczyszczania Kali Bein, silnie skażonej przez przemysł i ścieki komunalne. Mimo początkowych sukcesów rzeka wciąż jest zanieczyszczona, za co na władze spada krytyka. Decydent chciał dowiedzieć, że zarzuty są bezpodstawne, co skończyło się dla niego ostrym bólem brzucha. Może to go przekona, że stan Kali Bein to nadal temat rzeka.

Skarpetki na ręce i w nogi!

Ekipa nastolatków ukradła samochód, a w uniknięciu odpowiedzialności miały jej pomóc... skarpetki. Po kolei: do dyżurnego kutnowskiej komendy zadzwonił mężczyzna i poinformował, że żona przez okno widziała, jak młodzi ludzie kradną jego cuprę formentor. Znaleźli kluczyki, które tego dnia zgubił, i skorzystali z okazji. Ponieważ auto wyposażone było w system GPS, policjanci szybko przerwali ich przejażdżkę. Za kierownicą siedział 13-latek, który na rękach miał skarpetki – żeby nie pozostawić śladów; pasażerami byli również nieletni w wieku od 13 do 16 lat. Coś nam mówi, że w tym roku pod choinką nie znajdą nawet skarpetek, tylko różgi.

Mistrz kierownicy już nie ucieknie

Ciekawe są również losy innej bryki. Skonfiskowane przestępcom ferrari 458 zostało przez czeską policję przerobione na radiowóz. Superszybki – może osiągać prędkość 340 km/godz. – będzie przez specjalnie przeszkolonych policjantów wykorzystywany m.in. do ścigania uczestników nielegalnych wyścigów ulicznych. Dla niejednego amatora prędkości może to się skończyć pozbawieniem wolności.

O czym facet ten mówi?

Badanie przeprowadzone na 1,2 tys. mieszkańców USA pozwoliło ustalić, których anglojęzycznych aktorów najtrudniej im zrozumieć. Otóż najwięcej kłopotów sprawiają im kwestie wypowiedziane przez Toma Hardy'ego, Sofię Vergarę i Arnolda Schwarzeneggera. Niemałym wysiłkiem okazuje się także słuchanie Johnnny'ego Deppa, Benedicta Cumberbatcha oraz Liama Neesona. Ponieważ oczywistym rozwiązaniem problemu jest korzystanie z napisów, pokusimy się o tezę, że filmy ze Schwarzeneggerem zwiększają czytelność.

CYTATY

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog, UW

Wydatki na zbrojenia, dokonywane pod wpływem amoku wojennego i patriotycznego uniesienia, uszczuplą fundusze na edukację, służbę zdrowia i naukę.
„Trybuna”

ANDRZEJ G. KRUSZEWICZ, dyrektor warszawskiego zoo

Bielik, który jest w godle Polski, jest nieelegancki. W czasie polowań plądruje gniazda kormoranów i czapli, bociany z gniazd wygania.
„Viva!”

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, anestezjolog

Lekarz musi po prostu lubić ludzi, otworzyć się na człowieka, zrozumieć go.
„Tygodnik Powszechny”

PAUL KRUGMAN, noblista z ekonomii z 2008 r.

Większość ludzi wyznaje jakąś wyższą prawdę polityczną lub religijną i nie przeszkadzają im kłamstwa, którymi się ona karmi.
„Forum”



Troskliwa mama nie zostawia dziecka samego ani na chwilę. Samica makaka podczas zdobywania pożywienia.

Poszukiwacz zaginionego dysku

Brytyjczyk James Howells kontynuuje misję odnalezienia dysku z 8 tys. bit-coinów, który przez pomyłkę w 2013 r. wyrzucił do śmieci. Kiedy kurs popularnej kryptowaluty zaczął osiągać rekordowe poziomy, w związku z czym zguba zaczęła być warta 280 mln dol., mężczyzna postanowił spróbować ją odzyskać. Lokalne władze nie pozwoliły na przeczesanie wysypiska, powołując się przede wszystkim na ryzyko ekologiczne, ale Howells nie daje za wygraną. Jego nowy pomysł zakłada przesortowanie 110 tys. ton śmieci w odizolowanej jednostce, z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, a także udział robopsów, które miałyby m.in. skanować podłoże. Ponieważ radni Newport konsekwentnie odmawiają współpracy, milioner in spe grozi, że spotka się z nimi w sądzie. Oczywiście o ile nie zgubi pozwu...



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,
Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodorytzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruk po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszaków, ul. Pułtusza 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Wąwóz, 1973



Tańczące serce, 1971

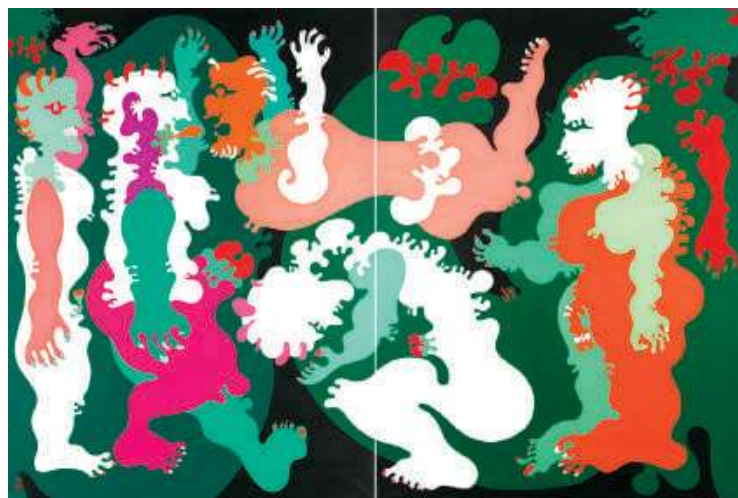
„Podróż do uniwersum” to ekspozycja prac malarskich obchodzącego w tym roku 80. urodziny Jana Dobkowskiego. Jego twórczość, i tak od dawna ciesząca się zainteresowaniem miłośników sztuki, w ostatnich paru latach przeżywa renesans popularności. Wciąż inspiruje i stanowi doskonałe źródło wiedzy o przenoszeniu

na rodzimy grunt światowych trendów. Dobkowski, bez którego trudno sobie wyobrazić polski popart, zasłynął cyklem czerwono-zielonym; inaugurujący go obraz „Podwójna dziewczyna” w 1968 r. zakupiło nowojorskie Muzeum Guggenheima, co ugruntowało międzynarodową sławę polskiego awangardzisty. Zainteresowani sztuką współczesną mogą zobaczyć również obrazy z pozostałych kluczowych cykli: „Poza nieskończoność”, „Pamukale”, „Himalaje”, „Australijski sen” czy „Ocean”.

DESA Unicum
Warszawa, ul. Piękna 1A
do 24 sierpnia



Koń, 1972



Moje figury, 1973

**„ANTOLOGIA
GAGÓW”**
LE PARISIEN

FESTIVAL DE L'ALPE D'HUEZ 2022
GRAND PRIX

**„ŚWIETNA
ZABAWA”**
RTL

JÉRÔME
COMMANDEUR

LAETITIA
DOSCH

SMO PREZAMIA
PASCALE
ARBILLOT

1. REDUKCJA
CHRISTIAN
CLAVIER

GÉRARD
DARMON

PRACOWNIK MIESIĄCA

REŻYSERIA
JÉRÔME COMMANDEUR

1. REDUKCJA
VALÉRIE LEMERCIER

ESTEBAN

1. REDUKCJA
MALIK BENTALHA

1. REDUKCJA
GÉRARD DEPARDIEU

W KINACH

WP

medsetfilm

LeJadis

FACETPO40.pl

DEMOTYWATORY.PL

P

eprasa.pl 1ec56caafa



72^e Internationale
Filmfestspiele
Berlin
Panorama
Opening Film



BUEIFF

PRZEZABAWNY

LITTLE WHITE LIES

OD SATYRY DO FARSY

SCREEN DAILY

PROWOKACYJNIE KOMICZNY

THE HOLLYWOOD REPORTER

BIEGACZ, DZIWKA, ARAB, MAŻ

REŻYSERIA
ALAIN GUIRAUDIE

NAJZABAWNIEJSZA SATYRA NA NASZE CZASY!



uniFrance films



W KINACH OD 5 SIERPNIA